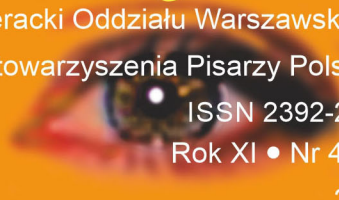


PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok XI • Nr 4 (39)

2025

J. Andrzejczak
M. Baczyńska
J. Binkowski
P. Bitka Zapendowski
T. Bochwic
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
J. Cywińska
P. Dakowicz
P. Dobrołęcki
P. Dunin-Wąsowicz
E. Eysymontt
V. Fischl
S. Gibaszek
W. Holewiński
J. Jagiełło
E. Kasjanowicz
P. Kitrasiewicz
M. Klecel
J. Koryl
L. Królikowski
A. Książek
K. Lenkowska
A. Lis
A. Łukaszewicz
J. Maciejewski

J. Marciniak
L. Marjańska
M. Marjańska-Czernik
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
M. Olbromski
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
K.S. Schreyer
J. Seipp
S. Stalmach
M. Strękowska-
-Zaremba
J. Strękowski
J. Śleszyński
K. Świegocki
G. Walczak
O. Wójcik
Yang Ke
A. Zagajewski
Z. Zarębianka
Z. Zbikowski
A. Ziontek



Ewa Eysymontt

PODGLĄD

Kwartalnik literacki

10 lat



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich

<http://podglad.com.pl/> <http://sppwarszawa.pl/>



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

PODGLĄD

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok XI Nr 4 (39) 2025

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Małgorzata Karolina Piekarska

Zastępcy redaktora naczelnego

Zbigniew Zbikowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium i korekta

Krzysztof Bielecki

Sylvia Gibaszek

Piotr Müldner-Nieckowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk

Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, Ciurlionisa 4

<https://www.mcpdruk.pl/>

WSTĘP

Małgorzata Karolina Piekarska

Jak zwykle jesteśmy barwni 3

Z ŻYCIA OW SPP

Jerzy Binkowski

laureatem Nagrody FENIKS 2025 . . . 4

Zarząd Główny SPP, skład osobowy . . . 5

Maria Marjańska-Czernik

Ochota na życie, życie na Ochocie

(o Ludmile Marjańskiej) 6

DRAMAT

Wacław Holewiński

Tinta 9

Grzegorz Walczak

Obłoczni, czyli Sen Chopina 25

DLA DZIECI, MŁODZIEŻY

Joanna Jagiełło

Święty Mikołaj – Misja Specjalna . . . 44

Małgorzata Karolina Piekarska

Drzewo Maurycego 49

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Mariusz rysuje od ręki 63

Kamień w plecaku 67

ESEJ-KRYTYKA-FELIETON

Paweł Dunin-Wąsowicz

Pałacowy przewodnik literacki 70

Agnieszka Lis

Felieton / Między nami 2,

Palenie staników 81

Lech Królikowski

Warszawa w cieniu

dwugłowego orła 85

Piotr Müldner-Nieckowski

Przemysław Dakowicz:

Wyrzygnąć 91

Marek Klecel:

Sybir 95

Jakub Maciejewski:

Historia cenzury 98

Mariusz Olbromski

O początkach Dialogu

Dwóch Kultur 100

Zbigniew Zbikowski

Mosty z deszczu 109

Paweł Bitka Zapendowski	
Ze spektaklem o Andrzeju Wajdzie w Paryżu	116

POEZJA

Janusz Andrzejczak	
Wiersze	119
Maja [Maya] Baczyńska	
Wiersze Październikowe (nr 1-7) ...	122
Jerzy Binkowski	
Wiersze	126
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Wiersze	129
Jolanta Cywińska	
Requiem dla Kubusia Puchatka ...	132
Ewa Eysymontt	
Wiersze	134
Sylvia Gibaszek	
Mój przyjaciel ma depresję.....	136
Eugeniusz Kasjanowicz	
Wiersze	138
Piotr Kitrasiewicz	
Ewa z Edenu, Spowiedź.....	141
Janusz Koryl	
Wiersze	143
Andrzej Książek	
Wiersze	146
Jerzy Marciniak	
Wiersze	148
Piotr Müldner-Nieckowski	
Czas ucieka, Oczyść swoje myśli. ...	151
Anna Nasiłowska	
wakacje, muszle, Dla Gabrieli ...	153
Mariusz Olbromski	
Album krzemieniecki	156
Alicja Patey-Grabowska	
Wiersze	160
Maria Jolanta Piasecka	
Haiku.....	163

Jan Krzysztof Piasecki	
Okrutny ssak	164
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wiersze	165
Jerzy Seipp	
Sześćset dwudziesty trzeci upadek Bunga.....	171
Jerzy Śleszyński	
Drzewo, Mijanie.....	179
Sławomir Stalmach	
Wiersze	181
Kazimierz Świegocki	
Dwa wiersze w interpretacji AI ...	185
Olga Wójcik	
Jak wyrzeźbić wiatr?, Przed	195
Zofia Zarębianka	
Wiersze nowe, Święta Rita	199

PROZA

Teresa Bochwic	
Pieśń wigilijna 1951.....	201
Piotr Dobrołęcki	
Póki pamiętam.....	208
Tamara Bołdak-Janowska	
<i>La!</i> Ta intrygująca wzroczność ludzka.....	210
Krystyna Lenkowska	
Boża krówka na zachodzie.....	216
Adam Łukaszewicz	
Delegacja, Koszula.....	225
Wiesława Oramus	
Fazy maniakalne	230
Jan Strękowski	
Kryminałki uzdrowskawe	234
Artur Ziontek	
W Sądzie Miejskim, Wyjazd	244
PRZEKŁADY	
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Viktor Fischl (Avigdor Dagan) ...	263



Małgorzata Karolina Piekarska

Jak zwykle jesteśmy barwni

Bieżący numer jest niezwykle ciekawy z wielu powodów. Po pierwsze są w nim teksty autorów, którzy do tej pory tu nie publikowali – między innymi Piotra Dobrołęckiego, Waława Holewińskiego, Janusza Koryła oraz Lecha Królikowskiego.

Ten ostatni podesał rozdział dotyczący generała Zajączka z książki pt. *Warszawa w cieniu dwugłowego orła*, a więc publikacji historycznej. Podgląd jest bowiem kwartalnikiem, w którym oprócz tekstów stricte literackich, jak proza, poezja czy dramat zamieszczane są teksty krytyczne, eseistyka, a także literatura faktu. Do tej należy również tekst Mariusza Olbromskiego, opowiadający o początkach Dialogu Dwoch Kultur, którego od kilku lat jesteśmy współorganizatorem, a nasz kolega twórcą.

Po drugie są tu aż dwa teksty dramatyczne, z czego jeden to fragmenty dramatu, *Tinta*, który był czytany w Domu Literatury w ramach cyklu pt. „Czytanie dramatu”. Te cykliczne już, jak „Biesiada Literacka”, wydarzenia odbywają się dzięki współpracy ze Związkiem Artystów Scen Polskich oraz Związkiem Artystów i Kompozytorów Scen, a my staramy się publikować tu fragmenty utworów, które na żywo można było usłyszeć w naszej siedzibie.

Po trzecie sporo tu rzeczy refleksyjnych, jak np. wspomnienia Marii Czernik o jej mamie Ludmile Marjańskiej, czy opowiadanie Teresy Bochwic przenoszące nas do lat 50., skłaniające do refleksji na temat PRL dialogi Jana Strękowskiego czy wreszcie jak zawsze lekko filozoficzne i nostalgiczne opowiadanie Wiesławy Oramus.

Po czwarte możemy wreszcie spojrzeć z innej perspektywy na poezję zaangażowaną lat minionych. Wszystko za sprawą eseju Pawła Dunin-Wąsowicza, a ściślej zresztą rozdziału jego książki pt. *Pałacowy Przewodnik literacki*, w którym autor cytuje zapomniane już klasyczne wiersze propagandowe sławiące pałac, na czele ze słynnym wierszem Jana Brzechwy, który zawiera budzący dziś niemal powszechną wesołość:

„Będzie trwał tak jak miłość do dziecka
Będzie trwał tak jak przyjaźń radziecka”.

Ale wśród autorów piszących o pałacu, a cytowanych w tym tekście, są także nasi nieżyjący już członkowie, jak Julia Hartwig albo Wanda Chotomska.

Po piąte jest pierwiastek nowoczesności. Wyjątkowo wpuszczamy na nasze łamy sztuczną inteligencję (AI), która zanalizowała wiersze Kazimierza Świągockiego. Chętnie przeczytamy potem, jeśli ktoś nadeśle, tekst polemizujący z AI lub chwalaący ją za trafną analizę poezji naszego kolegi.

Cóż... PODGLĄD to różnorodność gatunkowa, stylistyczna i tematyczna. PODGLĄD to my – autorzy – członkowie Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, którzy w każdym numerze naszego kwartalnika pokazujemy jak barwna z nas społeczność. Ta barwność daje gwarancję czytelnikom kwartalnika, że na pewno każdy znajdzie tu coś dla siebie. Nawet... ci młodzi, bo dla nich pisze nie tylko niżej podpisana, ale i wielu innych.

Małgorzata Karolina Piekarska

Jerzy Binkowski

laureatem konkursu FENIKS 2025

W dniu 10.10.2025 ogłoszono wyniki Konkursu Stowarzyszenia Wydawców Katolickich FENIKS 2025.

Kategoria LITERACKA – wyróżnione zostały dwie książki **Jerzego Binkowskiego**: *Szepty pustyni* i *W drodze z Damaszku - On the road from Damascus*, Wydawnictwo „BUK” z Białegostoku.

Poetycka twórczość autora w symboliczny sposób przenosi odbiorcę do świata wyteżonych wrażeń i emocji. Pozwala kształtować wizję lirycznego obrazu Samotności i sposobów jej odczuwania i przeżywania. Skutecznie przypominając, że odpowiedzią na nią jest Bóg.

Oba poematy prezentowane były w Domu Literatury w Warszawie, jako koncert – muzyka C. Debussy (preludia) i J. S. Bach (Chaconne) – w wykonaniu pianistki Marii Skurjat-Silva.

Gratulujemy!

Zarząd Główny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

w kadencji 2025-2028

Prezydium ZG SPP

Anna Nasiłowska – prezeska
 Marcin Bałczewski – wiceprezes
 Waław HOLEWIŃSKI – wiceprezes
 Małgorzata Karolina Piekarska
 – sekretarz
 Bogdan Baran – skarbnik

Członkowie ZG SPP

Bożena Boba-Dyga
 Robert Gawłowski
 Rafał Gawin
 Adam Kwaśny
 Lesław Nowara
 Przemysław Owczarek
 Mariusz Sambor
 Małgorzata Strękowska-Zaremba

Prezesi Oddziałów SPP

vacat (Oddział Wielkopolski)
 Zbigniew Fronczek (Lublin)
 Waldemar Okoń (Wrocław)
 Bartłomiej Siwiec (Bydgoszcz)
 Krzysztof Szatravski (Olsztyn)
 Jolanta Trela-Ptaszyńska (Oddz. Śląski)
 Józef Franciszek Wójcik (Gdańsk)
 Michał Zabłocki (Kraków)
 Zbigniew Zbikowski (Warszawa)

Komisja Rewizyjna ZG SPP

Grzegorz Bazylak
 Krzysztof Beśka
 Jolanta Cywińska
 Zofia Zarębianka

Sąd Koleżeński ZG SPP

Paweł Baranowski
 Krystyna Rodowska
 Błażej Torański
 Elżbieta Wojnarowska

Komisja Kwalifikacyjna SPP

Krzysztof Szatravski
 – przewodniczący
 Małgorzata Strękowska-Zaremba
 – wiceprzewodnicząca
 Przemysław Owczarek
 – sekretarz
 Miłosz Biedrzycki
 Robert Gawłowski
 Waław HOLEWIŃSKI
 Piotr Müldner-Nieckowski
 Anna Nasiłowska
 Mariusz Sambor
 Bartłomiej Siwiec
 Jolanta Trela
 Marcin Wolski



Maria Marjańska-Czernik

Ochota na życie, życie na Ochocie

Okruchy wspomnień o mojej Mamie, Ludmile Marjańskiej¹

Pamiętam Mamę jako osobę radosną, energiczną, towarzyską, kochającą ludzi i życie. Ale kiedy czytam jej wiersze, szczególnie te ostatnie, dociera do mnie, jak różne losowe doświadczenia i złe samopoczucie potrafią zmienić człowieka. Jej ostatnie wiersze są po prostu smutne, a przecież kiedyś taka nie była...

Przeżyła 82 lata, z czego ponad pięćdziesiąt mieszkała na Ochocie (ja tylko trochę ponad dwadzieścia); najpierw z mężem w akademiku na Kopińskiej, potem już oboje ze mną przeprowadzili się na Krzyckiego 11. Z opowiadań wiem, że wprowadzali się tam z niemowlakiem, dom był w remoncie i na pierwsze piętro wchodziło się prowizorycznymi schodami (a może po drabinie?). Nasze mieszkanie, początkowo ciche, spokojne, z czasem znalazło się przy jednej z głównych arterii miasta. Ale nim to się stało, na ulicy były kocie łby, mały park tuż obok, nazywany przez nas skwerkiem lub małym gajem, a także Ogródek Jordanowski przy Wawelskiej, które zachęcały do codziennych spacerów, obserwowania ptaków, drzew i roślin, zbierania kasztanów. Przesiadywała tam z dziećmi, ze mną i o trzy lata młodszym bratem, a jak podrośliśmy, odprowadzała nas tamtędy do szkoły.

Była z nami w domu, jakiś czas nie pracowała, bo umówiła się z mężem, że najpierw on zdobędzie wykształcenie, a potem ona pójdzie na studia. Rozpoczęła je już po trzydziestce, a po trzecim roku anglistyki na Uniwersytecie Warszawskim otrzymała roczne stypendium w Seattle. Debiut translatorski i poetycki miała już wówczas za sobą.

Mama bardzo lubiła ludzi, jak pisała w jednym z wierszy: *Bez ludzi nie istnieje*. Stąd w naszym mieszkaniu często bywali goście. Mój ojciec, Janusz, raczej odludek, nie był z tego zbyt zadowolony i zamykał się w swoim pokoju. Wtedy Mama, na pytanie, gdzie mąż, odpowiadała: – Borsuk siedzi w norze.

¹ Zaktualizowany przedruk z książki *Opowieści z półwiecza* wydanej w 2014 r. przez AKOS Akademię Kontaktów Społecznych.

Mimo tego często urządzali przyjęcia i spotkania – jakbyśmy to dziś powiedzieli – imprezy towarzyskie, domówki. Często z tańcami i z przebieraniem się. Na jednej z nich, z okazji 31. rocznicy ślubu Mama wystąpiła w pięknym jedwabnym japońskim kimonie, którego nie potrafiłam się pozbyć i dotąd leży u mnie w szafie.

W czasie jej ponad dwudziestoletniej pracy w Polskim Radiu bywali u nas zaprzyjaźnieni z nią koledzy redakcyjni, Rysia Dworczyńska (również mieszkająca na Ochocie), Romka Suworow – koleżanka jeszcze ze szkolnych lat w Częstochowie, a także poeci:



Ludmiła Marjańska (1923-2005), lato 2005

Czesław Janczarski, Tadeusz Kubiak i Bogdan Ostromecki.

A potem, kiedy już była na emeryturze, często wpadali wiele młodszy od niej znajomi ze swoimi dylematami, rozterkami, wątpliwościami. Była ich powierniczką. Dla wszystkich potrafiła znaleźć czas, uważnie ich wysłuchując. Im też zadedykowała wiele ze swoich wierszy.

Na herbatce lub kawce bywały u niej między innymi dwie osobistości ze świata literatury, a jednocześnie sąsiadki z dzielnicy. Małgorzata Baranowska i Anna Kamińska. Z tą drugą była szczególnie zżyta, kiedy pani Anna zachorowała, odwiedzała ją w szpitalu, opowiadała mi potem o ostatnich godzinach jej życia.

Małgosi Baranowskiej oddawała wszystkie ciekawe, nie tylko stare, pocztówki. Wiele z nich pochodziło z czasów jej dzieciństwa i młodości, najciekawsze to z pewnością korespondencja z początku XX wieku między jej rodzicami, Ludwikiem Mężnickim i Marią z domu Bromma. W 2003 roku otrzymałyśmy od autorki *Posłańca uczuć. Prywatnej historii pocztówki* piękną dedykację w okazałym albumie.

Kiedy w połowie lat 90. ubiegłego wieku piastowała stanowisko prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, integrowała środowisko i reprezentowała je w kraju i za granicą. Cieszyła się opinią „prawdziwej damy”.

Uwielbiała podróże, te bliskie i te dalekie. Z każdej z nich wysyłała kartki pocztowe, między innymi do dzieci i nauczycieli ze Szkoły Podstawowej w Młodowicach pod Przemyślem, której była patronką. Śmiała się, że nadanie tej szkole imienia Ludmiły Marjańskiej to jej „mały Nobel”.

Mama była nastawiona bardzo przyjaźnie do wszystkich, często kupowała czekoladki lub kwiatki dla pań z poczty przy ulicy Reja, zapraszała listonosza na herbatkę, a on opowiadał jej o swoim życiu.

Była szczęśliwa, kiedy jej wnuczka, Ewa, zaczęła przekładać książki z angielskiego, cieszyła się z tej kontynuacji.

To tam, na Krzyckiego, przeżyła swoje radosne lata, nim nadeszły te trudne, smutne, związane z chorobą swego męża, a mojego ojca. Opiekowała się nim przez kilka lat dzień i noc, kiedy zasypiał, pisała wiersze, które znalazły się potem w przejmującym tomiku *Żywica*.

Bardzo doskwierały Mamie uciążliwości związane ze starzeniem się i coraz mniej wydolnym organizmem. Mówiła wprost, że jest zmęczona życiem. Przygotowywała nas i przyjaciół na swoje odejście:

*Powolne odchodzenie to przyzwyczajanie
innych że cię nie będzie
gdy zechcą zadzwonić
wpaść na minutkę żeby się wyzalić
lub podzielić radością [...]*

W październiku 2025 roku minęło dwadzieścia lat od jej śmierci.

Maria Marjańska-Czernik

Wacław HOLEWIŃSKI

Tinta

Sztuka w trzech aktach

Akt II

ONAONA – Pamiętasz?

ONON (*nie odrywając oczu od gazety*) – Daj spokój.

ONAONA – No ale powiedz. Pamiętasz?

ONON (*na odczepnego*) – Pamiętam.

ONAONA – Wszystko? Każdy szczegół?

ONON – Każdy? Kto by pamiętał.

ONAONA – Ja. Ja pamiętam.

ONON – Po co? Powinnaś zapomnieć. Zwłaszcza ty powinnaś zapomnieć.
Z tego dręczenia nic ci nie przyjdzie.

ONAONA – Patrzcie, jaki mądrala. Sam to wymyśliłeś, czy oni ci nakładli tego do łba?

ONON – Jacy oni?

ONAONA – Dobrze wiesz.

ONON – Znów zaczynasz? Kurwa, kiedy to się skończy? Nie wytrzymam.
(*Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju*)

ONAONA – Droga wolna. Tylko nie zapomnij, że ja pamiętam.

ONON – Zbudowałaś sobie...

ONAONA – Przynajmniej coś mam. Jakies wspomnienia. A ty, gdzie jesteś? No, do czego doszedłeś. Tak, tak, potakuj, nadskakuj, płaszcz się...

ONON – Dzięki mnie masz co do garnka włożyć.

ONAONA – Przecież ty w nic nie wierzysz.

ONON – W co mam wierzyć? Chcę zapomnieć.

ONAONA – Budzę się każdej nocy...

ONON – Łatwiej ci, kiedy to na mnie rzucisz? Łatwiej? No co mam jeszcze zrobić. Mogę się wyprowadzić.

ONAONA – Dokąd? Kto by cię chciał? Nie widzisz, jaki jesteś żaloszny?

ONON – Dawno przestałaś być młoda.

ONAONA – Nigdy nie byłam.

ONON – Wtedy...

ONAONA – Przecież chciałeś zapomnieć...

ONON – Ale, kurwa, pamiętam. To pamiętam. Siedziałaś w kucki. Teraz też byś mogła. I najlepiej żebyś się nie odzywała. Żebyś raz na zawsze przestała mówić. Wiesz, jak ja tego nie znoszę, jak mam tego dosyć. Przeklinam dzień, kiedy tam poszedłem..

ONAONA – Beze mnie nie przeżyłbyś tamtego dnia.

ONON – Może i dobrze.

ONAONA – Grzeszysz.

ONON – Nie zaczynaj.

ONAONA – Może byś się pomodlił?

ONON (*stanowczo*) – Nie.

ONAONA – Wtedy, w tym pokoju, wiedziałam, że jestem od ciebie silniejsza. Mogłam z tobą wszystko zrobić. Gdybym ci kazała szczekać, zaszczekałbyś, jakbym chciała żebyś się czołgał, też byś się czołgał.

ONON – Gówno prawda. To ty się bałaś.

ONAONA – Pewnie. A ty byłeś bohaterem. Powinnaś była cię wygnać. Niechby cię złapali.

Przez dłuższą chwilę patrzą na siebie bez słowa.

ONON – Powinni cię byli zoperować. Wyciąć ci pamięć. Zakleić dziurę gipsem. Tak, gipsem. Niektórych, zanim rozstrzelali, tak właśnie zaklejali.

ONAONA – Ciekawe po co?

ONON – Jak, po co? Żeby nie krzyczeli.

ONAONA – A komu to przeszkadza? Niech krzyczą. Strach trzeba wykrzyzczyć.

ONON – Może o to chodziło, żeby się bali do końca? Żeby im oczy wyszły z orbit, żeby się dusili.

ONAONA – Kulig opowiadał...

ONON – Kto to jest Kulig?

ONAONA – Dyrektor.

ONON – W ośrodku?

ONAONA – W ośrodku. Mówił, że jego przybili do krzyża.

ONON – Jego też powinni zbadać.

ONAONA – Pokazywał blizny na rękach i nogach.



Po spektaklu dramatu *Tinta* Waława Holewińskiego (z lewej) 7.10.2025 w SPP w Domu Literatury w Warszawie. Organizatorzy: Krzysztof Nowik i Zbigniew Zbikowski, reżyser: Cezary Morawski, aktorzy: Karina Reznier, Marta Dylewska, Bastian Tyrko i Przemysław Stippa: Fot. Sylwerniusz Rudolf.

ONON – We wszystko wierzysz. Zjadłbym coś.

ONAONA *wstaje i po chwili stawia przed nim talerz. ONON zaczyna jeść.*

ONON – Jak ja im wtedy zazdrościłem.

ONAONA – Nic się nie liczyło.

ONON – Byle napchać brzuch.

ONAONA – Pamiętasz, że chciałeś cukierków? Karmelowych. Możemy pójść kupić. Przejdź się po ulicy.

ONON – Po ulicy?

ONAONA – Chyba się nie boisz?

ONON – Przecież przed chwilą wróciłem. To ty się boisz.

ONAONA – Kłamiesz.

ONON – Po co miałbym kłamać?

ONAONA – Wcale się już nie boję. Wszystko minęło. Już nie jesteś młody.

A pamiętasz, wtedy chciałeś, żebym pokazała ci pierś. Chcesz, to ci pokażę. *(Sięga ręką do bluzki, jakby chciała ją rozpiąć)*

ONON – Głupia jesteś. Co ja cycków nie widziałem? Zresztą, te twoje tyłu już widziało...

ONAONA *(ze złością)* – Co z tego. Są jeszcze całkiem, całkiem. Wielu ci zazdrości.

ONON – Czego mają mi zazdrościć? Tej pomarszczonej skóry. Tego, że wariatka boi się wyjść na ulicę, tego, że nie umiesz normalnie gadać. (*Staje naprzeciw niej i zaczyna ją przedrzeźniać*) Są jeszcze całkiem, całkiem. Wiesz, jakie kobiety są teraz eleganckie, jak pachną, wiesz, co one robią z facetami w łóżku...

ONAONA (*złośliwie*) – Chyba nie z tobą? Przecież tobie nawet nie staje. Jesteś sowa. Huczysz, huczysz, ale zaśpiewać nie potrafisz.

ONON – Uważaj.

ONAONA (*przedrzeźniając go*) – Uważaj, uważaj, bo ci tę mordę obję. Nie waż się. Nawet nie próbuj.

ONON – A idź ty do cholery. (*Siada, bierze znów do ręki gazetę, przez dłuższą chwilę milczy*) O, dobre.

ONAONA – Co takiego?

ONON – Nieważne. I tak nie zrozumiesz. Zabierz ten talerz. (*Odsuwa od siebie talerz*) Posprzątałybyś trochę. Straszny tu chlew, niedługo znów ktoś tu nasra na środku pokoju.

ONAONA – Kto ci nasra? Przecież nikogo nie ma.

ONAONA *wstaje, bierze jakąś ścierkę i już do końca aktu chodzi i (z małymi przerwami) wyciera kurze.*

ONON – A jak przyjdzie?

ONAONA – Boisz się.

ONON – Czego?

ONAONA – Nie czego, a kogo? Ty się boisz, że ktoś do nas przyjdzie.

ONON – Nikt nie przyjdzie. Nikogo przecież nie zapraszasz. Nigdy nie zapraszasz.

ONAONA – Mógłbyś przyprowadzić swoich kolegów. Na przykład tego rudego. Mówiłeś, że śmieszny.

ONON – Stert? Nie, on nie przyjdzie.

ONAONA – Dlaczego?

ONON – Lubi wódkę.

ONAONA – Moglibyśmy kupić.

ONON – Przecież sam nie będzie pił.

ONAONA – Mógłbyś się z nim napić.

ONON – Ja?

ONAONA – Ty, a kto?

ONON – I tak by nie przyszedł. Kiedyś cię widział. Stałaś w oknie.

- ONAONA – Co ty tam wiesz. Przecież ty głupi jesteś. Każdy cię nabiera. Pamiętaj, jak z tą kiełbasą było? Oszukali cię. Sam przyznaj. Oszukali.
- ONON (*zniecierpliwiony*) – No, oszukali. I co z tego. Każdego mogą oszukać.
- ONAONA – Przed wojną nie oszukiwali.
- ONON – Oszukiwali. Nawet Jasio oszukiwał. Stałem dziś w kolejce.
- ONAONA – W kolejce? Przecież mówiłeś, że już nie ma kolejek.
- ONON – Ale dzisiaj była.
- ONAONA – Stanałeś?
- ONON – Później odszedłem. Za dużo ludzi. Krzyczeli.
- ONAONA – Co krzyczeli?
- ONON – Nie słyszałem.
- ONAONA – Stałeś i nie słyszałeś?
- ONON – Jakby mi coś uszy przytknęło. Ale widziałem, że krzyczą. Jeden to się nawet na ziemi położył. Taki gruby. Całkiem łysy. Później przyszła policja i go zabrali.
- ONAONA – I nic nie usłyszałeś. Nic a nic?
- ONON – Nic a nic.
- ONAONA – Tobie w ogóle nie można ufać.
- ONON – Ty głupia jesteś.
- ONAONA (*macha ręką, jakby sobie coś nagle przypomniała*) – To on nie przyjdzie?
- ONON – Kto?
- ONAONA – No, ten rudy.
- ONON – Stert? Nie przyjdzie. On nie ma czasu na takie jak ty. Za nim to się kobiety oglądają.
- ONAONA (*złośliwie*) – Pewnie robi to lepiej od ciebie. I pewnie tak nie sapie.
- ONON – Co ty możesz wiedzieć?
- ONAONA – Przecież ty jesteś jak zwierzę. Tylko piany ci na pysku brakuje.
- ONON (*zdenerwowany*) – Pewnie z nimi było ci lepiej, co?
- ONAONA – Z każdym było lepiej. Mogłam mieć dziecko.
- ONON – Nie mogłaś mieć. Lekarz mówił, że nie mogłaś. Przecież coś tam ci porozrywali. Wygniąłś cała w środku. Żaden facet by cię nie chciał.
- ONAONA – Ty jakoś chciałeś.
- ONON – Pan Bóg pokarał.

Przez chwilę milczą.

ONAONA – No co, no co?

ONON – Czasami, jak tak na ciebie patrzę, to żałuję.

ONAONA – Czego żałujesz?

ONON – Że posłuchałem chłopaków. Trzeba było jechać na wieś. Albo do lasu.

ONAONA – Myślisz, że tam nie szukali? Znaleźliby cię prędzej niż w mieście. I miałeś z kim rozmawiać. Tak byś nawet czytać nie umiał. Zresztą ty i tak nie umiesz. Co ty rozumiałeś z tej gazety.

ONON – Piszą o tej twojej Boznańskiej.

ONAONA – O kim?

ONON – O Boznańskiej, tej malarce.

ONAONA – Nie znam.

ONON – Kiedyś znałaś.

ONAONA – Kiedyś sama nakładałam farby.

ONON – Gdzie nakładałaś.

ONAONA – Nie zrozumiesz. Szpachelką. Warstwa po warstwie. Rozróżniałam kolory.

ONON – Teraz nie rozróżniasz?

ONAONA – Stałam się taka jak ty. Widzisz i jesteś ślepy. Nie zauważasz. Chodzisz i nie widzisz. Nic nie czujesz. Umarłeś przed śmiercią. (*Histerycznie*) Nie rozumiesz tego? Zabili cię. Nie, nie (*macha zrezygnowaną ręką*), ty się nigdy nie narodziłeś.

ONON – O czym ty mówisz?

ONAONA – Kiedyś myślałam, że jak się wojna skończy, ludzie będą lepsi. Że wyjadę z tego domu, gdzieś się zgubię, a jak odnajdę, to już będzie inny świat. Chciałam spać, śnić. Wcale się nie budzić. Że kupię sobie piękną chustkę, że będę spała w pięknej pościeli, a mój mąż będzie dyrektorem. Albo pisarzem.

ONON – Pisarzem? Po co ci pisarz?

ONAONA – Jaki ty głupi jesteś. Po co, po co? Myślałeś, że mi wystarczy to twoje wieczne skwierczenie, chodzenie po prośbie, to ciągle przepraszam, przepraszam.

ONON – Kiedyś cię zabiję.

ONAONA – Siebie zabij, komu ty jesteś potrzebny?

ONON – Zostaniesz sama, jak wtedy. Przecież nikogo nie masz. Tylko ja ci zostałem.

ONAONA – Trzeba mnie było zostawić w spokoju.

- ONON – Drżałaś. Każdy szmer cię budził. I ta porwana lalka. Byłaś dorosła i wciąż trzymałaś ją w ręku.
- ONAONA – Pamiętam, jak uczyłeś mnie przeklinać. Kurwa, kurwa. Ty nawet tego nie umiałeś. Chciałeś być taki dorosły. Gdyby nie to radio za ścianą, do dzisiaj bym nie umiała.
- ONON – Teraz umiesz lepiej ode mnie.
- ONAONA – Wszystko umiem lepiej.
- ONON – Stara jesteś.
- ONAONA – Wszyscy się zestarzelili. Szkoda, że nie miałam dzieci. Chciałabym się z nimi bawić. Opowiadać im bajki. Znasz bajki?
- ONON – Po co mi bajki? Ja się nie boję.
- ONAONA – Chcesz? (*Wyciąga z szuflady stołu zapalniczkę, jedną z nich przypala papierosa, zaciąga się dymem*).
- ONON – Mogę już nie chodzić do roboty. Dali mi urlop. Powiedzieli, że muszę podreperować zdrowie.
- ONAONA – (*zza ściany dochodzą dźwięki muzyki*) To msza c-moll. Mozart.
- ONON – Skąd ty to wiesz? (*zdziwiony*)
- ONAONA (*wykonuje rękoma ruch, jakby dyrygowała orkiestrą*) – Ciągle pytasz i pytasz. Na co ci to?
- ONON – Cały dzień podsłuchujesz. A ja muszę się tłumaczyć. Nie czujesz, jak tu śmierdzi? Pewnie chora jesteś. Ostatnim razem też tak śmierdziało.
- ONAONA – Możesz otworzyć okno. Nie bój się. Nikt cię nie okradnie.
- ONON – Jak wtedy do ciebie przyszli, bałaś się. Teraz też się boisz. Za rok też się będziesz bała. Do końca życia. Jak wyszłaś, po wojnie, trzeba było uciekać.
- ONAONA – Wszędzie ich widziałam. Oni, nasi, te gęby rozpromienione. W porozpinanych szynelach. Kobiety wystrojone, z papierosami. Rzucali się na nich. A ja miałam tylko ciebie.
- ONON – Mogłaś szukać ojca.
- ONAONA – Po co? Zapomniał o mnie. Albo go zabili.
- ONON – Jest ci wszystko jedno?
- ONAONA – Wszystko jedno. Zostawił mnie. Powinien był pamiętać.
- ONON – Nie byłaś taka mała. Mogłaś już o sobie zadbać. Mniejsi zostawali sami i jakoś sobie radzili.
- ONAONA (*nerwowo*) – Ja też sobie poradziłam. Pamiętasz, jak tu przyszli po wojnie.

ONON (śmieje się) – Ale się ciebie bali. Nie chcieli ryzykować. Strasznie krzyczałaś. To wtedy przysłali tu lekarza. Młody był, niewiele starszy od ciebie.

ONAONA – Przytulił mnie.

ONON – Przytulił? Raczej związał.

ONAONA – Najpierw przytulił.

ONON – Dlaczego oni ci to zrobili?

ONAONA – Kto?

ONON – No, ci sanitariusze. I felczer.

ONAONA – Potrzebowali kobiety.

ONON – Zgodziłaś się? Chłopaki mówili...

ONAONA (*zatyka uszy*) – Chłopaki, chłopaki, co oni mnie obchodzą. Wszyscy jesteście tacy sami. Po co do tego wracasz?

ONON – Mówią, że musieli cię wyskrobać.

ONAONA – Pamiętam jego główkę. Miał czarne włoski i takie śliczne oczy. Niebieskie.

ONON – Zmyślasz.

ONAONA – Po co miałabym zmyślać?

ONON – Zawsze zmyślasz. Nic do ciebie nie dociera. Przecież ty już wcześniej nie mogłaś...

ONAONA – Dwu trzymało mnie za ręce. Najgorszy był ten felczer. Nie miał zęba z przodu. O tu. (*Wskazuje górną jedynekę*) Krzyczał, że jak komuś powiem, to mnie zabije. A tamci się śmiali. Chciałam go ugryźć... Uderzył mnie. Myślałam, że umrę.

ONON – Trzeba było powiedzieć doktorowi.

ONAONA – Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Lali tylko tę wodę. Lodo-watą. I jakieś zastrzyki dawali. Bo te pigułki, jak nie widzieli, wypłukałam do torebki.

ONON – Może trzeba było jeść. Przecież wiedzieli, co robią. Mówiłaś, że ten doktor to był dobry.

ONAONA – Przychodził w nocy i sapał. Tak samo jak ty.

ONON – Każdej nocy?

ONAONA – Nie pamiętam. Chyba każdej. Aż go zabrali. Później widziałam go na spacerze. W drugim bloku.

ONON – Doktora?

ONAONA – Pytał o dziecko i o tych żołnierzy. Chciałam do domu. Śmiał się.

ONON – Chyba zmyślasz. Napiłbym się herbaty. Albo kawy.

ONAONA wstaje, nastawia czajnik, sypie do filiżanek kawę (jako element absurdu powinny te filiżanki być bardzo porządne). Stawia na stole, dużo słodzą ze srebrnej cukiernicy. Piją.

ONON – Dobra.

ONAONA – Nigdy nie piłam lepszej.

ONON – Dlaczego zawsze to powtarzasz?

ONAONA – Matka tak mówiła. A ojciec powtarzał za nią. Mógłbyś powtórzyć.

ONON – Nie.

ONAONA – Nie trzeba było wracać.

ONON – Przecież cię wyrzucili. Powiedzieli, że wyzdrowiałaś. Że już będziesz normalna. Że się niczego nie boisz. Wyglądałaś jak śmierć na zakręcie. Wcałe się nie śmiałaś. Byłaś taka sztywna. Jak jakiś automat. Gdzie cię postawili, tam stałaś. Gdyby nie ja...

ONAONA- Chcieli mi zabrać nerki. Nerki albo serce.

ONON – Bez serca nie da się żyć.

ONAONA – Może myśleli, że umarłam?

ONON – Ty, kurwa, głupia jesteś, wiesz?

ONAONA – Strasznie było zimno. Przyszedł ojciec. W ostatniej chwili. Postarzał się. Miał białą brodę. I kulał. Dał im jakieś pieniądze, a może obrączkę, żeby tylko nie zabierali mi tego serca. Targowali się. Nawet się rozplakał. Mówił, że więcej nie ma. Ale to nie byli nasi. Chyba po niemiecku mówili.

ONON – Skąd ty wiesz po jakimu?

ONAONA – Grałam na fortepianie. To był Bechstein. Piękny.

ONON – Ale skąd wiedziałaś, że po niemiecku?

ONAONA – Słyszałam.

ONON – Ze słuchu wiedziałaś?

ONAONA – Często się wie. Wie i już. Więc jak ojciec tam przyszedł, to tak na mnie patrzył... A ja wiedziałam, że on jest trup. Bo w tych oczach, to nic nie było, jakaś pustka. Jakby mu je zabrali.

ONON – Odezwał się do ciebie?

ONAONA – Ani słowem. Bo coś mu w gardle stało. Zakrztusił się.

ONON – Napiłbym się.

ONAONA przynosi mu szklankę wody, ONON pije, kaszle.

ONON – Śmierdzi.

ONAONA – Nikt ci nie kazał...

ONON (*nerwowo*) – Kazał...

ONAONA (*macha ręką, jakby się zasłaniała przed ciosem*) – Przed wojną...

ONON – Wiesz, kiedy się skończyła wojna? Dwadzieścia lat temu. Oni poszli.

ONAONA – Nasi też?

ONON – Też poszli.

ONAONA – A kto został? Przecież ktoś musiał zostać. Widziałam w oknie tych w mundurach. I czołg.

ONON – Widziałaś? Kiedy?

ONAONA – Wczoraj. Krzyczeli.

ONON – Film kręcili. Wszyscy byli. I nasi i oni. Ale nasi wygrali.

ONAONA – Całe szczęście. U siebie pewnie oni wygrywają. Dobrze, że już poszli. Mogli cię złapać.

ONON – Chcieli. Ale powiedziałem, że muszę do sanatorium. Śmiali się.

ONAONA – Bo ty głupi jesteś. Do sanatorium. (śmieje się) I ten dyrektor. Kto by wziął takiego jak ty do fabryki?

ONON – Przecież ci mówiłem, że to nie fabryka. Urząd. Biurka stoją. Trzy szeregi. Do każdego kolejka. A ja numerek daję.

ONAONA – Przecież ty nie umiesz czytać. (*wskazuje na ścianę*) Znow grają. Lohengrin Wagnera.

ONON – Wagnera?

ONAONA – Co ty możesz wiedzieć?

ONON – On ci chleba nie przyniesie. (*podchodzi do ściany, wali w nią*) Cicho tam, cicho. (*muzyka cichnie*)

ONAONA – Specjalnie to zrobiłeś.

ONON – Pewnie, że specjalnie. (*siada na swoje miejsce. Bierze do ręki gazetę, czyta*)

ONON (*wskazuje palcem jakiś fragment tekstu*) Będą wybory. Wiesz o tym?

ONAONA – Po co?

ONON – Wybory nie są po co.

ONAONA – I tak nie pójdziesz.

ONON – Ja mogę.

ONAONA – Ale i tak nie pójdziesz. Nie wiedziałbyś, na kogo głosować. I wybrałbyś głupszego od siebie.

ONON – Ja przynajmniej mogę.

ONAONA – Też bym mogła.

ONON – Tak? To dlaczego tu jesteś?

ONAONA – Każdy gdzieś musi być. Wczoraj słyszałam jakiś krzyk. Małej dziewczynki. Ktoś ją ścisnął za gardło. Charczała. Prosiła żeby jej pomóc.

ONON – Wydawało ci się. Chyba pójdę.

ONAONA – Gdzie?

ONON – Zagłosować.

ONAONA – I wiesz, co zrobiłam?

ONON – Co?

ONAONA – Zastukałam. Usłyszeli mnie.

ONON – Skąd wiesz?

ONAONA – Wiem. Przestała krzyczeć. Musieli ją puścić. Ciekawe, ile miała lat.

ONON – Za tydzień.

ONAONA – Co za tydzień?

ONON – Wybory.

ONAONA – Przecież miałeś jechać do sanatorium.

ONON – Wróć i zagłosuję.

ONAONA – Na kogo?

ONON – Jeszcze się zastanowię.

ONAONA – Może ciebie wybiorą.

ONON – E, nie. Zresztą, co ja bym tam robił? Nikogo nie znam. Te korytarze. Jak oni się nie gubią? Ciągłe im ktoś coś podpowiada. Można zgłupieć.

ONAONA – Tobie to nie grozi.

ONON – Chłopaki mówili...

ONAONA (*przerywając*) – Nie ma żadnych chłopaków. Po co o nich opowiadasz? Boisz się tak samo jak ja.

ONON – Jak miałem osiem lat, byłem na stadionie. Sędzia był ubrany na żółto. Później go widziałem na ulicy. Był w mundurze. Takim czarnym. A na ramieniu miał naszywkę. Wszyscy się go słuchali.

ONAONA – Przecież był sędzią.

ONON – A kto nie słuchał, tego wskazywał palcem.

ONAONA – Zabierali?

ONON – Do ciężarówki. Nawet nie krzyczeli. Gips im ładowali do ust. Mieli (*na chwilę nadyma policzki*) takie wypchane policzki. Jedna pani machała do mnie ręką.

ONAONA – Po co? Pewnie uciekłeś, co?

ONON – Wszyscy uciekali.

ONAONA – To skąd wiesz, że do ciebie machała?

ONON – Wiedziałem. Chciała żebym z nią pojechał. Ciekawe dokąd.

ONAONA – Trzeba było jechać.

ONON – Później go powiesili...

ONAONA – Tego w żółtym?

ONON – Sędzięgo. Chłopaki mówili, że na haku. Każdy mógł podejść i na niego plunąć. Może trzeba było pójść, jak myślisz?

ONAONA – Założę pończochy.

Energicznie rusza do szafy, otwiera drzwi, szuka czegoś na półce, później siada przy stole, unosi nogę do góry i wciąga na nią pończochę. Ale tylko jedną, drugą rzuca na stół.

ONON – Znów się wygłupiasz.

ONAONA (*pierwsze zdanie jakby do siebie*) – Jak aktorka, gwiazda. Nie, tym razem naprawdę. Wyjdę. Pójdę coś zjeść. Może brokuły? Albo jarmuż. Tak, jarmuż. Mówią, że trzeba dużo warzyw. Może szpinak, co?

ONON – Gdybyś wtedy wyjechała...

ONAONA – Dokąd?

ONON – Do tej Ameryki... Albo do Szwecji...

ONONA – Nikogo nie znałam...

ONON – Tu też nie znasz.

ONAONA – Ciebie znam. Mogłam cię zabrać. Mówili, że z osobą towarzyszącą. Ale ty zawsze byłeś głupi. Mogłeś wziąć bilet...

ONON – Trzeba było. W Ameryce dają za darmo...

ONAONA – Nigdzie nie dają za darmo.

ONON – Skąd wiesz? Kleeber mówił, że trzeba do Ameryki.

ONAONA – To było przed wojną.

ONON – Przed wojną, po wojnie, kto o tym dziś pamięta? Wiesz, ile lat minęło?

ONAONA – Podobam ci się? (*wstaje i okręca się dookoła*)

ONON (*zaskoczony*) – Przecież wiesz.

ONAONA – Mogliśmy wziąć ślub.

ONON – Przecież nie dają.

ONAONA – Można było poprosić.

ONON – Do diabła. (*macha ręką*) Do czego on nam potrzebny? Gdybyś tylko przestała się bać...

ONAONA – Czasami to wcale się nie boję. Mogłabym zapomnieć. Wszystko ze mnie paruje. Głową. (*kilkakrotnie dotyka rękoma głowy i unosi je do góry*) Wiesz, co wtedy czuję?

ONON – Po co mi to mówisz?

ONAONA – Muzykę. Leciutką. Lekuchną. A ja się unoszę, ulatuję. Chcieli, abym to opisała.

ONON – Trzeba było. Może by ci zapłacili?

ONAONA – W szpitalu? Dlaczego oni mi to robili?

ONON – Mówili, że byłeś głupia.

ONAONA – Kłamiesz.

ONON – Na Boga jedyne. (*wali się pięścią w pierś*) Ale ja im mówiłem, że to nieprawda.

ONAONA – Stawałeś w mojej obronie?

ONON – Przecież wiesz.

ONAONA – Tylko tak gadasz. Zawsze, gdy cię potrzebowałam, uciekałeś na ulicę.

ONON – Duszno.

ONAONA – Kiedyś chciałam żebyś przyniósł sera. Pamiętasz?

ONON – Nie zaczynaj (*zatyka uszy*), nie zaczynaj...

ONAONA – Wiedziałam, że przyszedłeś z nimi. To ty im mnie wskazałeś. Przyznaj, to ty, prawda?

ONON – Prawda.

ONAONA – Dlaczego?

ONON – Bałem się.

ONAONA – Patrzyłeś?

ONON – Patrzyłem.

ONAONA – Machali na ciebie ręką. Chcieli, żebyś się do nich przyłączył. Śmiali się z ciebie. Taki konus, wołali. A ja słyszałam.

ONON – Jak mogłaś słyszeć? Leżeli na tobie.

ONAONA – Słyszałam. A ty skwierczałeś, łasiłeś się do nich. Mogłeś im uciec.

ONON – Nie mogłem. Stali przy mnie.

ONAONA – Albo ty przy nich. Prosiłam..

ONON – Nie mów. (*znów zatyka uszy*)

ONAONA zbliża twarz do jego twarzy, szepcze mu coś do ucha.

ONON (*histerycznie*) – Nie, nie.

ONAONA – Nie zaprzeczaj. Obudziłam się. Leżałeś na podłodze. Rozebrany, pokrwawiony. Umyłam cię, ciekło z ciebie. Miałeś ciało całe we wrzodach. Tak naprawdę to im się dziwię. Ja bym na ciebie nie chciała nawet pluć. Zdychałeś. I ten kaszel, jakbyś miał gruźlicę.

ONON (*zakrywa tułów skrzyżowanymi rękoma*) – Zmarzłem.

ONAONA – Cały się trząsałeś. Ale ty nie spałeś. Musisz pamiętać, musisz. Mogłeś powiedzieć...

ONON – Nie pamiętam. Co to zresztą da? Tyle lat minęło. Założysz tę (*wskazuje na leżącą na stole pończochę*)?

ONAONA bierze pończochę, rozciąga, patrzy przez nią pod światło, potem odkłada z powrotem na stół. Przez dłuższą chwilę milczą.

ONAONA – Mogłam wszystko powiedzieć. Ten prokurator pytał o ciebie. Mogłam powiedzieć.

ONON – Dlaczego nie powiedziałaś?

ONAONA – Co by to dało? Na wszystko już było za późno. Nikt ich nie złapie. Dobrze, że wojna się już skończyła. Dobrze, że nie latają.

ONON – Skąd wiesz, że znów nie przyjdą?

ONAONA – Mówiłeś, że są wybory. Trzeba głosować.

ONON – Czasami mi się zdaje, że ich widzę. Idę w takim tunelu, a oni się śmieją i ten pies...

ONAONA – Nie było żadnego psa.

ONON – Był. Owczarek alzacki.

ONAONA – Nie było.

ONON – Owczarek alzacki. Taki ogromny. Wszyscy się go bali. Cała ulica. A oni go puszczali na ludzi. Jezu, miał taki wielki jęzor. I zęby. Zagryzł Cygana. Wrzeszczał. Nikt mu nie pomógł. Cygan się bronił, a on mu odgryzł najpierw rękę, później wiesz (*wskazuje na brzuch*), flaki mu wyciągał, a później się rzucił do gardła. Było tyle krwi...

ONAONA – Nie było żadnego psa.

ONON – Dobrze wiesz, że był. Tu go też wzięli. Chcieli go na ciebie puścić. Ale się bałaś...

ONAONA (*histerycznie*) – Nie było, nie było, nie było.

ONON – Nic nie mogłem. Zresztą, komu ja byłem potrzebny (*pstryka palcami*), ot tak i już by mnie nie było. Może zresztą tak by było lepiej? Tyle lat. Po co to, po co? Ten Cygan, pamiętasz go?

ONAONA (*kiwa głową*) – Czarny był. Jak oni na niego mówili? Procha?

ONON – Procha, tak. Zębów nie miał. Chłopaki mówili, że mu je mundurowy wybił.

ONAONA – Zawsze nie miał zębów.

ONON – Ludzie mają zęby.

ONAONA – Ty nie masz.

ONON – Powypadały. Ale kiedyś miałem.

ONAONA – Wtedy jeszcze miałeś?

ONON – Przecież wtedy młody byłem. Każdy, jak jest młody, ma.

ONAONA – A Cygan nie miał. Jemu nie urosły.

ONON – E, nie. Bił się i tyle.

ONAONA – A jego matka?

ONON (*histerycznie*) – Co jego matka, co?

ONAONA – Nic, tak mi się wymknęło.

ONON – Ten twój jęzor... Szkoda, że ci go nie ucieli.

ONAONA – Pewnie.... Tego byś chciał. Jego matka, twoja matka...

ONON – Szkoda, że nie ma tabletek. Człowiek by wziął i wszystko sobie przypomniał.

ONAONA – Nie. Tak jest lepiej. Przypomniałbyś sobie i co? Bałbyś się.

ONON – I tak się boisz.

ONAONA – Ale mniej. Trzeba głosować. Może coś zmienią. Tak. Musisz iść.

ONON – Zmęczony jestem. Trzeba by się położyć. Pospać. Jutro trzeba będzie wstać.

ONAONA – Przecież jeszcze wcześniej. Zdążysz. A poza tym urlop ci dali. Dla podreperowania zdrowia. Możesz leżeć cały dzień.

ONON – Człowiek leżał na torach...

ONAONA – Ciągłe to opowiadasz. Mógłbyś pójść gdzieś dalej. Zobaczyć coś nowego. Albo do cyrku.

ONON – Wcale się nie bał.

ONAONA – Bał się, bał. Każdy się boi. Tylko tak udają. Nie patrzysz im w oczy.

ONON – Nie umiałeś przeklinać, pamiętasz?

ONAONA – Miałeś porwane portki.

ONON – Ten maszynista widział go z daleka. Miał czas żeby się zatrzymać. Najpierw zatrąbił. Ale on jakiś zamyślony był. Nawet jak już do niego podeszli, jak go wzięli pod ręce, nic nie powiedział.

ONAONA – Siedziałeś na murze?

ONON – Siedziałem.

ONAONA – Na naszym? Nie pogonili cię?

ONON – Uciekłem. Strzelali, kule tak świszcząły koło głowy... Ale widziałem.

ONAONA – Przysięgnij się.

ONON (*uderza się złożoną pięścią w klatkę piersiową*) – Jak Boga jedyne-go...

ONAONA – Zęby trzeba myć. Inaczej śmierdzi. I wypadają.

ONON – Ciekawe, czy go wzięli do szpitala? A może na rozwałkę? Takich nie żal.

ONAONA – Każdego żal. Nawet takiego. Pójdiesz na te wybory? Trzeba iść, prawda?

ONON – Ja bym poszedł.

ONAONA – Ciekawe... Nikt ci nic nie mówił?

ONON – O czym?

ONAONA – No, tak, ogólnie.

ONON – Coś tam mówili. Ale przecież wiesz, że ja nie słucham. ONAONA – Ty głupi jesteś. Na rozum się musisz leczyć.

ONON – Sam?

ONAONA – Jak sam? Lekarze muszą cię leczyć. Ty jakiś nerwowy jesteś. Kiedyś byłeś bardziej spokojny. Coś ci się porobiło.

ONON – Nie. Tylko te psy mi się śnią. I ta kobieta. Miała takie oczy.

ONAONA – Cicho, znów grają. (*gdzieś zza ściany dobiegają dźwięki symfonii Mozarta*) Trzydziesta ósma. Ciekawe, co to za orkiestra.

Przez chwilę siedzą w milczeniu, słuchają muzyki. Wreszcie ONON podnosi się, podchodzi do ściany, wali w nią.

ONON – Kogo to dziś obchodzi?

Wyciszenie, wyciemnienie.

Wacław Holewiński

Grzegorz Walczak

Obłoczni
czyli Sen Chopina

Fantazja narracyjna w dialogu
na fortepian i inne dziwne instrumenta rozpisana¹

muzyka: Fryderyk Chopin
– w twórczej aranżacji Marii Pomianowskiej –
i Julian Fontana – fragmenty

Osoby:

Fryderyk Chopin
Julian Fontana
Obcy – (Reżyser)
Ch – Chopin
F – Fontana

¹ Sztuka teatralna Grzegorza Walczaka *Obłoczni, czyli Sen Chopina*, której był też współreżyserem, miała premierę w Teatrze Praga (w Fabryce Trzciny) w końcu 2010 r. w 200-lecie urodzin Fryderyka Chopina. Wykonawcy: Fryderyk Chopin – Olgierd Łukaszewicz, Julian Fontana – Henryk Talar, Reżyser/Obcy (rola drugoplanowa) – Grzegorz Walczak. Muzykę Chopina, graną w spektaklu na żywo, etnicznie zaaranżowała Maria Pomianowska. Po rozwiązaniu Teatru Praga kierownictwo i menadżerowanie *Obłocznych* przejął Grzegorz Walczak. Sztuka grana była w różnych miejscach Polski przez prawie dziesięć lat, do czasu pandemii COVID-19 (rok 2019 i nast.). Słuchowisko w radiowej adaptacji autora emitował Program I Polskiego Radia w 2015 r. Za tekst sztuki Grzegorz Walczak dostał Nagrodę im. Witolda Hulewicza w 2015 r.

Przed progiem

Obcy (w pomiętym jasnym płaszczu, z którego na plecach wystaje jak kikut pióro czarnego ptaka, krąży wśród publiczności zgromadzonej przed wejściem do sali teatralnej, kolejno zwracając się do ludzi) Obmyj ręce. Jesteś zarażony codziennością. Obmyj ręce. Musisz się od niej oderwać, oczyścić. Obmyj ręce. I Ty i Ty. Twój umysł jest zamulony frasunkiem, bezsensownymi nakazami, zakazami, interesami, które nie są warte funta kłaków.

Podaje miseczkę z wodą i namawia do obmywania rąk.

Szlachetni, zapraszam was do świątyni sztuki. Powiadam „Szlachetni”, gdyż przyszlizie tu z własnego wyboru, wiedzeni instynktem wyższym. Dzień dobry, jestem demiurgiem, a może upadłym aniołem. Nie pamiętam. Pióra mi powypadały. Nie mogę was zaprowadzić do nieba ... ale mogę przeprowadzić przez *próg*, za którym jest czyściec. Czyściec to oczyszczenie. Oczyszczenie przez sztukę wyższą – to prawdziwe katharsis. Tylko obmyjcie w pierw swoje ręce. Chociaż ręce musicie mieć czyste. Muzyka Chopina oczyści Wasze serca, uniesie Was wysoko, wysoko, tam, gdzie czekają już na Was nasi... Obłoczni. Kiedy wrócicie do domów swoich, będziecie innymi ludźmi. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki może być inny, kiedy stanie na *progu*, za którym czeka go wielka niewiadoma. Obmyj ręce. (*Otwiera drzwi do głównej sali, by przeprowadzić ich przez Próg*). Podążajcie, podążajcie ku swemu przeznaczeniu.

Zespół instrumentalny gra muzykę Chopina

Reżyser (Obcy): (*do obu aktorów*) Panowie, mam dla was nową wersję tekstu. Jesteście zachwyceni, co? Dzisiaj możecie czytać, ale jutro – na pamięć!

Aktor 1 (Chopin): Nowa wersja? Ciągłe nowa wersja!

Reżyser (Obcy): Dacie radę. Wierzę w was i w teatr nieustającej próby. Nic gotowego, nic ostatecznego.

Aktor 2 (Fontana): A co ze scenografią?

Reżyser (Obcy): Jest. Pamiętacie pieśń Chopina *Leci liście z drzewa*? Mam ja liść. Oto nasza scenografia. Teatr mój widzę ogromny. (*Wypuszcza liść*). Wszystko tkwi w wyobraźni. (*do Publiczności*) Muszę Państwu powiedzieć, że przypadkowo natrafiłem na tajemniczy cytat z Chopina, który w ten sposób zwraca się do swego przyjaciela, sekretarza osobistego w Paryżu – Juliana Fontany: *Schowajmy się na po śmierci*. Uczeń daremnie głowili się, co to może znaczyć. Wiedziony wieszczą intuicją spełniłem nakaz Mistrza. Odnalazłem obydwu panów ukrytych w obłokach, a tymczasem Magdalena Oliferko odnalazła i opublikowała ich dotąd nieznanne listy do przyjaciół. Listy te rzucają ciekawe światło na tę ich dziwną przyjaźń. Będziecie zaskoczeni. Dobra. Próbujemy bez przerywania. Aha, ja zamarkuję Obcego.

Aktor 2 (Fontana): Chcesz być demiurgiem?

Reżyser (Obcy): Tego demona sam obudziłeś, Julianie Fontano. Szwendasz się po różnych kontynentach, bratasz się z różnymi ludami, plemionami. A to z ich kultur i wierzeń on pochodzi. Zaczynamy. Fortepian... en avant!

*

Muzyka indyjska. Nagły poszum, jakby przeleciał olbrzymi ptak.

Chopin: A to... co za diabeł?!

Obcy: Czy ktoś nie wzywał imienia mego nadaremno?

Chopin: Co to było?

Obcy: Dewy.

Ch: Jakie Dewy?

Obcy: Potężne to duchy. Nie byłeś w Indiach? List ci przyniosły. Czytaj, bo ci umysł zmać.

Ch: (*odczytuje*) *Wiesz, ja Paryża nie cierpię jako miasto, tylko to bieda, że tu jest centre sztuki. Chopina żal by mi opuszczać... Chopina? ... Kto to jest Chopin? – Ach, to ja. A ten list... od Fontany? ... ale nie do mnie. Upiory kroją intrygę.*

Obcy: Czytaj dalej!

Ch: (*czyta dalej*) *...Chopina żal by mi opuszczać, i chciałbym się z nim rozstać, bo ja go jak artystę nad wszystkich zawsze prznosiłem i prznoszę – ale jak człowieka kocham i nie cierpię, chciałbym go co dzień i być to mil od niego... To ciekawe. Nigdy bym się tego nie spodziewał po moim*

Julku najwierniejszym. Gdzie my jesteśmy? A, to przecież kościół św. Magdaleny.

Obcy: (znacząco) Paryż, 30 października 1849.

Ch: Zaraz mi zafundują mój *Marsz żałobny*, chociaż ja życzyłem *Requiem*. Tak, powoli wszystko sobie przypominam.

Rozlega się „Marsz Żałobny” Juliana Fontany – fragment.

Ch: A to co?!... Ani to moje, ani Mozarta. Przecież nie tak powinno być.

O, wynoszą moją trumnę z krypty. Jacy wszyscy poważni. Giacomo Meyerbeer wyprostowany jak pingwin, co właśnie wyszedł z wody w swoim najlepszym fraku. Ludwika, biedaczka, nie bardzo się może powstrzymać od płaczu. Jej mi naprawdę szkoda. A ci tu po co? Przyszli sobie jak na koncert. Ciekawe, jakie będą recenzje.

F: ...*To, że Chopin tak ograniczony i niedojrzały kompozytor uważany jest powszechnie za klasycznego muzyka, zakrawa na satyrę, ośmieszając władze myślowe muzycznych profesjonalistów...*

Ch: Profesjonalista! Ulice powinien zamiatać. Ale... skąd ten znajomy głos? Chyba i moje władze myślowe coś tu nie w porządku. Przywidziało mi się, że Julek Fontana obok mnie przemknął, a przecież ty, kochanie, wśród żywych.

F: ...*Jego harmonie są jedynie chorobliwe...*

Ch: Może płucne, ale nie fortepianowe. No więc kto tu się tak wymądrza!?

F: Cytuję Dawidsona sprzed ośmiu lat.

Ch: Jednak to ty, Julisiu. Czemu mi to robisz? I to na moim pogrzebie!

F: Bo mam w tym upodobanie, jakby Zły we mnie wstąpił!

Ch: Dawidson – przecież ten angielski nadęciak zamiast recenzować w *Musical World*, mógłby służyć za trąbę, tubę albo puzon. (*do Fontany*) Skąd się tu wzięłeś?

F: Osborn się też krzywił, że grasz anemicznie, że w tobie „więcej wyrafinowania niż wigoru”.

Ch: Przecież grałem im „*Kołysankę*” na szlachetnym Broadwoodzie – a to fortepian, a nie trzepak albo worek boksinowy. Jak wytłumaczyć tym gruboskórnym znawcom w Manchesterze, że klawisze to najbardziej delikatne receptory zmysłu, których nie powinna by się powstydić najczulsza kochanka. Pamiętasz te nasze? (*Wzdychają smętnie*)

F: Ciekawe, co też teraz o tobie piszą.

Obcy: ...*Najoryginalniejszy wdzięk, nieprzewidziane zwroty melodyczne...*

Chopin był wynalazcą... nie do naśladowania. Jego etiudy na fortepian są arcydziełami.

F: Widzisz, czasem dobrze jest umrzeć.

Ch: Tyle dobrego o sobie nie dowie się człowiek przez całe życie, co na własnym pogrzebie.

Mazurek Op. 68 nr 3, radośnie, niby w tanecznym marszu.

F: Ruszyli, a kogo tu nie ma! Zobacz.

Ch: Julianie, na czele konduktu sam księżę Adam Czartoryski!

F: Aaa! – jaka admiracja!

Ch: Całun podtrzymują Aleksander Czartoryski, Delacroix, Franchomme, Pleyel. Gdzie jesteś?

Obcy: Wysypali się z kościoła *Madeleine* i ciągną długim sznurem arystokracji ducha prosto na ten pokryty liśćmi, niezwykły *Pere Lachaise*.

Zaczyna sam fortepian.

Mazurek Op. 68 nr2.

Po jakimś czasie odpowiadają mu instrumenty dawne.

Ch: Wiesz, Julianie, śniło mi się, że umarłem. Może nawet bym się w tym nie zorientował, ale przeczytałem o tym w *Revue et Gazette Musicale*. Zapewne musiało się tak zdarzyć – gazety wiedzą najlepiej.

F: Jak nie piszą o tobie, znaczy, że nie istniejesz. Jak napisały, że umarłeś – to dopiero żyjesz.

Ch: Tej nocy w moim mieszkaniu, jak w dworcowej poczekalni, przewalało się mnóstwo postaci, niektórych nawet nie znałem. Przy moim łóżku całymi godzinami przesiadywała kochana Ludwika, wraz z nią Marcelina Czartoryska. Poduszki mi poprawiała Solange, wsłuchując się z rozpaczą w awangardową orkiestrę moich zniszczonych płuc. Czowali przy mnie Grzymała i Jełowicki, czuwali dzielnie, tak jakby chcieli upilnować duszyczkę, co się próbowała wydobyć z mojego mizernego, udręczonego ciała.

F: Tego się, mój Fryderyku, nie da upilnować.

Ch: W moim śnie i tyś się pojawił, Julianie, w nie najlepszej formie.

F: *Dwa naczynia z węglem czekały na mnie.*

Ch: Jeszcze cię widzę zac zadzonego, ciało twe bezwładne, oczy nieprzytomne i usta, które już nie są w stanie chwycić zatrutego powietrza. Nie wolałeś się strzelać?

Pauza.

Obcy: (*Fontana do Stanisława Egberta Koźmiana. Paryż 4.12. 1869.*)

F: *Mam w największym obrzydzeniu krew i mózgi roztrzaskane. I po co trwożyć sąsiadów?*

Kurdyjsko-arabskie parafrazy Chopina.

F: Otwiera się przede mną jakaś kurtyna barwna niby ogon ogromnego pawia. Pulsuje mi w oczach ognisty Sindźjah – legendarny paw chaldejski, a wokół mnie na szeroko rozstawionych nogach stoją kurdyjscy Jezydzi – czciciele diabła.

Znów uwyraźnia się motyw arabskich parafraz muzyki Chopina.

Ch: (*z niedowierzaniem*) Ta muzyka... Skąd u nich ta muzyka? ... kurdyjska, arabska czy moja?

(*Podjejrliwie patrzy na Fontanę.*)

To twoja sprawka. Musiał diabeł w ciebie wstąpić. No tak, zgrzeszyłeś samobójstwem. Wielkie tobą targały sprzeczności, nie zdzierzyłeś i targnąłeś się na swoje życie.

F: Wydaje się, że to było dziś i tysiące lat temu.

Ch: Julianie, przypuszczam, że jesteśmy poza czasem, a ta moja skaleczona muzyka, co się sączy z Przestrzeni...

F: ...Muzyka sfer. Nie dotarliśmy jeszcze do Przedwiecznego i nadal musimy się błąkać podobłocznie, kto wie, jak długo jeszcze.

Ch: Ja nie mogę się oderwać od siebie...

F: To dla mnie nie nowina. Taki byłeś i przedtem.

Ch: ...od mojej gleby, od Mazowsza, dopóki nie stworzę arcydzieła, muzyki wszechświatowej... ale nie płaczę, bo nie masz nic lepszego, co nam dał Bóg, ponad muzykę.

F: Kiedyś sądziłem, że to miłość.

Rytmy karaibskie jako odległe tło muzyczne dialogu przyjaciół.

Ch: Pamiętam, jak pisałeś do mnie z Kuby jeszcze w czterdziestym czwartym o tej twojej cudownej Kamili.

F: *Nie masz większej bolesti, jak przypominać sobie czas szczęśliwy w niedoli* – jak powiedział Dante, uchylając wrota swego *Piekła*, *(do siebie)* ale poczekaj, jeszcze i ja ci ich uchylę.

Ch: Była żoną bogatego angielskiego kupca?

F: Miała z nim pięcioro dzieci.

Ch: Bóg ją uwolnił.

F: Zginął pod kołami parowozu.

Ch: I dopadłeś wtedy to swoje bóstwo.

F: Właściwie to ona stanęła w moich drzwiach w Nowym Jorku i wtedy...

Ch: ...świat ci wypiękniał? Ale już pięć lat później twoja wymarzona zaziębia się na pogrzebie Celiny Mickiewiczowej... rodzi ci martwe dziecko...

F: Bóg ma wyczenie dramaturgii

Ch: ... i umiera na zapalenie płuc. Wiem, jak się płuca wypluwa.

Obcy: Tyle pięknych dusz spotyka się na *Cimetiere Pere-Lachaise*. *(pauza)*

Ch: *Moje Kochanie, na Boga cię proszę, szanuj mój manuskrypt i nie gniewaj mi, ani smół, ani drzej. Przepisz... Jutro dostaniesz Nokturna... Jeżeli Cię nudzi przepisywać, to zrób to dla odpuszczenia grzechów wielkich Twoich, bo nie chciałbym tej pajęczyny żadnemu grubemu kopiście dawać. Jeszcze raz Ci polecam, bo gdyby mi przyszło jeszcze raz te 18 stron pisać, owariowałbym. Ale nie pomiętoś!!!*

Obcy: *(Chopin do Fontany 18.10.1841)*

F: *A owariuj sobie. Dobrze ja pamiętam twoje przykazania i nie będę ci już więcej gniewać ani smolić twoich manuskryptów. Nie będę ci też już ich przepisywać ani się martwić, czy może tam jeszcze bemołów albo krzyżyków brak, ani też myślę się dłużej za twymi nakładcami uganiać, a biadolić, że nie możesz im Allegro maestoso za 300 franków dać, tylko za 600... Teraz ci się odwdzięczę.*

Ch: O co ci idzie?

F: *(do kapeli)* No, kochani, nastrojcie swoje piszczały po bałkańsku!

Dość dziwna muzyka Chopina – przeróbka krańcowo odległa od wzorca. Mazurek Op. 33 nr 2 po bałkańsku A – 3/4. Chopin z trudem to wytrzymuje.

Ch: Oszczędź, oszczędź, proszę!

F: Nie będę cię oszczędzał ani ci już więcej – jak powiadasz – swej *wąchali-tis* użyć, żeby twojej Georges ukochanej, godne jej majestatu lokum wynaleźć. Nigdy mnie ona nie zaprosiła z innymi t woimi przyjaciółmi do swego Nohant. Ale jak słudze swojemu przysłała mi spis ulic zalecanych, gdzie apartamenta mogłaby przyjąć łaskawie. *Żeby tylko gabinet do pracowania albo sypialny miał wychód oddzielny, żeby odorów nie było, dymu żeby nie było, widno, ile można piękny, to jest niezapaskudzony widok,... dziedziniec duży, najlepiej ogród.*

Obcy: (*Chopin do Fontany w Paryżu, Nohant, październik 1839*).

Ch: Dlaczego mnie tak karzesz za kaprysy tej damy?

Etniczne przeróbki Chopinowe B – 7/4.

Ch: (*o muzyce*) No, nie – tego to już nie będę słucał!

F: To **ja** już nie będę znosił twoich kaprysów, nawet gdybyś mi mnożył tytuły: (*parodiuje Chopina*), *moje Życie, moje Kochanie, moja Julisio*, i nie wiem, jakie jeszcze afekta w swych listach objawiał. Żeby samemu nie owariować, raz już musiałem od ciebie zbiec. Dopiero wtedy się mogłem zająć własnym *Marszem Żalobnym*.

Ch: Szelmostwoś mi wtedy wielkie uczynił, ale przecież z tą swoją kopistą twórczością znalazłeś się i bez mojej protekcji, na którą tyleś wyczekiwał, w albumie słynnego Schlesingera, obok kompozycji moich – a jakże! – i takich mistrzów jak Kalkbrenner, Mendelssohn, Moscheles, Rossini.

F: Potem i inne oficyny paryskie i niemieckie nie pogardziły moimi opusami – a widzisz!

Ch: Przyznaję, w 43 zdobyłeś na salonach paryskich nawet pewien rozgłos, cóż z tego, kiedy już w 44 uciekłeś, zdrajco, na Kubę.

F: Zdrajco! – gdybym to ja potrafił, gdybym cię w końcu zdradził. Ale skądże – ja wierny twój paż nawet na Kubie i wszędzie, gdzie mnie los rzucił, grałem mojego Chopina. Niosłem cię tam, gdzie jeszcze nikt nie słyszał twoich *Mazurków*, twoich *Nokturnów*, bo przecież wiedziałem, że tylko twoja muzyka, że tylko ty jesteś ... (*z rezygnacją*) moim cudem przeklętym, moim piętnem i moją wiarą.

Ch: Wiem, wiem – maltretowałem cię zawsze, musiałeś przepisywać, ciągle przepisywać te gryzmoły moje, a ganiać z moimi nutami po skąpych wydawcach, wyduszać z nich honoraria, co mi się wciąż wydawały za małe.

F: A to mieszkanie opłacić, wytapetować, a to do Nohant drugi fortepian *Pleyela* sprowadzić.

Ch: Zaraz mi się też odechciało z tymi fortepianami mieszkać, bo mi jakiś chłód od nich doskwierał i wilgoć się z tej rue Tronchet ciągnęła jak londyńska mgła, której miałem dopiero doświadczyć. No i musiałeś mnie przenieść na zimę, biedny Juleczku, Julisio moja, do George na rue Pigalle. Dobrze to pamiętam. Czego ja nie chciałem od ciebie, czego nie żądałem.

F: A to mydełka wiadomej firmy i w twoich kolorach.

Ch: Pamiętasz, w jakich kolorach?

F: Albo ten pasztet sztrasburski...

Ch: *Pasztet przyszlizj duży... bom się założył i przegrał...* Zwykle bezczelność swoją kończyłem: *drogi przyjacielu, kiedyś taki dobry, bądźże do końca.*

F: Byłem ci Piętaszkciem wiernym.

Ch: Wybacz mi. Za karę gotów jestem wysłuchać któregoś z twoich *Mazurków*.

F: Żart godny geniusza!

Ch: Niesmaczny żart. Znowu się wygłupiłem. Poważnie – zagraj mi coś swojego – może żalobne opusy...Czemuś się targnął na życie swoje?

F: Ty nie wiesz, jak to jest, kiedy grasz, a już żaden dźwięk do ciebie nie dociera?

Ch: Beethoven też ogłuchł, a jednak...

F: Jak długo można słuchać ciszy?

Ch: Wybacz mi, proszę, i bądź mi nadal tym, kim byłeś, lecz już w o wiele większym dziele. Dopomóż mi, bym poznał tajemnicę ludów świata i zanurzony w ich muzyce wydobył z niej pierwiastek boski.

F: Chcesz dzieła absolutnego.

Ch: Wtedy dopiero mógłbym powiedzieć – spełniło się, jestem wolny.

F: A nie jesteś?

Ch: Ja dziś od ciebie o wiele więcej żądam. Nie jesteś mi już skrybą, zwyczajnym kopistą, ale moim posłem, moim okiem na świat, uchem wśród kontynentów. Nieś nuty moje nie tylko na Kubę, nie tylko do Filadelfii i Nowego Jorku, ale wszędzie, gdzie twoje dobre lub upadłe anioły na złotych trąbach obwieszczą nasze przybycie. Zbieraj mi dźwięki twoich wszystkich plemion, wysyłaj na wieczną poste restante muzykę wyciśniętą z szumu wyschniętych stepowych traw, z piszczałek naszych kolorowych braci, z wycia wilków Syberii, z tętentu azjatyckich koni, z szelestu lotnej szarańczy, a wtedy ja...

F: Myślę, że ten paw, co mi swym ogonem przysłonił wtedy całe niebo, bardziej się tobie należy.

Ch: Więc jak, przyjacielu demonów, mogę na ciebie liczyć, czy już ci jestem niepotrzebny, bo tylko z nimi chcesz obcować?

F: Wiem, com ci winien, bo kto by o mnie słyszał, gdybym mimo wszystko nie był twój, Fryderyku.

Ch: Zawsze tyś mój, moja ty Julisiu.

F: Nie przesadzaj. Nigdy ci nie był tak bliski, jak choćby Tytus w naszych latach młodzieńczych.

Ch: (*śmieje się*) Tytus? ... Zazdrość o Tytusa Woyciechowskiego?

F: Bardziej niż o Konstancję Gładkowską, do której tak romantycznie wzdychałeś.

Ch: Gładka była prawdziwie.

F: Ale nieprawdziwe było to twoje uczucie do niej.

Ch: Jak to? Napisałem jej *Walca Des-dur*.

F: I zaraz go posłałeś do Poturzyna z dopiskiem: *Jakżeby mi było słodko zagrać Ci go, najdroższy Tytusie*.

Ch: Znasz nawet dopisek?

F: A znam ja i inne listy twoje. Teraz już wszystkim dostępne. (*cytuje drwiąco*) *Ściskam Cię serdecznie, w same usta, pozwolisz? Nie chce mi się nowin pisać, tylko bym się z Tobą pieścił. Jaka szkoda, że ja zamiast listu sam się posłać nie mogę. Ty byś mię może nie chciał, ale ja Ciebie chcę i czekam z ogolonymi wąsami*.

Obcy: 5 czerwca 1830

F: Obrzydlistwo.

Ch: A toż ja go jeszcze bardziej maltretowałem: *Nie lubisz, żeby Cię całować. Dziś pozwól mi tego... bo Cię szalenie kocham*. Tak, to też moje słowa. A żebyś wiedział, jak się Tytus pienieł na owe moje „panieńskie” wyznania! Tym bardziej nacierałem.

F: Szkoda, że na Gładkowską nie natarłeś skutecznie.

Ch: A skąd wiesz?

F: W ogóle nie starałeś się jej bliżej poznać, chociaż już strasznie do kobiet przebierałeś nogami. Ale do tej twojej Gładysi umiałeś tylko wzdychać, bo tak było romantycznie, modnie.

Ch: Musiałem mieć jakąś wybrankę. Miałem już przecież dziewiętnaście lat.

F: Chociaż tyle z niej pożytku, że była ci natchnieniem dla *Koncertu F-Moll*.

Ch: Masz, Julku, rację – aż nazbyt przepadałem ja wtedy za płcią niewieścią, alem się jej tajemnych dziwności obawiał. A Tytus? Jemu mogłem wszystko nabajdurzyć.

Afryka.

F: Hej, hej! – Fryderyku! Zapuściłem się w nigeryjski kocioł.

Ch: Pamiętasz moje *Preludium deszczowe*?

Fortepian solo – „Preludium deszczowe”.

F: Zaraz ci je przyoblekę w nowe, ciekawsze rytmy.

Ch: Tylko moich całkiem nie zatrać.

Fortepianowa muzyka Chopina zostaje „pochłonięta” przez Zespół etniczny, który wykonuje ją w sposób charakterystyczny dla plemion afrykańskich.

F: No, proszę, to niesamowite – Tuaregowie pożerają cię – twoją muzykę – namiętnie, jakby na tę ucztę czekali całe życie.

Ch: Opowiedz mi coś więcej o tych swoich kanibalach.

F: A ty wiesz, że u nich tylko mężczyźni zakrywają twarze fragmentem turbanu, chroniąc się przed siekącym piaskiem i przed *złymi siłami*, co wchodzi przez usta?

Ch: Złe siły wychodzą również ustami... żurnalistów i obmawiaczy. Gdybym ja miał turban, pewnie bym dłużej pożył.

F: Ci niegdysiejsi Berberowie, w przeciwieństwie do innych wyznawców Allacha, uznają matriarchat.

Ch: Jak moja George.

F: Ta kobieta dobrze się na tobie poznała.

Ch: Była ci wyjątkowo niełaskawa i niesprawiedliwa, ale ty jej wierzysz.

F: Jak mógłbym nie wierzyć? Wyjątkowo celnie i barwnie opisała twój pobyt na Majorce. Pamiętasz? – Mistrz na spacerze.

Ch: Pamiętam... w głowie tyle nut, całe pochody niewybrzmiałych dźwięków.

F: (z *drwingą*) Ale parobek niestety nie nosił za Mistrzem fortepianu.

Ch: Kiedy się nachylałem nad tą starą studnię, wszystko pięknie grało, jakbym w niej słyszał *Das wohltemperierte Klawier* i moją na Bacha

odpowieź. Kompozycja precyzyjna – jak u niego – tak mi się przejrzystość układała, ale nim dobiegłem do pianina, rozsypała się, sacrebleu!

F: I w lament. Nie dało się z nim wytrzymać – skarżyła się George: *Całymi godzinami zamykał się w swym pokoju, spacerował po nim, płakał...*

Ch: A tak, płakałem, bardzo płakałem.

F: ...łamał pióra...

Ch: A tak, łamałem pióra i zmieniałem setki razy jeden takt.

F: ...tyle razy zapisywał go i wymazywał, a nazajutrz zaczynał wszystko od nowa.

Ch: Zaczynałem od nowa.

F: ...przesiadywał sześć tygodni nad jedną stronicą, aby w końcu zapisać ją tak, jak to nakreślił w pierwszym rzucie.

Obcy: *George Sand: Histoire de ma vie, 1854-1855*

F: Dobrze, że już ani ona, ani ja nie musimy cię niańczyć.

Ch: Musisz. Jak widzisz, nawet śmierć nas nie rozłączyła.

F: Wolę już tych moich dumnych Tuaregów, chociaż oni też nie podejmują się żadnej pracy fizycznej. Dla nich to hańba. To ci powinno być bliskie, drogi Fryderyku.

Ch: Nie przeczę. Do tego mam umysłnych. Uraziłem cię? Julku... gdzie mi tak nagle znikasz? Chcę z tobą mówić!

F: Znajdziesz mnie zawsze. Jestem przecież wszędzie.

Ch: Nie zostawiaj mnie na tym pustkowiu! Przecież wiesz, że mi suche wiatry szkodzą.

Chopin – muzyka indyjska. Przewoźnik i podróżny nawołują się z daleka.

Przewoźnik (Fontana):

F: (woła) Sahib, siadaj! Płyniemy!

Ch: (odkrzykuje) Chciałem riksę!

F: Nie mam rikszy, ale mam śikarę. Sahib, nie zwlekaj!

Ch: Jesteś Charonem? A to zbeftane rozlewisko to Styks?

F: To jezioro Dal.

Ch: Masz pewność, że ta kraina to nie Hades?

F: Wczoraj był to Kaszmir i przedwczoraj, i pewnie będzie jutro, chociaż pewności, sahib, to nigdy nie ma. Co mi się tak przyglądasz? Mam wygląd potępieńca, sterującego magiczną łodzią po zaczarowanych wodach poranka?

Ch: Chyba ci język tak poetyckim czyni ta kaszmirska brandy, co ją wciąż popijasz.

F: Chcesz kropelkę?

Ch: Machaj wiosłem, bo wydaje mi się, że stoimy w miejscu.

F: A tyś myślał, że ruch nas do czegoś prowadzi?

Ch: Czyś aby nie był filozofem w swoim przeszłym wcieleniu, przewoźniku na brandy pędzony?

F: Jestem bardzo mądrym analfabetą, którego robactwo obsiadło.

Ch: Zbyt mądrym i dlatego cię rozpoznałem.

F: Takim stworzył mnie Salman Rushdie w *Dzieciach północy*.

Ch: Ten, na którego fundamentaliści muzułmańscy wydali wyrok śmierci, Fontano?

F: No, patrzcie, patrzcie, Chopin czyta dwudziestowieczną prasę brytyjską – ciekawe, w jakim języku.

Ch: Z braku (dobrego) fortepianu...stałem się odczytany. Już się nie gniewasz?

F: Nie mam czasu się gniewać. Na dwór cesarski pędzimy! Prędziej!

Ch: Na jaki dwór?

F: Ciii!

Muzyka japońska Chopina.

F: Tu się mówi szeptem. W obecności cesarza Japonii musisz się odpowiednio zachowywać.

Ch: Jestem przecież człowiek bywały... na salonach paryskich...

F: Wiem, wiem, na salonach paryskich nieźle brylowałeś, o mnie nie pamiętając, ale tu całkiem inne salony.

Ch: To może wyniesiemy się stąd?

F: Teraz, kiedy całą Japonię uwiodła twoja muzyka?

Ch: Co ty mówisz, grają na fortepianie?!

F: Azja już nie ta sama, Fryderyku. W samych Chinach gry na fortepianie uczy się 38 milionów dzieci.

Ch: Toż w Polsce nie ma tylu mieszkańców!

F: Ciii, tu się mówi szeptem. Ukłoń się. Niżej.

Ch (szeptem): A to kto?

F: Cesarzowa pani.

Ch: A ci, co to za cudaczni gęślarze?

Obcy: Zespół Marii Pomianowskiej.

Fortepian oraz Zespół etniczny grają *Etiudę E-dur Opus 10 nr 3*.

Ch: Wróćmy do sprawy. Jaką wiedzę tajemną zdobyłeś dla mnie (*trochę drwiaco*) – alchemię tworzenia, nutę Absolutu?

F: A dlaczegoż ja miałbym coś dla ciebie zdobywać? A coś ty dla mnie uczynił, gdy potrzebowałem twego wsparcia, choćby dobrego słowa o moim talencie, gdy mnie lekcji nie stało, długi z kretesem zżerały? Ja zawsze z pokorą wypełniałem wszystkie twoje zachcianki, gdyś ty w sławie nowych sukcesów po salonach rautował. Nigdyś mego poniżenia nie chciał zauważyć, kiedyś słałem po ratunek błagalne listy do przyjaciół, wciąż uprzykrzając się Stanisławowi Egbertowi i Kornelci de Verny.

Ch (*szydlerczo*): Wiem, moje Kochanie, wiem. Twoje listy wydała Magda Oliferko, w 2009 roku. No, to zobaczmy, coś 7 maja roku Pańskiego 1842 wypisywał z Paryża do swojej wicehrabini. Masz, sam przeczytaj! Głośno.

F: ...zdawałem się zawsze na przyjaciela...

Ch: Wtedyś mnie jeszcze miał za przyjaciela.

F: ...który mógł mi karierę otworzyć, a który...

Ch: No, no, czemuś zamilkł? Wykrztuś wreszcie. Pomogę ci. (*I sam kończy list Fontany*) ... a który zawsze był nieszczerym, fałszywym, nieprzyjaznym. Aby się pozbyć jego wpływu, porzuciłem Paryż chwilowo. Porzuciłeś. Uciekłeś na Kubę. Pięknie, co?

F: Przez te wszystkie lata ty byłeś powodem... Przy tobie nie mogłem, nie miałem odwagi choćby kilku nut własnych nakreślić.

Obcy: Widząc go zawsze fałszywym, niechętnym, zerwałem z nim i pisać zacząłem. (*Fontana do Stanisława E. Koźmiana, Paryż 5.04.1842*)

Ch: Cóż ci mam powiedzieć – że ci kariery kompozytora nie mogłem otwierać? Próbowalem już raz u Schlesingera protegować *Oratorium* Elsnera – naszego mistrza. Daremnie. Mogłem i ciebie obwołać geniuszem, ale ja...? Zawsze ceniłeś mnie, Julku, za moje nieprzejednanie w materii sztuki. A jak myślisz, dlaczego zakazałem druku po mojej śmierci tak dziś popularnych *Mazurków – a-moll opus 67 i 68*, a i *Walców* moich ślicznych? Merde! (*z ironią*) W każdym z tych arcydzieł, drogi znawco – jak krowa nauczona w tym samym miejscu żreć trawę, choćby już tam tej trawy nie było – przechodzę ci ja symetrycznie z „*moll*” do *dur*”. Sztampa, łatwizna, krowiniec. A ty to przepuściłeś. No dobra, pokaż te swoje dzieła.

Coś z muzyki Fontany

Ch: Tak. Niby ładnie kroisz kompozycje swoje, ale... chyba tobie nie muszę tłumaczyć...

F: Wiem, miernoty nigdy nie cierpiałeś ani w sztuce, ani w ludziach.

Ch: Srodcze grzeszysz. Jesteś kompozytorem, pianistą, żołnierzem- powstańcem, prawnikiem, szerzycielem wiedzy astrologicznej, podróżnikiem, przetłumaczyłeś całego Don Kichota, dałeś nam nowe zasady pisowni – to mało na jednego człowieka? Takie bogactwo, od Boga tyle talentów. Ja na przykład całe życie brzdąkałem tylko w klawisze fortepianu.

F: I ty podobno jesteś wyjątkowo szczery, (*przedrzeźnia Chopina*) *Kochanie moje, Moje życie, Moja Julisio*. O, jakie to oryginalne! Geniusz zawsze musi być oryginalny. Inaczej szybko wysycha i staje się purchawką. Nadepnięta, dym tylko puszcza... Nikt nie jest w stanie cię skopiować, podrobić.

Chopin podtrzymuje stylistykę poważnie wypowiedzanej kpiny.

Ch: Wiesz, Piotr Wierzbicki – ten, co pisze w *Gazecie Wyborczej* czy w *Ruchu Muzycznym* – skazał mnie za to na samotność wśród największych twórców, bom taki *nieprzewidywalny*.

Obcy: Nie masz przez to swojej szkoły.

F: Właśnie, nie masz przez to swojej szkoły, swoich kontynuatorów. Ale czy ty ich potrzebujesz? Czy ty w ogóle zauważasz innych?

Obcy: Chopin nie cenił żadnego z kompozytorów sobie współczesnych. Mendelssohna lekceważył, Liszta nie znosił, innych mniejszych tolerował dobrotliwie. (Piotr Wierzbicki *Życie z muzyką*, PIW 1993)

Ch: Uczniom swoim stale zalecałem: Grać Bacha, zawsze grać Bacha! Bez partytury Das wohltemperierte Klawier nigdy bym się nie wybrał na Majorkę.

Obcy: Podejrzewam, że i schumannowski fortepian brzmiał dla Chopina pospolicie.

F: Zaiste, *fantazyjny (z ciebie) wybryk natury*, jak powiada ten, jak mu tam?

Obcy: Wierzbicki.

Ch: Wybryk to ty popełniłeś, publikując zakazane przeze mnie manuskrypta moje. A jaki chaos uczyniłeś wielki swoim datowaniem, łącząc

mi kota z psem, krowę z wiatrakami, a dzieła z różnych czasów w jedno opus.

F: Tyle nieocenionego piękna ocalałem dla potomności.

Ch: A bodaj byś nie ocalał!

F: I co, miałoby to wszystko... przepaść, chociażby taki *Nokturn e-moll, opus 72* – takie dzieło?!

Ch: No, ale żeby mi go tak przestrzelić w czasie?!

F: Sam teraz widzisz, co ten czas wart. Rozłazi się nam jak sweter zjedzony przez mole.

Ch: I to ty, któryś się chełpił znawstwem mej muzyki!

F: Aż tak mnie łajesz?

Ch: Aż tak. Bo jakżeż można wsadzać mi *Nokturn* elegijny, ze schyłku mego życia w dziecięce próby, kiedyś jeszcze trenował salonowe wzorce Fielda, w stylu brilliant? A to po środkach harmonicznym, którym zastosował, a po głębi tragicznego tonu nie mogłeś rozpoznać, że mój czas już blisko? Wyjechałeś, goniąc za swymi chimerami na Kubę i dalej do Ameryki, a ja już nie dałem rady, by mój *Nokturn* przygotować do druku.

F: Zaiste, grzech mój ciężki. I jaką mi teraz wyznaczysz pokutę?

Ch: Persja.

F: Iran. Liczysz na tortury, boć śmierci mi drugiej nie będą w stanie zadać.

Ch: Miejmy nadzieję – Julisio kochana.

Muzyka – Chopin w Iranie.

F: A wiesz ty, że kobiety w tym ciekawym kraju mają zabronione śpiewać na publicznej scenie?

Ch: Chyba ty się śpiewać nie obawiasz? Mniemam, że pozostałeś przy płci swojej?

F: Muzyka zawsze znaczyła tu istotę życia.

O, spójrz na niego – gra jak nawiedzony na *setarze księżycowym*... Ależ on już „odjechał”, jak po najlepszym opium.

Ch: A i słuchacze kołyszają się w transie.

F: I mnie się to udziela.

Fontanę – i częściowo Chopina – ogarnia psychodeliczny, „narkotyczny” stan.

Ch: Dziwne, jestem w sobie i jednocześnie nad sobą. O, jakieś niebiańskie postaci unoszą...

F: ...santur, santur płynie w powietrzu!

Ch: Nikt nie uderza w struny, a przecież muzyka w nim rozbrzmiewa! Ten boski dźwięk rośnie we mnie i rośnie.

Krystaliczny ton.

F: (*słabym, niepewnym głosem*) I we mnie.

Ch: Czuję się, jakbym był Panem Stworzenia. (*ekstacycznie*) En avant!

F: En avant!

Ch: (*radośnie*) Jesteś ze mną!

F: Bo w tobie żyje dźwiękorodny wieczny Nada-Bingu, kochany Fryderyku.

Ch: O czym mówisz?

F: Ton, który jeszcze nie zabrzmiał, a już gdzieś jest, ton, który dali bogowie. Odnaleźć go może tylko prawdziwy mistrz.

Piękny ton przechodzi w długi dysonansowy dźwięk.

Ch: (*przytomniejąc*) O, podli! Santur! ...

F: Rozbiły go jakieś uzbrojone pacholki.

Ch: Leży strzaskany na bruku, jak u Norwida mój fortepian.

F: A w tym kraju zabić muzykę – to jakby zabić duszę człowieka, mało – pokolenia.

Jakis odległy, surowy dźwięk – głos alikwotowy.

F: Zamknij oczy i popatrz tam, gdzie ta biała kraina, której dalekie mroźne westchnienie wiatru, jak samotnego wilka wycie, niesie pierwotną nutę. Podchwytują ją ludzie. To głos Syberii. Z nim się też mieszał kiedyś gardłowy śpiew wygnańców naszych.

Ch: Bliski nam, Julianie, którzyśmy ojczyznę naszą utracili.

(Muzyka – Chopin na Syberii)

Ch: Może by tak zajrzeć do kościoła?

F: Chcesz się pomodlić?

Ch: Popatrzeć na swoje serce.

F: Boli cię? Ach, zapomniałem. Chcesz... do Świętego Krzyża. No tak, tam twoje serce – relikwia Narodu.

Ch: Mamy rok 1999. 150 rocznica mojej śmierci.

F: Rozumiem – pragniesz ją uświetnić swoją obecnością?

Ch: Naturalnie.

F: Czytałem w książce Jana Brokkena, żeś od Tereski złapał syfa.
To prawda?

Ch: Nie wystarczyło ci, że moje płuca...?

F: O, Krakowskie Przedmieście. Jest i nasz kościół Św.Krzyża.

Ch: Nikt nas nie wita. A co to za dziwne typy, smoliste jakieś takie?

F: To nasi Antylczycy.

Ch: Klęczą przed mym sercem? Jest ich chyba? ...

F: ...jedenastu. Właśnie, książka Brokkena, która się ukaże za 9 lat, w 2008, będzie miała tytuł: *Dlaczego jedenastu Antylczyków klęczało przed sercem Chopina*. Przeżegnali się, wstają, wszyscy patrzają na nich w zdumieniu.

Ch: Goście z daleka.

Obcy: Wyspa Curacao kojarzy się Polakom tylko z likierem na skórkach gorzkich pomarańczy, ale na pewno nie z Chopinem, który nigdy tam nie był, a jednak w metrum 6 / 8 jest on na Karaibach tak radosny i skoczny, że aż same nogi tańczą. Tam prawie każdy ma swój instrument i jest kompozytorem.

Ch: Niech mi zagrają!

Fortepian – szczeropolska muzyka Chopina.

F: Fryderyku, twoje Mazowsze, jesteśmy w domu.

Ch: Tak, tu jest mój wszechświat. Ale czemu mi on tak wiruje, spada w wielkim pędzie.

Motyw „Marsza żałobnego” Chopina.

Ch: (z przerażeniem) Ale to przecież nie ten kościół...!

F: To Kościół św. Magdaleny przy wielkich bulwarach Paryża.

Ch: O, wynoszą moją trumnę z krypty. Gdzie jesteś Julianie?!

F: Podążyłem w lepsze czasy. Wróciłem do...

Ch: (w półprzytomnie) Dewy? ... Anioły? ... Wszystko poplątane.

F: Dziś 1 marca 1810 roku – rodzisz się, chłopcze!

Tyle radości, tyle radości!

W momencie śmierci Chopin w swoim długim śnie wraca do chwili narodzin. Śmierć miesza się z narodzinami, podobnie jak dwie odmienne w nastrojach muzyki: 1. uładzona, harmonijna, klasyczna i 2. coraz bardziej niespokojna, groźna, dysonansowa. Ta ostatnia w końcu dominuje. Pozostaje tylko dysonansowy zgiełk.

Ch: *(gasnąc)* To ma być muzyka Absolutu?

Oddalający się głos Fontany.

F: Tyle radości! Rodzisz się, Fryderyku!

Obcy: Wysypali się z kościoła *Madeleine* i ciągną długim sznurem arystokracji ducha prosto na ten pokryty liśćmi, niezwykły Per-Lachaise.

Wystukany jednym palcem końcowy, prosty chopinowski motyw.

(Jako Reżyser) Koniec próby. Dziękuję.

Grzegorz Walczak

Joanna Jagiełło

Święty Mikołaj – Misja Specjalna

Fragmenty

W przeddzień Wigilii Mikołaj i Marta wpadli do fabryki zabawek, żeby zobaczyć, czy wszystko jest gotowe na jutro. Z daleka spostrzegli ustawione w ogromną piramidę worki z prezentami, ale choć był już wieczór, fabryka nadal tętniła życiem. A co to za zbiegowisko?

Na ławeczce przed bramą siedziała młoda elfka z niebieskimi włosami, a wokół niej skupiły się inne elfy.

– Co się stało? – zapytała z troską Marta, bo elfka była bardzo blada.

– Nic, już wszystko w porządku – odparła elfka. – Potrzebowałam tylko świeżego powietrza. Po prostu tyle mamy pracy, że...

– Idź już do domu, Emko – odezwał się elf w żółtej czapeczce i zakaszłał. On też nie wyglądał najlepiej. Miał podkrążone oczy i był strasznie chudy.

– Nie ma mowy, Edwardzie! – obruszyła się Emka. – Przecież jest jeszcze tyle do zrobienia! A ja się już dobrze czuję, naprawdę.

– Myślę, że jednak powinniście trochę odpocząć – odezwała się Marta.

– Czy nie jesteś

przypadkiem przeziębiony, Edwardzie?

– Troszeczkę – przyznał elf i kichnął. – Spociłem się przy pracy i wyszedłem na dwór, żeby przeładowywać paczki. Ale to nic!

– On nawet nie ma czasu napić się herbaty. Nie mówiąc o jedzeniu! – wykrzyknęła inna

elfka o imieniu Esma.

Marcie przypomniało się, jak poznała elfy. Wiodły wtedy tak beztrioskie życie! Grały w badminton, łowiły ryby, gotowały borówkowy kisielek... A teraz ich dni wypełniała ciężka praca!

– Naprawdę się staramy, ale jest tyle zamówień! – dodała Esma.

– Pracujecie wspaniale! – pocieszała zebrane elfy Marta.

– Ale na pewno chcielibyście odpocząć, prawda? – wtrącił Mikołaj. – Czasem się zastanawiam, czy to w ogóle ma sens... – Natychmiast jednak urwał, bo Marta spojrzała na niego surowo.

– Nie narzekamy – odezwała się Emka. – Wolimy robić coś pożytecznego, niż leżeć do góry brzuchem! Przecież dzieci czekają na zabawki! No, dość tej przerwy, musimy wracać do pracy!

Elfy poleciały w stronę bramy, a Mikołaj i Marta usiedli na chwilę na ławce. Mikołaj stęknął, bo była to ławka elfia, a nie ludzka – zdecydowanie dla niego za mała!

– O co ci chodziło? – zapytała Marta. – Dlaczego pytasz, czy to ma sens? I to przy elfach!

– Zbyt ciężko pracują – odparł Mikołaj. – Ja też jestem już zmęczony...

Mikołaj zamilkł, bo nagle zobaczył, że w ich stronę leci Elin. (...) Trzymał w swoich drobnych rączkach wielkie pudełko. Zorza polarna oświetliła jego twarzyczkę i małżonkowie wyraźnie zobaczyli, że elf jest zatroskany.

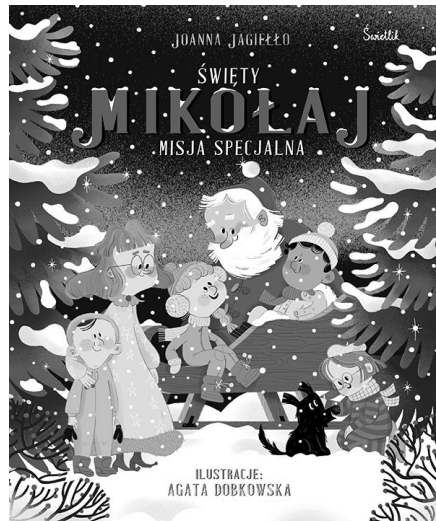
– Coś się stało? – spytała z niepokojem Marta.

– Hm... Może nic, a może coś – odparł elf. – Przyszły ostatnie listy... Tak, wiem, że Wigilia już jutro, ale chyba jednak powinniśmy je obejrzeć. – Położył na ławce pudełko i choć było chłodno, otarł pot z czoła.

Na wieczku wykaligrafowany był napis: DO WERYFIKACJI, a pod nim Adaś swoją małą rączką dodał: NIE WIADOMO CO.

Było to, jak się zapewne domyślacie, pudełko z listami, które z jakiegoś powodu sprawiały trudność albo z którymi nie do końca było jasne, co zrobić. Na przykład pewna dziewczynka napisała, że chciałaby dostać lolelek

Joanna Jagiełło
Święty Mikołaj. Misja specjalna
 Ilustracje Agata Dobkowska
 Wydawnictwo Świetlik
 Warszawa
 Premiera: 29.10. 2025
 Stron 40
 ISBN: 9788383713793
 Oprawa twarda
 lub audiobook MP3
 lektor Wojciech Masiak



i nową kordełkę, no i trzeba było zgadywać, że chodzi o rowerek i kołderkę. Niektóre dzieci rysowały upragnione zabawki i czasem Mikołaj, Marta i Adaś musieli się godzinami zastanawiać, co te rysunki przedstawiają. A ile przy tym było śmiesznych pomyłek! Chyba najgorsza wpadka zdarzyła się, gdy pewien chłopiec zamiast czarnej wyścigówki dostał pluszowego kreta! W wielu listach nie było dokładnego adresu. Trzeba było wtedy dociekać, skąd jest stempel pocztowy, a potem szukać „małego czerwonego domku przy jabłonce”.

Ale ostatnimi czasy przychodziło sporo listów, które były zupełnie inne.

Pojawiało się na przykład mnóstwo „listów z listami” – tak nazywał je Mikołaj, bo były w nich długie spisy rzeczy. A nawet katalogi zabawek, w których dzieci zakreślały, co chciałyby dostać! W takich przypadkach Mikołaj i Marta wspólnie decydowali, co z takimi listami zrobić. Starali się spełniać marzenia dzieci, ale te chciały coraz więcej i więcej, a elfy nie dawały już rady.

(...)

Mikołaj się zasępił.

– Nie rozumiem tego świata. Dzieci są chciwe albo niegrzeczne, rodzice nie lepsi. Chyba pora udać się za zasłużoną emeryturę. A na razie to wracam do domu. Spać mi się chce. Użyj tych listów na podpałkę, Elinie. I tak przyszły za późno. Nikt nie może oczekiwać, że...

– Kochanie, nie poznaję cię. (...) Czy naprawdę chcesz, żeby dzieci przestały wierzyć w Świętego Mikołaja? Nasze starania, tyle lat pracy, gdy czyniliśmy dobro... Czy to wszystko chcesz wyrzucić do śmieci?

– Właśnie! – Elin pokiwał głową. – Po prostu nie wiesz, co robić. My, elfy, gdy nie możemy sobie poradzić z jakimś kłopotem, radzimy się Elaris, Lodowej Wróżki.

Elin wyjaśnił, że można udać się do niej tylko wtedy, gdy ma się prawdziwy problem. Taki naprawdę, naprawdę prawdziwy. Ale chyba to był właśnie ten moment, prawda?

Mikołaj marudził. Że nigdzie nie idzie, bolą go nogi, chce mu się spać i to wszystko jest bez sensu. I że tak w ogóle to nie zna tej wróżki. Co, jeśli to okrutna wiedźma, która zamieni ich w lodowe rzeźby? Marta wytykała mu, że gdyby się więcej ruszał, to by go nogi nie bolały, a jeśli Elaris zamieni ich w lodowe rzeźby, to może i lepiej, bo Mikołaj choć na chwilę przestanie gderać. Elin nie mógł tego słuchać.

– Nie kłóćcie się już, proszę – jęknął.

Ostatnimi czasy Mikołaj i Marta ciągle byli dla siebie niemili. Elin nie pamiętał już, kiedy widział, jak tych dwoje się przytula czy daje sobie buziaka.

W końcu Mikołaj niechętnie ruszył za Martą i Elinem. Wróżka mieszkała w głębi lasu, nie w domku z liści i gałązek, jak elfy, tylko w igloo, które nigdy się nie roztopiało, nawet w lecie.

Elaris siedziała na lodowym taboreciku i mieszała coś w dużej misie. Nie wyglądała jak okrutna wiedźma, tylko jak śliczna elfia dziewczynka z kręconymi białymi włoskami i niebieskimi piegami.

– Macie ochotę na lody? – zapytała wprost. – To niezła pociecha, gdy się ma prawdziwy problem.

– Chyba jest trochę za zimno na taki przysmak – odburknął niegrzecznie Mikołaj, a Marta dała mu kukuśnia w bok.

– Ależ oczywiście, że poprosimy – powiedziała, bo gdy się przychodzi z wizytą, warto przyjmując poczęstunek. – Troszeczkę.

– Borówkowe akurat się skończyły, ale mam sosnowe – dodała wróżka.

Marta poczuła, jak jej żołądek skręca się w supeł. Lody sosnowe?

– Lepiej tego nie jedz – szepnęła jej do ucha mąż. – Skąd wiesz, czy ona nie chce nas otruć?!

– Cicho! – syknęła Marta!

Potem wzięła miseczkę i z obawą spróbowała lodów. Nie były takie złe! Smakowały jak... jak święta.

– No to z czym do mnie przychodzicie? – zapytała Elaris, a wtedy wszystko jej opowiedzieli.

– No i myślimy, żeby zamknąć interes – dokończył Mikołaj.

– To ty tak myślisz! – zaperzyła się Marta. – A ja uważam, że musimy coś zrobić! Tylko... nie wiemy co.

– Czy ja was zamieniłam w lodowe rzeźby? Albo otrułam? – zwróciła się do Mikołaja wróżka.

– E... no nie... – Mikołaj podrapał się w głowę.

– No właśnie. A wyobrażałeś sobie nie wiadomo co. Żeby poznać las, trzeba w niego się zagłębić. Żeby poznać śnieg, trzeba w nim brnąć. Żeby poznać wiatr, trzeba poczuć jego podmuchy – powiedziała zagadkowo Elaris.

– Ale co to ma wspólnego z naszym problemem? – oburzył się Mikołaj.

– Chodzi chyba o to, że tak naprawdę nie znamy świata! – zgadła Marta. – Przecież zawsze tylko rozwozimy prezenty! Szybciutko wrzucamy je przez komin albo przez okna i lecimy dalej!

– Otóż to. – Elaris kiwnęła głową. (...) Jeśli chcecie lepiej poznać dzieci, powinniście przypatrzeć im się z pewnej odległości, i posłuchać, co mówią, zanim z nimi porozmawiacie – wyjaśniła.

– Porozmawiamy? – zdziwił się Mikołaj. – Ale przecież my właśnie zawsze się staramy, żeby dzieci nas nie widziały! A już na pewno nigdy z nimi nie rozmawiamy!

– I to się powinno zmienić – ucięła Elaris. – Mówiąc szczerze, Mikołaju, widać wyraźnie, że dawno nie rozmawiałeś z żadnym dzieckiem!

Joanna Jagiełło

Małgorzata Karolina Piekarska

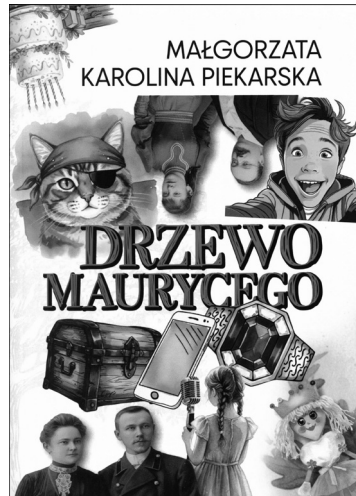
Drzewo Maurycego

Fragment

Rozdział dziesiąty: Rewizyta, czyli listy

Tego dnia wszystko stało na głowie i działo się niezgodnie z planem, a winę za to ponosili... *Trzej muszkietierowie*. Jeszcze na początku roku szkolnego polonistka Ewelina Starosta podyktowała klasie spis lektur obowiązkowych. *Trzej muszkietierowie*¹ byli na liście lektur uzupełniających, ale... rodzice na zebraniu uznali, że to za gruba książka dla ich pociech. Zakrzyczyli nauczycielkę, żeby broń Boże nie kazała tego czytać. Jeden z ojców podobno nawet zawzięcie perorował, że miejsce literackich ramot jest na strychu. A czyjaś mama powiedziała, że dzieci nie mają takich problemów jak bohaterowie Dumasa, więc zmuszanie ich do czytania takiej kobyły to czysty sadyzm. Maurycy był świadkiem, jak mama relacjonowała to dziadkowi, który był decyzją rodziców wyraźnie rozczarowany.

Małgorzata Karolina Piekarska
Drzewo Maurycego
 Wydawnictwo LTW
 Warszawa 2026
 Stron 334
 Oprawa miękka
 ISBN 978-83-7565-939-9



¹ *Trzej muszkietierowie* – opublikowana po raz pierwszy w 1844 roku powieść autorstwa francuskiego pisarza Aleksandra Dumasa (1802-1870). Uchodzi za jedną z najsłynniejszych powieści historycznych literatury światowej. Doczekała się przeszło 20 ekranizacji oraz tłumaczenia na większość języków świata.

– Toż to jest klasyka! – wykrzyknął i opowiedział, że sam przeczytał *Trzech muszkietierów*, mając dziesięć lat. Maurycy już to słyszał. Dziadek wspominał o tym jeszcze w zeszłym roku, gdy zabrał na lody ich czwórkę, czyli jego, Piotrka oraz Wojtka i Bartka. Powiedział, że jeśli stanowią paczkę to powinni to przeczytać. Wojtek tłumaczył, że czasem się spierają, ale dziadek mówił, że muszkietierowie też się spierali. Teraz wrócił do tematu: – To jedna z najwspanialszych powieści przygodowych w historii literatury! – stwierdził, a po wyjściu mamy dodał, że kto nie czytał ten trąba. Maurycy nie chciał być trąba. A już na pewno nie w oczach dziadka. Najpierw chciał w sieci obejrzeć film i w ten sposób załatwić sprawę, ale gdy zwierzył się ze swojego pomysłu dziadkowi, starszy pan z miejsca zaproponował.

– Po pierwsze ekranizacji jest ponad dwadzieścia, a żadna z nich nie jest wierna książce – powiedział, a potem... swoim zwyczajem walnął wnukowi cały wykład o tym, że standardowy film ma dwie godziny i nigdy nie porusza wszystkich wątków. – To jest powieść o przyjaźni, lojalności i honorze. Naprawdę ponadczasowa! Czytaj! – polecił i pokazał na niewielki regalik z książkami stojący w salonie. Maurycy wiedział. Tu była klasyka, czyli książki do których się wraca. Dziadek już kiedyś mu tłumaczył, że są takie i w domu jego i babci stoją w salonie. Były to książki zarówno dla dzieci, jak *Plastusiowy pamiętnik*, *Kubuś Puchatek*, *Alicja w Krainie Czarów*, *Ania z Zielonego Wzgórza* czy *Niewiarygodne Przygody Marka Piegusa*, ale też i literatura dla starszych od niego czytelników. Ta stała na wyższych półkach. *Trzej muszkietierowie* byli pośrodku. Maurycy zauważył ich dopiero wczoraj po kolacji. Dwa tomy w niebieskiej okładce. „Grube” – pomyślał.

– To jest powieść historyczna – powiedział dziadek i dodał, że to oznacza, iż w momencie publikacji autor opisywał rzeczy, które należały do przeszłości.

– Czyli tak jakby już wtedy była stara?

– Teoretycznie i na uparte go można tak powiedzieć – odparł dziadek, ale bez przekonania.

– Strasznie to długie... – stwierdził Maurycy nie kryjąc niezadowolenia, ale dziadek z miejsca zaczął uspokajać.

– Będziesz zachwycony, uwierz mi! Najpierw może cię trochę nudzić, ale jak przebrniesz przez pierwsze dziesięć, to dalej już poleci.

„To trochę jak z tym pamiętnikiem Jadwigi” – pomyślał Maurycy i wziął książkę do łóżka, choć do zachęt dziadka nie był zbyt przekonany. Dziadek polecał mu wiele książek ze swojego dzieciństwa, a Maurycy nie był w stanie

ich przeczytać. No, ale może z tą będzie inaczej. Skoro już wtedy, kiedy wyszła, była stara. Rzeczywiście rozkręciła się dość szybko. Następnego dnia zabrał ją ze sobą do szkoły. A na przerwie wyciągnął i zaczął czytać.

– Przecież tego nie ma w lekturze – stwierdził Wojtek patrząc na okładkę, na której oprócz nazwiska autora – Aleksander Dumas i tytułu widniały cztery męskie sylwetki.

– No to co? – Maurycy wzruszył ramionami i dodał: – Pamiętasz? Mój dziadek kiedyś o tym mówił. Że powinniśmy to przeczytać, bo to o czwórce przyjaciół.

– Teraz nas jest trzech, bo Piotrek odpadł – stwierdził Wojtek.

– Ale przeczytać możesz. Przygody Dartašana są ciekawe.

– D’Artagnana – poprawiła go Marysieńka. – Wymawia się D’Artagnan. To jest po francusku – wyjaśniła. I właśnie wtedy z ust Maurycego padło pytanie, czy Marysieńka zna francuski.

– Oczywiście – odpowiedziała, ale na prośbę Wojtka, by powiedziała coś po francusku powtórzyła: – D’Artagnan. To jest po francusku i powinno ci wystarczyć – po czym odwróciła się do niego plecami. Wojtkowi to zachowanie wyraźnie się nie spodobało, ale... zadzwonił dzwonek i rozpoczęła się lekcja historii. Horypna już na wstępie zapowiedziała, że w związku z tym, że Dzień Nauczyciela tuż, tuż, to od jutra codziennie muszą zostawać po lekcjach na godzinę na próby.

– Nie przesadzajmy! – bąknął Bartek, który z reguły przecież milczał.

– Właśnie – wsparł go Wojtek i dodał: – Przecież to tylko występ przed innymi klasami...

– Obawiam się, że niestety jesteście w błędzie – powiedziała Horypna i poinformowała, że w tym roku obecność na uroczystości potwierdziło nie tylko mazowieckie kuratorium oświaty i wychowania, ale także ministerstwo edukacji. Tak więc obecni będą mazowiecki Kurator Oświaty i Minister Edukacji Narodowej. – I nie pytajcie, dlaczego. Wszyscy jesteśmy w szoku – stwierdziła. A gdy po jej słowach zapadło milczenie: – Przyznam się wam, że gdybym wiedziała, że będą tacy goście, to może bym co innego przygotowała. W każdym razie bardzo was proszę byćście dali z siebie wszystko, bo jak cokolwiek nie wypali, to winna wszystkiemu będę tylko i wyłącznie ja. A teraz to nie jestem pewna, czy moje żarty, które są w napisanym dla was tekście, to szacowne grono uzna za stosowne. – To powiedziawszy Horypna westchnęła niezwykle ciężko, spojrzała w stronę okna i się zamyśliła.

Maurycy też się zamyślił. Przed oczami stanęła mu kukielka Bibliotekarki, która głosem Marzenki Lewińskiej mówiła:

W Bibliotece siedzieć muszę
A przeżywam tam katusze.
Ciągłe się domyślać trzeba
Czego uczniowi potrzeba.
Tytuły przekręca tak
Że człowieka trafia szlag.
Chce „Sklepy całodobowe”
A to są cynamonowe².
Ostatnio pewna dziewczyna
Chce z siódmej klasy szatyna³.
Inna (i to nie są jaja).
Chcę „Nędzników”⁴ Kołłątaja⁵.
„I to Hugo i to Hugo”
Tak tłumaczy się przed drugą.
A do tego chłopców paru
Pożąda „Pani z browaru”⁶.
Pytają, czy jest na stanie
Książka „Kamienie na sianie”⁷.
Wreszcie przychodzi Agata
Po Dostojewskiego „Wariata”⁸.
A na końcu Zosia wpada

² *Sklepy cynamonowe* – opublikowany po raz pierwszy w 1933 roku zbiór opowiadań polskiego prozaika żydowskiego pochodzenia Brunona Schulza (1892-1942).

³ *Szatan z siódmej klasy* – opublikowana po raz pierwszy w 1937 roku powieść dla młodzieży Kornela Makuszyńskiego (1884-1953).

⁴ *Nędznicy* – opublikowana po raz pierwszy w 1862 roku powieść francuskiego prozaika Victora Hugo (1802-1885). Uchodzi za jedną z najważniejszych powieści społecznych w historii światowej literatury.

⁵ Hugo Kołłątaj (1750-1812) – polski polityk, pisarz, duchowny, geograf i historyk. Jeden z twórców Konstytucji 3 maja.

⁶ *Pani Bovary* – opublikowana po raz pierwszy w 1857 roku powieść francuskiego prozaika Gustawa Flauberta (1821-1880). Uchodzi za klasykę powieści psychologicznych.

⁷ *Kamienie na szaniec* – oparta na faktach książka Aleksandra Kamińskiego (1903-1978) wydana po raz pierwszy w 1943 roku pod pseudonimem Juliusz Górecki. Opowiada o działalności Szarych Szeregów w czasie II wojny światowej.

⁸ *Idiota* – opublikowana po raz pierwszy w 1869 roku powieść rosyjskiego pisarza Fiodora Dostojewskiego (1821-1881). Znajduje się na norweskiej liście stu najlepszych powieści świata.

*I żąda „Jądra Conrada”⁹.
Takie to przeżywam hece
W naszej szkolnej bibliotece.*

No tak... – pomyślał. – Ta „Pani z browaru” czy „Jądra Conrada” to może nie spodobać się urzędnikom z kuratorium. Ale po chwili przypomniał sobie, jak wychowawczynie tłumaczyła im ukryte w wierszyku prawdziwe tytuły książek i doszedł do wniosku, że właściwie każdy normalny człowiek powinien uznać wierszyk za edukacyjny i nie czepiać się wychowawczynie. Jego myśli przerwała Marysienka, która w tym momencie mruknęła ni to do siebie ni to do Maurycego:

– Może trzeba było pomyśleć wcześniej, gdy się nam zlecało te głupoty.

– Chciałem zauważyć, że wszystkim się podobało oprócz ciebie – stwierdził Maurycy.

– Bo ja nie jestem wszyscy – odpowiedziała z wyższością i dodała: – Zapominasz, że jestem królowną.

– Czemu ty taka jesteś? – spytał szeptem. – Wszystko krytykujesz, a potem się dziwisz, że nikt cię nie lubi. – Ale Marysienka w odpowiedzi wzruszyła ramionami. – O! A to co było? – spytał zaskoczony jej zachowaniem. – Jak ja wzruszam ramionami to mówisz, że jestem źle wychowany.

– Odczep się.

– Nie ma problemu. Mogę się do ciebie nie odzywać.

W tym momencie Horpyna, jakby w odpowiedzi na tekst Marysienki, którego jednak przecież nie mogła słyszeć, powiedziała:

– Ja po prostu chciałam byćście mieli jednocześnie zaliczone zajęcia plastyczne – a powiedziawszy to westchnęła jeszcze ciężiej. – Ja was już nawet nie proszę. Ja was błagam! Dajcie z siebie wszystko.

– Wiadomo! – powiedział Krzys Mioduszewski, by uspokoić wychowawczynię, którą przecież wszyscy lubili.

Wtorek, 6 października, g. 10:17

Klaudia Karnawska na Facebooku

(zdjęcie sceny)

To dzieło moje i Uli! Podziwiajcie!

⁹ *Jądro ciemności* – opublikowana po raz pierwszy w 1899 roku powieść polskiego pisarza Józefa Teodora Konrada Korzeniowskiego (1857-1924) piszącego w języku angielskim jako Joseph Conrad. Najśłynniejsza ekranizacja powieści pochodzi z 1979 roku i nosi tytuł *Czas apokalipsy*. Nakręcił ją Francis Ford Coppola, który przeniósł akcję w realia wojny wietnamskiej (1955-1975).

Statystyka: Post polubiło sześć osób.

Wojtek Smok: *Przecież my z Bartkiem też maczaliśmy w tym palce.*

Ula Bielecka: *Nie chcesz, bym publicznie napisała czym się zajmowałeś, gdy powstawała scena.*

Wojtek Smok: *Bujaj się.*

Ula Bielecka: *Napisz coś, czego jeszcze nie czytałam.*

Piotrek Szymański: *Smoku! Buju buju buj!*

Wojtek Smok: *Wypad! Nie jesteś już w naszej klasie.*

Klaudia Karnawska: *To moja tablica! Smok do jamy!*

Tego dnia próba po lekcjach poszła im wyjątkowo dobrze. Nawet Marysieńka sprawnie operowała kukiełką woźnego zbierając śmieci rozrzucone przez uczniów i wrzucając do specjalnego kosza-rekwizytu. Podczas kiedy Maurycy jako woźny mówił:

Gdzie nie spojrzę – wszędzie śmieci.

Lecz śmieć nie tylko dzieci!

Chemiczka, uwierzcie sami,

Rzuciła chustkę z... gilami!

A katar miała do pasa!

W chustkach była cała klasa.

– Teraz to i ja się martwię, co na ten tekst powiedzą ludzie z kuratorium czy ministerstwa – stwierdziła po próbie Marysieńka.

– Może nic? W końcu na pewno też czasem miewają katar z gilami – powiedział Maurycy, ale bez przekonania. Wierszyki, które ich wcześniej bawiły, teraz wydały się niebezpieczne. Oczywiście nie dla nich, a dla wychowawczynie. Choć może Horpyna przesadzała? A oni sami zasugerowali się jej niepokojem? Przecież wcześniej w ogóle nie mieli takich myśli. Aż do dziś.

– Ale wiesz co ja sędzę? – spytała Marysieńka, ścisząc głos i starając się brzmieć tajemniczo.

– Nie mam pojęcia.

– Że jeśli my to dobrze zagramy i się nie pomylimy, to nikt nie robi z tego afery.

– Mam nadzieję – odparł Maurycy i otworzył plecak z zamiarem schowania *Trzech muszkieterów*, którzy cały czas leżeli na ławce obok scenariusza spektaklu. I nagle... odkrył, że w plecaku nie ma czegoś bardzo ważnego.

– Masakra – wyszeptał.
 – Co się stało? – spytała Marysieńka.
 – Co cię to obchodzi? Przecież kazałaś się odczepić?
 – Daj spokój. To było dwadzieścia minut temu.
 – No i?
 – Król może gniewać się pięć minut, może dziesięć, ale piętnaście to strata czasu – odparła i dodała: – Poza tym rzeczą królów jest wybaczenie maluczkiemu.

Ostatnie zdanie tak rozśmieszyło Maurycego, że aż zachichotał.

– Co cię tak śmieszy?
 – W sumie nic.
 – A jaki masz problem?
 – Nie mam kluczy od mieszkania – wyznał i podrapał się w głowę, jak-by to miało mu pomóc w wybrnięciu z sytuacji. Perspektywa siedzenia pod drzwiami mu się nie uśmiechała. Do tej pory nigdy kluczy od mieszkania dziadka nie brał. Przecież dziadek cały czas był w domu. Nawet mieszkania nie zamykał, bo i tak najpierw trzeba było dostać się na klatkę, a tu wstępu bronił przecież domofon otwierany na kod wystukiwany na tablicy. Klucze nie były mu więc potrzebne. Aż do dziś.

– Może dziadek ci otworzy... – stwierdziła Marysieńka, ale Maurycy pokręcił przecząco głową.

– Dziadek jest na kontroli w szpitalu i nie wiadomo o której będzie z powrotem. Miałem odgrzać sobie obiad...

– To ja ciebie nakarmię.

– Eee tam! Bez przesady. Mogę iść do siebie do domu – odparł. Bo właściwie to było najrozsądniejsze wyjście. W domu mama natychmiast by go nakarmiła. No i pobawiłby się chwilę z Cypisem, za którym w sumie jednak trochę tęsknił. Przy okazji by sprawdził, czy młodszy brat nie porozwalał jego gier i samochodów.

– Już wyobrażam sobie to jedzenie u ciebie w domu – powiedziała Marysieńka i dodała: – Chodź do mnie. Pokażę ci mnóstwo fajnych rzeczy. No i zobaczysz, jak mieszkają królowny.

– I te klejnoty zdobyte na Turkach mi pokażesz?

– Może... – odpowiedziała Marysieńka tajemniczo.

– Okej – odparł i wysłał SMS do dziadka, że zapomniał kluczy, więc idzie do Marysieńki. W tym czasie Marysieńka wysłała Klarze Sobieskiej SMS, że przyjdzie do domu z Maurycem.

Ze szkoły wyszli razem. Żadne z nich nie zauważyło ani niezadowolonego spojrzenia Wojtka ani triumfującego Uli.

Wtorek, 6 października, g. 14:23

Wojtek Smok na Facebooku

(zdjęcie Maurycego i Marysienki znikających na Dąbrówki)

Zakochana para?

Statystyka: Post polubiło sześć osób.

Ula Bielecka: *Chciałbyś być na jego miejscu.*

Wojtek Smok: *Bujaj się.*

Piotrek Szymański: *Buju buju buj!*

Wojtek Smok: *Niczym więcej się z wami nie podzielę.*

Bartek Trzepizór: *He he*

Krzyś Mioduszewski: *Już to widzę. Przecież ci żyłka pierdząca w dupie pęknie jak nie zapodasz jakiejś swojej sensacji.*

Klaudia Karnawska: **Krzyś Mioduszewski:** *Cha cha!*

Wojtek Smok: *Bujajcie się wszyscy. A ty się Krzyś Mioduszewski odwal od mojej żyłki.*

Marysienka mieszkała na Aldony w starej willi, która była po kapitalnym remoncie. Doszli do niej po dziesięciu minutach. Choć właściwie to szedł on. Marysienka jechała na swojej elektrycznej hulajnodze i przystawała co kilka metrów. Na miejscu Marysienka otworzyła furtkę i przez ogródek okolony żywopłotem przeszli do drzwi domu. Tam zostawiła swoją hulajnogę, ustawiając ją pod niewielkim daszkiem. Tuż za progiem, w ogromnym hallu, przywitała ich Klara Sobieska.

– Myjcie ręce i siadajcie do stołu – powiedziała, wskazując Mauryce-mu najpierw wieszak na ubrania, a potem łazienkę. Szybko powiesił kurtkę na wieszaku i posłusznie poszedł we wskazanym kierunku. Pomieszczenie było ogromne. Łazienka mieściła w sobie zarówno gigantyczną wannę, jak i kabinę prysznicową, a na dodatek dwie umywalki, sedes i bidet. Maurycy na szczęście wiedział co to jest. Oprócz tego stały tu dwie pralki, deska do prasowania wraz z żelazkiem, suszarka i wielka szafa. Do mycia rąk wybrał umywalkę, na której stało mydło w płynie, bo tuż obok wisiał mały ręczniczek. Domyślił się, że to dla gości. Wytarłszy ręce wyszedł i ponownie znalazł się w ogromnym przedpokoju.

– Chodź do stołu – zawołała Klara Sobieska i wskazała miejsce do siedzenia.

Posłusznie wszedł i usiadł na wprost Marysienki, przy dłuższym boku gigantycznego stołu stojącego w ogromnym salonie. Klara Sobieska zajęła miejsce przy krótszym boku stołu, pomiędzy nimi dwojgiem, i skinęła komuś głową. Zanim Maurycy zdążył się zorientować co się dzieje, w progu pojawiła się elegancka starsza pani w dziwnym fartuszkach i przyniosła wazę z zupą. Klara Sobieska gestem jej pokazała, by nałapała najpierw gościowi. Po chwili na stojącym przed Maurycym ozdobnym talerzu parowała pomidorowa z kluskami.

– Podobno ulubiona zupa wszystkich dzieci – powiedziała starsza pani, ale szybko zamilkła zgroziona wzrokiem Klary Sobieskiej.

Maurycy był bardzo onieśmielony. Takie rzeczy widział do tej pory tylko na filmach. Nie bardzo więc wiedział, jak się zachować, ale... zapamiętał jak kiedyś powiedział mu dziadek: „Nie wiesz co robić, to patrz co robią inni, obserwuj i rób to samo”. Dlatego teraz poczekał, aż starsza pani obsłuży mamę Marysienki i samą Marysienkę. Gdy tak się stało, Klara Sobieska wzięła łyżkę do ręki i powiedziała:

– No, dzieci! Smacznego!

Maurycy spojrzał na Marysienkę. Grzecznie położyła dłoń koło talerza. Potem podniosła wzrok, po czym odwzajemniwszy spojrzenie uśmiechnęła się niepewnie, wzięła łyżkę i zanurzyła w zupie.

– Smacznego – powtórzyła zanim podniosła ją do ust.

– Smacznego – odpowiedział Maurycy i wziął swoją łyżkę.

Jedli w milczeniu. Po kilku minutach na stole pojawił się półmisek z kotletami drobiowymi, drugi z ziemniakami puree i trzy miseczki z trzema różnymi surówkami. Drugie danie też zjedli w milczeniu. Dopiero przy deserze, którym były lody z szarlotką na gorąco i bitą śmietaną Klara Sobieska spytała:

– Smakowało?

– Tak. Bardzo – odparł.

– Biedne dziecko. Pewnie dawno nic porządnego nie jadłeś – stwierdziła, patrząc z takim szczerym współczuciem, że Maurycy zaprotestował.

– Nie... dlaczego.

– No... u tego dziadka...

– Oboje z dziadkiem jesteście zadowoleni – stwierdził i dodał, że nawet dziadek pochwalił jego gotowanie: – Powiedział, że jako kucharz radzę sobie coraz lepiej.

– Straszne! Tak odbierać dzieciństwo – stwierdziła Klara Sobieska wdychając ciężko. – No nic. U nas zawsze jesteś mile widzianym gościem.

Zawsze cię nakarmimy – dodała, wstając od stołu i rzucając na odchodne. – A teraz idźcie się bawić. Pani Zosia przyniesie wam dzbanek z sokiem.

– Dobrze mamo – odparła Marysieńka i rzucając do Maurycego krótkie – chodź – pociągnęła go za rękaw.

Wtorek, 6 października, g. 17:237

Messenger. Wojtek Smok i Maurycy Szymczak:

Wojtek Smok: Elo! Jesteś u królowny?

Maurycy Szymczak: Nie twój interes.

Wojtek Smok: Nikomu nie powiem.

Maurycy Szymczak: Nie mam czasu gadać. Pa!

Wojtek Smok: Bujaj się.

Maurycy Szymczak: Masakra z tym bujaniem...

Pokój Marysieńki był ogromny jak chyba wszystko w jej domu. Stał w nim i wielki regał z książkami i gigantyczny drewniany domek dla lalek, i biurko, i jakiś kufer, i komoda, i szafa, i kilka innych mebli, a nawet toaletka z lampkami, przed którą stało zabawne krzeselko. Maurycy usiadł na nim. Przypomniała mu się scena, kiedy Marysieńka u niego w domu dotknęła tych bursztynów należących kiedyś babci Basi. Dlatego spytał:

– A gdzie te klejnoty, które twój przodek zdobył na Turkach?

– U taty w sejfie.

– W sejfie? – Maurycy udał zdziwienie. – Przecież na nich uczyłaś się liczyć. Powinny leżeć na wierzchu jak liczydła. Czemu są w sejfie?

– Nie twój interes.

– No wiesz? Jesteś niemiła.

– A ty źle wychowany!

– Dlaczego? Dlatego, że pytam o klejnoty, którymi sama się chwaliłaś?

Marysieńka przez chwilę milczała, jakby szukając odpowiedzi, a potem wypaliła:

– Dlatego, że nie zdjąłeś butów.

– A czemu miałbym to zrobić?

– Bo tak robi dobrze wychowany człowiek.

– Phi – Maurycy wyduł wargi. – Nie poprosiłaś, nie zaproponowałaś kapci, a poza tym... myślałem, że jak przychodzę do królowny, to służąca sprzątnie podłogę – odciął się. Marysieńkę zatkało. Dlatego Maurycy korzystając z jej zaskoczenia ciągnął dalej. – Nie słyszałem, by goście w królewskim pałacu zdejmowali buty i chodzili w skarpetach. Nie czytałem

o tym w żadnej książce. Nie widziałem też na żadnym filmie. Wydaje mi się, że służba u nich wszystko sprzątała, więc oni sami nie przejmowali się zbyttno stanem podłóg. A skoro ty twierdzisz, że jesteś królowną...

– Jestem! – Marysieńka tupnęła nogą i sięgnęła po jedną ze stojących na regale książek. – Widzisz? – spytała, pokazując jej okładkę.

– Jan III Sobieski *Listy do Marysieńki*¹⁰ – przeczytał głośno autora i tytuł. – No i co z tego wynika? – Maurycy opatrzył na koleżankę z politowaniem. Ta jednak zdawała się zupełnie nie zauważać jego spojrzenia.

– Zobacz na dedykację – powiedziała. Maurycy otworzył książkę. Na stronie tytułowej widniała dedykacja: „Kochanej córeczce, by sama zobaczyła, jak podobna jest do swojej prababki, a tym samym wreszcie uwierzyła, że jest z SOBIESKICH – Mama”.

– Hmm – mruknął i pomyślał, że to bardzo dziwna dedykacja.

– Widzisz? To są listy mojego przodka do żony... – Marysieńka przetrzuciła kilka kartek książki, która oprócz tekstu zawierała ilustracje. Najwyraźniej portrety króla i królowej.

– Hmm – mruknął Maurycy głośniejszym głosem niż poprzednio, ale nie wiedział, jak zareagować.

– Widzisz... tu on..., a tu... ona...

– Hmm...

– Co tu hymkasz idiotycznie. Nie widzisz, że jestem do niej podobna?

– Yyy? – Maurycygo kompletnie zatkało. On nie widział żadnego podobieństwa Marysieńki do postaci z portretów. – No... tak jakoś... – zaczął, ale nie dokończył, bo Marysieńka błyskawicznie sięgnęła po stojącą na toalecie skrzyneczkę, wyjęła z niej jakiś wielki pierścionek z złotym, błyszczącym oczkiem i włożywszy go na palec, powiedziała: – To mój rodowy, królewski pierścień po praprababce Królowej! – Wykrzyknęła, wysuwając w kierunku Maurycygo dłoń z klejnotem nazwanym rodowym. – Jak będziesz grzeczny, to pozwolę ci go ucałować. Zobacz! Jest tu na tym obrazie! – Wykrzyknęła i pokazała palcem reprodukcję przedstawiającą portret królowej w stroju koronacyjnym, namalowany wg znajdującej się w książce informacji, przez anonimowego autora.

¹⁰ *Listy do Marysieńki* były pisane przez hetmana, a później króla Jana III Sobieskiego do żony Marii Kazimiery d'Arquien, którą nazywa w listach Marysieńką. Listy powstały głównie w latach 1665–1683 – w czasie rozstań z Marysieńką. Są świadectwem wielkiego uczucia łączącego kochającą się parę i dziejów ich niecodziennego związku. Zawierają też opisy obyczajów szlacheckich panujących w ówczesnej Rzeczypospolitej, a także z sprawozdania króla z toczonych wojen i prowadzonej przez państwo polskie polityki.

– Daj spokój! – Maurycy parsknął śmiechem. Śmiał się dość długo, bo sytuacja wydała mu się niesłychanie komiczna. Pierścień nie wyglądał na stary ani zabytkowy. Był zwykłym pierścionkiem z wielkim żółtym oczkiem. Czy podobnym do tego widniejącego na portrecie? Trudno było powiedzieć. Reprodukacja była niewyraźna. Królowa miała na pewno na dłoni pierścień z żółtym oczkiem, ale jak on dokładnie wyglądał? Poza tym... przecież wiedział, że Marysieńka nie jest z tych Sobieskich. Nadal jednak coś go powstrzymywało przed poinformowaniem jej o tym, że to wie. Może ta sztuczność, którą wyczuwał w tym domu? Zwłaszcza podczas tego dziwnego obiadu?

– Z czego się śmiejesz? – burknęła Marysieńka takim tonem, że Maurycy natychmiast zamilkł. Kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł, że gdyby powiedział prawdę, mogłaby się zezłościć albo co gorsza popłakać. A tego by nie zniósł. Milczał więc i pewnie ta chwila milczenia by trwała, gdyby w tym momencie nie rozległo się pukanie do, i tak otwartych na oścież, drzwi pokoju Marysieńki. Oboje spojrzeli w tym kierunku. W progu stała pani Zosia z tacą, na której był dzbanek soku, dwie szklanki i miseczka z orzeszkami.

– To dla was – powiedziała, wchodząc do pokoju i stawiając tacę na biurku. – Zagrajcie sobie w jakąś grę – powiedziała na odchodne.

Maurycy i Marysieńka spojrzeli na siebie i... porozumieli niemal bez słów. Bo wypowiedziane przez Marysieńkę: – Chcesz? – było zarówno pytaniem, jak i stwierdzeniem.

Grać chcieli oboje. Szybko zresztą okazało się, że liczba gier, które w swoim wielkim pokoju posiadała Marysieńka przeszła wszelkie wyobrażenie Maurycego. Zagrali w trzy z nich. Była dziewiętnasta, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Czyżbyś porzucił już swego starego dziadka? – usłyszał w słuchawce znajomy głos, który brzmiał tak, że Maurycy poznał: dziadek jest w wyśmienitym humorze.

– Ależ gdzie tam! – odparł i dodał, że niedługo wróci.

– Lepiej wracaj szybko. Mam dobre wieści.

– O?

– Powiem ci osobiście.

Maurycego tak zżerała ciekawość, że szybko pożegnał się z Marysieńką. Na dole powiedział do widzenia pani Zosi, która coś przygotowywała w kuchni i pani Klarze, która siedziała w fotelu w salonie i czytała książkę, ale na dźwięk jego głosu uniosła głowę znad kartek.

– Pamiętaj, że zawsze jak będziesz głodny lub będzie ci źle w tym twoim domu, to możesz tu przyjść – powiedziała, dziwnie akcentując słowo „dom”. Maurycy miał wrażenie, że wypowiada je z pogardą lub lekceważeniem.

– Dziękuję – odparł Maurycy i założywszy na grzbiet kurtkę, pognął do dziadka. Tekst o tym, że będzie mu źle w jego domu puścił mimo uszu. Najważniejsza była ta dobra wiadomość, którą miał dla niego dziadek. W kilka minut przebiegł na drugą stronę Walecznych i przesmykiem koło drewnianego domu wbiegł na Dąbrówki. W dziadkowym mieszkaniu przy Saskiej był po pięciu minutach.

– Zziajany jesteś jakby cię diabli gonili! – powiedział dziadek na jego widok. – Gdyby nie to, że mam dobry humor, tobym dał ci popalić! Kluczy nie wzięłeś! Pirat tu z głodu miauczał.

– Ojej! Dziadku! Przepraszam!

– No nic. Już go nakarmiłem.

– A ta dobra wiadomość?

– Mam dwie.

– Dawaj!

– Pierwsza jest taka, że ręka i noga mi się zrosły! Jeszcze rehabilitacja!

– Wspaniale!

– Też tak uważam! Za dwa tygodnie będziesz mógł wrócić do domu... Będę samowystarczalny, bo na razie to... puszki otworzyć nie mogłem. Znowu urwałem to kółko do otwierania.

– Ojej... – jęknął Maurycy.

– Spokojnie! Dałem piratowi saszetkę!

Jednak jęk Maurycyego nie dotyczył tego, że dziadek był jeszcze słaby po złamaniu. Oznaczał ni mniej, ni więcej jak niezadowolenie z faktu, że posiadanie własnego pokoju zbliża się do końca. No ale cóż... W mieszkańcu przy ulicy Międzynarodowej czekała mama, tata i Cypis, który podobno nie mógł się doczekać powrotu starszego brata, bo niedzielne spotkania z nim zdawały mu się nie wystarczać.

– A ta druga dobra wiadomość?

– Uznałem, że za opiekę nade mną należy ci się nagroda, a ponieważ zbliżają się twoje urodziny, więc... postanowiłem z okazji urodzin ufundować całej twojej klasie turniej w kręgle.

– Turniej w kręgle??? – Maurycy był zdumiony. Marzył o tym od czwartej klasy, kiedy taki turniej zorganizował ojciec Piotrka. Prosił rodziców wielokrotnie, ale nie chcieli się zgodzić. Tata mówił, że to fanaberie.

Dokładnie takiego słowa używał. Dlatego słowa dziadka zaskoczyły Maurycego.

– Kręgielnia tuż obok szkoły, więc każdy bez problemu trafi – stwierdził dziadek. – Lepiej powiedz, jak było u koleżanki?

– Fajnie i dziwnie – odparł Maurycy i opowiedział o obiedzie, grach planszowych oraz listach Sobieskiego do Marysieńki. Dziadek aż podskoczył w fotelu.

– A ty wiesz, że listy to czasami kopalnia wiedzy o przodkach? Także tej genealogicznej! – Powiedział i zażądał, by Maurycy przyniósł mu z szuflady z komody babci pomarańczową teczkę z napisem „Listy babci Zosi ze Skrzyneckich”.

– Ojej! Jakie drobne pismo! – zawołał na widok zapisanych atramentem pocztówek.

– Bez problemu je odczytasz – powiedział dziadek. – Ja już nie pamiętam szczegółów, ale kiedyś czytaliśmy te listy z babcią i sporo jest tu wiadomości porządkujących, kto kim był, a także pokazujących, że czasem dalecy krewni bardziej się ze sobą trzymali niż ci bliscy.

– Yhm – mruknął Maurycy. I nagle... zrobiło mu się strasznie przykro. Uświadomił sobie, że za dwa tygodnie taki wieczór jak ten będą tylko wspomnieniem. Wprawdzie wróci do domu, ale jego wszystkie badania genealogiczne zostaną u dziadka.

„A może to dobrze. Zawsze będę miał pretekst, by częściej do niego wpadać.” – pomyślał i sięgnął po pierwszy list.

Z notatek Maurycego Szymczaka:

Czytając listy, trzeba zwracać uwagę na:

- *Adresy i dane o miejscu zamieszkania,*
- *Adresy i dane o miejscach pracy oraz piastowanych stanowiskach,*
- *Adresy i dane o celach podróży,*
- *Nazwiska i imiona wymienianych osób,*
- *Wymieniane koligacje rodzinne.*

Małgorzata Karolina Piekarska

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Mariusz rysuje od ręki

Fragmenty

II. Nieudana zabawa

Wyobraźcie sobie pięcioletniego chłopca, Mariuszka, który jedzie z mamą na wakacje. Jadą całą noc, koła pociągu turkoczą usypiająco, ale chłopczyk nie może zasnąć. Cieszy się, że po raz pierwszy zobaczy morze. Na każdej stacji pyta:

– Daleko jeszcze?

Wreszcie są na miejscu. Mariuszek biegnie na plażę. Brodzi w wodzie, buduje zamki z piasku...

– Kukurydza! Gorąca kukurydza! – woła sprzedawca z ciężkim pakunkiem kukurydzy na ramieniu.

Mariuszek kupuje kolbę słodkiej kukurydzy.

Informacja wydawcy:

W serii poświęconej osobom z niepełnosprawnościami, które odnoszą życiowe sukcesy, ukazały się również: *Agata szaleje na kólkach* (także w tłumaczeniu na ukraiński i angielski), *Przemek zawsze wstaje lewą nogą*, *Oskar (się) miga*.



Małgorzata Strękowska-Zaremba
Mariusz rysuje od ręki
 Fundacja DIVERSUM
 Wrocław 2025, stron 64
 ISBN 978-83-964166-5-0

Pod koniec dnia wracają do ośrodka wypoczynkowego. Chłopczyk chciałby jeszcze przez chwilę pobawić się na zewnątrz. Mama zgadza się. Mariuszek spotyka chłopca w swoim wieku. Może pobawią się razem?

Ale chłopiec na widok Mariuszka krzyczy wystraszony i chowa się za swoją mamą.

– Karolku, nie musisz bawić się z tym potworem – uspokaja go jego mama. A gdy widzi mamę Mariuszka, rzuca ostro:

– Niech pani trzyma syna w pokoju i nie straszy nim dzieci!

Mariuszek ma tylko pięć lat, ale już rozumie, że jest inny i myśli, że „inny” to pewnie gorszy...

III. Zupa jarzynowa

Kiedy Mariusz się urodził, mama wozila go w wózku na spacer. Tak robi większość mam, które mają małe dzieci. Jej znajomi, a nawet nieznajomi, często ją zaczepiali.

– To prawda, że twój dzieciak nie ma rąk? – pytali.

– Nie ma też zębów i nie mówi – ucinała rozmowę.

Gdy Mariusz podrośł i miał prawie dwa lata, umiał już mówić. Interesowało go wszystko: ptaki, drzewa, auta, koty, psy, dziury w jezdni...

– Mamusiu, zobacz, ten pan nie ma nogi! – wykrzyknął, gdy zobaczył mężczyznę idącego o kulach, ponieważ, jak dobrze zauważył, starszemu panu brakowało kończyny.

– A ty nie masz rąk! – burknął nieznajomy.

Mariusz był za mały, żeby to zapamiętać. Był też za mały, żeby wiedzieć, że brakuje mu rąk. Miał blond loki, kochającą mamę i starsze rodzeństwo, Paulinę i Szymona. A kiedy poszedł do przedszkola, miał też grupę przyjaciół, którzy chcieli pomagać mu we wszystkim. Nawet go karmili! Wyobraźcie sobie kolejkę przedszkolaków. Każdy z nich pragnie włożyć łyżkę z zupą jarzynową do buzi Mariusza. Gdyby przyznawano odznakę dla najbardziej najedzonego dziecka w przedszkolu, to dostałby ją właśnie Mariusz.

Wprawdzie zniechęcił zupę jarzynową, ale różnych zup jest przecież dużo, może jeść inne.

Dzieciaki w przedszkolu nie bały się go, jak ten Karolek znad morza, ani nie nazywały „potworem”. Mariusz był ich kolegą. Śmiał się tak samo

jak oni, smarkał się i płakał za mamą przez pierwszy tydzień w przedszkolu jak oni. Tylko rysował ładniej od wszystkich...

IV. Dary wróżek

Rysował?! Jak to możliwe? Odpowiem, ale nie od razu.

Historia Mariusza nadaje się na film, najlepiej taki bajkowy, taki trochę jak baśń o Śpiącej Królewnie. I jest nie tylko dla dzieci, bo dorośli też lubią bajki.

Posłuchajcie tej bajki:

Na początku listopada Paulina, Szymon i ich mama przygotowali małe przyjęcie i zaprosili siedem wróżek. Mama była w ciąży i zbliżał się czas narodzin jej dziecka. Wszyscy w rodzinie pragnęli, by to maleństwo było szczęśliwe. Sześć ugoszczonych wróżek zostawiło swoje dary dla niego: inteligencję, upór, pracowitość, odwagę, zaradność i wiarę w siebie. I wtedy do mieszkania weszła ósma wróżka, która przez nieuwagę nie została zaproszona.

– Nie będzie mu łatwo w życiu – powiedziała i wyszła.

Na to odezwała się siódma wróżka, która jeszcze nie zdążyła go obdarować:

– Może nie będzie mu łatwo, ale ja dam mu moc, która wszystko zmieni.

Rodzina dziecka, które jeszcze spało w brzuchu mamy, zastanawiała się, jaką moc dostał ich przyszły braciszek albo siostrzyczka, lecz tę tajemnicę znała tylko siódma wróżka. A wszyscy wiedzą, że wróżki nie zdradzają tajemnic.

Dziecko urodziło się w Świdnicy, niedaleko Wrocławia. Był to chłopczyk. Tuż po porodzie pielęgniarki zabrały go do zbadania, umycia. Mama czekała, kiedy wreszcie przytuli maleństwo, ale pielęgniarki zwlekały. W końcu odważyły się powiedzieć:

– Pani syn nie ma rąk...

Zszokowana mama zemdląła.

„Nie będzie mu łatwo w życiu” – ktoś to powiedział, czy tylko jej się wydawało?

Potem, gdy się ocknęła, lekarz zasugerował, żeby zostawiła synka w szpitalu.

– Mąż panią opuścił, a sama z trójką dzieci nie poradzi sobie pani. Prędej czy później będzie pani musiała chłopca oddać.

Tak powiedział!

Jak to: „oddać dziecko”?! Przecież razem z nim urodziła się wielka miłość.

Mama zabrała niemowlę do domu.

[...]

VI. Życzenia urodzinowe

Małego Mariuszka wszystko cieszyło. Jednak kiedy podrośł, nie zawsze było mu wesoło. Czyżby dary sześcioróżek przestały go chronić? No i gdzie jego tajemnicza moc?

Nie wiem, jak to jest z darami różek, żadna mi jeszcze niczego nie dała. (Hej, różki, to ja, Zosia, tu jestem!) Ale wiem, jak bywa w szkole i poza nią.

Nie wszyscy chcieli kolegować się z Mariuszem, bo tak bardzo różnił się od nich. Kiedy szedł przez miasto, ludzie pokazywali go palcami, wyśmiewali, obrażali. Szybko dorósł i zrozumiał, że „nie będzie mu łatwo w życiu”.

Co mnie czeka w przyszłości? – myślał z obawą. – Przyjaciele wyjadą, zostanę sam. Bez pracy, bez pieniędzy. Żadna dziewczyna mnie nie zechce.

Jedna już mu odmówiła. Spytał, czy zgodzi się zostać jego sympatią. „Cooo?! Moje koleżanki będą miały niezły ubaw. Daj sobie spokój” – odpowiedziała. Poczul się jak klak kurzu. Nic niewart. Bez przyszłości.

Któregoś ciemnego jesiennego popołudnia stanął za barierką wiaduktu nad przejazdem kolejowym.

- Nigdy nie będziesz niezależny – szeptał mu do ucha wiatr.
- Nie masz prawa do szczęścia – szeleściły suche liście.
- Jesteś niepotrzebny, jesteś niepotrzebny – turkotały pociągi.
- Jestem niepotrzebny – powtórzył Mariusz i spojrzał w dół. Jeden krok i będzie po...

Hej, dzwoni telefon! Nie skacz! Odbierz!
Dzwoni w najgorszym momencie, pomyślał Mariusz, ale odebrał.
I wiecie co? To był jego przyjaciel, chciał złożyć mu życzenia urodzinowe. Bo Mariusz właśnie miał urodziny.
Porozmawiali. Mariusz usiadł na chodniku i rozmyślał.
– Masz prawo do szczęścia – zaszumiał wiatr.
– Jesteś potrzebny, jesteś potrzebny, jesteś potrzebny – turkotały pociągi.
– Uśmiechnij się – namawiała liście.
Ich szelest towarzyszył Mariuszowi w drodze do domu.

Kamień w plecaku

Fragmenty

[...] Już prawie dobiegł do brzegu, gdy ktoś chwycił go wpół i zasłonił mu usta ręką.

Paniczny lęk sparaliżował Dawida.

Jego przeladowca pchnął go mocno. Chłopiec upadł na kamienisty brzeg strumienia. Poczuł ból w lewej ręce, ale dźwignął się i spojrzał w drwiące oczy Oskara.

To się dzieje naprawdę, pomyślał mimowolnie i rzucił się do ucieczki. Nie patrzył, gdzie biegnie. Słyszał za sobą ciężkie kroki pogoni. Gałęzie uderzały go w twarz i szarpały za ubranie. Aparat fotograficzny zawieszony na szyi odbijał się od piersi. Dyszał ciężko. Myślał tylko o tym, żeby się ukryć. Przeczekać. Pozbyć się strachu, który ścisnął żołądek i wywoływał nudności. A potem przekonać Oskara, że zrobił źle, chowając nóż. Bo przecież ostry nóż jest groźny. Niech Oskar to przemyśli i się zmieni...

Nie zmieni się, przerwał samemu sobie. Nie od razu i nie wszyscy się zmieniają. Może trzeba było siedzieć cicho, jak radziła Ala?

Przypieszył, odgłos pogoni przycichł, jednak wciąż słyszał trzask łamanych patyków. Biegł dalej, aż zabrakło mu sił. Z trudem łapał oddech.

Oparł dłonie na kolanach, lewą rękę przeszył ostry ból. – Oj! – jęknął i aż przykucnął.

Serce było mu tak mocno, że zagłuszało myśli. Dawid drżał na całym ciele. Już czuł chłód łapska Oskara na swoim ramieniu. Aż wzdrygnął się na tę myśl.

Jakiś ptak zaśpiewał i ucichł.

Dawid nie wiedział, gdzie jest. Ból ręki stawał się coraz dokuczliwszy. Była poraniona od nadgarstka po łokieć. Z rany spływała krew i barwiła trawę czerwonymi kroplami. Chłopiec nie krzyczał, żeby się nie zdradzić, zresztą w gardle utknął mu jakiś czop, wymuszając milczenie. Instykt podpowiadał mu, że musi zadzwonić po pomoc. Wziął kilka głębokich wdechów, sięgnął do kieszeni spodni po telefon i zeszytywniał. Zgubił go! Nad strumieniem albo w lesie? Wszystko jedno. I tak nie pamiętał, z której strony przybiegł. Zachodzące słońce pokryło czubki drzew czerwonymi smugami. Ciemności w lesie zapadają szybciej, wiedział to od babci. Zaraz zrobi się całkiem ciemno. Już niewiele widział. Niebo zasłaniały korony wysokich drzew. Gdzieś tam wschodził leniwy księżyc. Dawał zbyt mało światła, żeby coś zobaczyć. Dawid wpatrywał się w mroczny pejzaż. Był sam. Jak wtedy, gdy pobity płakał w toalecie. Teraz nie płakał. Na pewno będą go szukać, pocieszał się. Mrok jednak nie był jego przyjacielem. Każdy szmer mógł znaczyć coś groźnego.

Serce Dawida wciąż łomotało. Wtem pośród gałęzi w smudze światła, które przedarło się na sam dół, coś się poruszyło. Chłopiec wstrzymał oddech. Duże oczy patrzyły wprost na niego. Sarna, pomyślał z ulgą. Nie ruszał się i nie odrywał wzroku od sarniego spojrzenia. Było w nim coś kojącego. Sarna i chłopiec patrzyli na siebie bez lęku, z ciekawością. Dawid czuł, że sarna wie, jak bardzo się boi. Widział troskę w jej oczach. Przyszła wyciszyć lęk w sercu chłopca i dać mu siłę pokonywania strachu przed silniejszymi. Usiadł wygodniej i oparł plecy o omszały pień.

Mogę zrobić ci zdjęcie? – spytał sarnę w myślach.

Patrzyła pełna aprobaty. Ostrożnie zdjął z szyi aparat. Babcia uczyła go, jak fotografować nocą.

Czas stanął w miejscu. Dawid chyba przymknął oczy, a może nawet się zdrzemnął ukołysany głosami lasu i milczącą obecnością zwierzęcia.

Wtem usłyszał nawoływanie:

– Dawid!

Sarna uskoczyła między drzewa.

– Dziękuję – szepnął za nią chłopiec.

Był spokojny. Nawet nie miał żalu do Oskara. Przeżył coś niezwykłego. Sarna znalazła go w gąszczu, nie uciekła, została. Nikt w to nie uwierzy, a dziewczyny wywróć oczami, ale co tam...

– Nic ci nie jest?! Gdzie Bartek? – usłyszał pytanie.

Z opisu wydawcy

Kamień w plecaku to poruszająca opowieść o przyjaźni, samotności i odwadze.

Dawid właśnie skończył trzecią klasę, ale zamiast spędzić wakacje z rodziną, musi pojechać na kolonie. Z dala od domu, z obcymi dziećmi i niepokojem, który nosi w sobie, marzy tylko o jednym: żeby w spokoju robić zdjęcia zwierząt, jak kiedyś z babcią.

Spokój znika, gdy w grę wchodzi przemoc, wyśmiewanie i próby dopasowania się za wszelką cenę. Na leśnym obozie spotyka Bartka, z którym łączy go więcej, niż się spodziewał, oraz Julkę, która dopiero uczy się, jak być sobą.

Dawid musi zmierzyć się nie tylko z Oskarem chłopakiem, który rani innych, ale przede wszystkim z własnym strachem. Wśród śmiechu, bólu, złości i ciszy lasu chłopak powoli uczy się odwagi [...]

Małgorzata Strękowska-Zaremba
Kamień w plecaku
 Wydawnictwo CZYTELNIĄ
 Konin 2025, stron 100
 Seria: Małe Wielkie Sprawy
 ISBN 978-83-68589-18-4



Paweł Dunin-Wąsowicz

Pałacowy przewodnik literacki

Fragment

Rozdział: Poezja

Najszybszą literacką reakcją na budowę Pałacu były wiersze – w publikacjach z czasów bierutowskich sławiące radziecki dar. Zaliczano do nich niekiedy utwór **Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego** *Wisło, rzeko domowa* z tomu *Nasza rzecz*, oddanego do składania w lutym 1952 r., rozpoczynający się słowami:

„Wisło, rzeko domowa, czyś ty kiedy widziała takie tu domy?
Żeby wieża nad miastem do księżycy sięgała,
Żeby dom był jak Kościelec ogromny”.

Autor – podczas okupacji oficer podziemnej Armii Krajowej, który napisał dla niej m.in. *Szturmówkę* i *Warszawskie dzieci* – przywoływał dalej w tymże wierszu w Wiśle przelaną krew żołnierską oraz na jej „brzegu wysokim” ciszę i cmentarz – aby dziś „człowiek żył tu jasno i dumnie”. Nie wymieniał jednak nazwy Pałacu ani imienia nieujawnionego jeszcze darczyńcy. Nie uwzględnili tego utworu redaktorzy opracowania *Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Historia, teraźniejszość, przyszłość* [2001] Agnieszka Wołk-Łaniewska i Andrzej Golimont w zamieszczonej w tej książce zestawionej przez siebie antologii ewidentnie propagandowych wierszy towarzyszących powstawaniu Pałacu, zatytułowanej *Pieśń ujdzie cało...?* Wśród kilkunastu przytoczonych utworów (nie zawsze można ustalić dziś daty pierwodruków) znalazły się prace zarówno nieznanymi amatorów, jak i literatów całkiem znanych, np. **Jana Brzechwy**, który w 1952 r., niedługo po zatwierdzeniu budowy, w wierszu *Pałac Kultury* witał obiekt nawiązaniem do baśni o dziewczynie zamkniętej w zamku, by przejść do prorocstwa rzeczywistości:

„To co bazarz ludowy napisał
To co lud w wyobraźni kołysał
Wkrótce wszyscy ujrzemy na jawie!

Pałac z baśni powstaje w Warszawie.
 Będzie sięgał wysoko do góry
 Tam gdzie ptaki, obłoki i chmury
 Tak jak w baśni nasz Pałac Kultury [...]

Będzie trwał tak jak miłość do dziecka
 Będzie trwał tak jak przyjaźń radziecka”.

Oprócz ojca Pana Kleksa do motywów baśniowo-magicznych odwoływał się **Witold Degler** w wierszu *Kryształowa kula Pałacu Kultury*:

„Na iglicy Pałacu, gdzie tylko wiatr hula,
 w słońcu wysoko błyszczy kryształowa kula.
 I dzień – niby wróżbita – ręce do niej tuli,
 Wypowiada zaklęcia i czyta coś w kuli”.

Promień słońca zapytany o przyszłą Warszawę odpowiada, że widzi ją w kryształowej kuli coraz większą, ludniejszą i jeszcze piękniejszą:

„W niej piękno w krąg zamieszka, radość się rozgości –
 i będzie jej wciąż z wiekiem przybywać młodości!”.

Julia Hartwig w *Liście do inżyniera leśnika w M.* z tomu *Pożegnania* [1956], wyrażając żal, że nie może przyjechać w lipcu na jego zaproszenie do Muszyny, opowiada o postępach budowy:

„Pytał pan wtedy, w kwietniu, jak Pałac Kultury rośnie.
 Jak r o ś n i e – jakby pan pytał o młodą leśną kulturę.
 A jakże, wystrzelił wysoko, wystrzelił tak bardzo w górę,
 Że myślę czasem żartem, patrząc na gwiazdy żarówek
 Wieńczące strop rusztowania, że pańskie prześcignie Karpaty.
 I gdy pan znowu przyjedzie, jak przed dwudziestu laty
 Na egzaminy – znów do Warszawy i znowu wprost z gór jak wtedy,
 Już panu omdleć nie damy z różnicy ciśnienia, lecz wiatrą
 Na szczyt wwieziemy pana, na szczyt – Pałacu Kultury”.

Wśród głośniejszych poetów opiewających dar był **Tadeusz Kubiak** jako autor wiersza *Rozmowa na budowie Pałacu Kultury w Warszawie wiosną 1953* z tomu *Miłość prawdziwa*, oddanego do składu we wrześniu tegoż roku:

„Przyjacielu, zniknie
różność stron świata w pięknie Pałacu Kultury [...]
Ci z piętra najwyższego, przykładając rękę
do czoła może ujrzą burzany nad Donem
i zielen brzóz nad Wołgą i zarys Uralu,
gdy ja będę wstępował w warszawskie marmury.
Przyjacielu, tak każdy dzień nas łączy z dalą,
a z sobą każda cegła Pałacu Kultury”.

„Oto bratnią ręką darowane piękno” – stwierdzał w swoim wierszu *Krakowiak o warszawskim Pałacu Kultury* z tomu *Męska pieśń* [1954] **Jerzy Zagórski**, kolega Czesława Miłosza z czasów wileńskich Żagarów, opisujący w nim, jak nocą fruujący po niebie „ruscy architekci” szukali do swej „złotej kolekcji” kształtów miast w Sandomierzu, Płocku i Krakowie. Przyjaźń polsko-radziecką podkreślał też **Stanisław Swen Czachorowski** – dziś pamiętany głównie jako towarzysz Mirona Białoszewskiego z jego *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. W swym wierszu *Pałac prawdy* pisał:

„Przypędzono stalowe żyrafy,
rozciągnięto stalowe ramiona,
rosną w górę konstrukcje stalowe,
rosną piętra w stalowych dłoniach.
Metrów dwieście! [...]
Tu robotnik i chłop się spotkają,
Tutaj prawda jak żyto jest prosta.
Tu swą młodość, wciąż młodą i piękno
przekazuje Warszawie – Moskwa”.

Fantastyczną transmutację idei poprzez roślinę do materii nieożywionej zawarł **Marian Piechal** w swoim utworze z 1954 r. *Na budowę Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie*:

„Z dalekosiężnej myśli odważnej
wzrasta potężne drzewo przyjaźni.
Rośnie po wojnie, tężeje w mury,
w przyjaźni pomnik – Pałac Kultury”.

Adam Ważyk jeszcze przed ogłoszeniem budowy Pałacu zasłynął poetycką deklaracją – wierszem *Lud wejdzie do śródmieścia* [1950], gdzie przywoływał kapitalistyczną architekturę i jej „krwią zlepione pałace”, opisując:

„dom – widmo spekulacji
i styl wasz nieczłowieczy
z niezdarzonej przygody
bez serca i urody...”.

– aby przeciwstawić mu estetykę socjalistycznego budownictwa, kompilację z poniższej wyliczanki – Pałac stał się jej uosobieniem:

„A inaczej ze zwalisk
rośnie, by wrócić w socjalizm
dla świetlic i bibliotek –
nasz staromiejski gotyk,
nasz renesans i barok,
nasz monument surowy,
nasz fronton koronkowy
jak spod igły hafciarek”.

Jako samodzielna ilustrowana książeczka dla dzieci ukazał się wiersz **Romana Pisarskiego** *Pałac przyjaźni* (oddany do składania w październiku 1953 r.). Autor, który zasłynął opowieścią *O psie, który jeździł koleją*, jego bohaterem uczynił przodownika pracy Wanię Małkina z walcowni na Uralu, produkującej belki konstrukcyjne dla Pałacu w Warszawie, pod którą Wania w czasie wojny został ranny. Teraz razem ze stałą Małkin wyrusza do niej znów: na budowę. Nie kopie się już dołów pod fundamenty łopatą – robią to koparki, przyrównywane do baśniowych potworów:

„A te koparki
To istne smoki –
Biorą od razu
Rozmach szeroki”.
Tubylców oprowadza inżynier z Moskwy:
„Wskazuje dzieciom
Fundament świeży:
– Tu stanie dla was
Pałac Młodzieży”.

Wania pisze list do domu, w którym dziękuje za uralską stal i donosi, że przybywa już 20. piętro, choć w planie było dopiero 16. W końcowych partiach utworu gmach zostaje przyrównany do ozdobnej rośliny:

„Dźwiga się śmiało
I szybko wzrasta
Jak kwiat kamienny
Na klombie miasta. [...]
Chwała ci, wielki
Szlachetny trudzie!
Chwała wam, dzielni
Radzieccy ludzie!”

Niewątpliwie do dzieci adresował swój wierszyk o Pałacu *Mówi chmura córce chmurce* **Józef Prutkowski**:

„Mówi chmura córce chmurce
napatrz że się napatrz,
bo to tam przeciwko nam
wznoszą wielki drapacz.
Wznoszą w górę Dom Kultury,
wielkie, ostre ściany.
A my chmury, biedne chmury
będziemy drapane”

Już po ukończeniu budowy nie mogło zabraknąć Pałacu w złożonym z czterowierszy *Abecadle warszawskim* **Wandy Chotomskiej** [1960], wydany z ilustracjami Jana Marcina Szancera. Co prawda, znalazł się nie pod literą P (ta dostała się Pradze), lecz I – jak Iglica:

„I z iglicy nad Pałacem
patrzy na warszawskie place.
Zejść nie może, tkwi na górze,
bo zgubiło kropkę w chmurze”

Na wierszyk dla dzieci stylizowane są *Dwie choinki* **Mariana Hemara** (skądinąd stryjecznego brata Stanisława Lema), jednego z nieprzejednanych wobec komunizmu emigracyjnych twórców, którego utwory nadawało Radio Wolna Europa. Ukazały się w Wigilię Bożego Narodzenia 1955 r. w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, a rozpoczynały słowami:

„W te święta dla polskich dzieci
Dla córeczki i synka
W Pałacu Kultury i Sztuki
– Reżymowa choinka”.

Hemar pisał, że pod ozdobioną czerwoną gwiazdką choinką polskie dzieci mogą oglądać dobra zagarnięte przez Rosjan: węgiel górnośląski, naftę drohobycką, nabiał, drób, zboże:

„Twój prezent dla Moskala.
Nie bądź tak nieużyty.
Nie skarż się, że ty głodny.
Moskal zje, będzie syty”.

W puencie życzenia dla kraju składają zebrani za granicą wokół innej choinki, która się „zieleni w sercach”. Znamienne, że nazwę Pałacu identycznie przekręcił Marek Hłasko 10 lat później w wydanych w Paryżu swoich *Pięknych dwudziestoletnich* (...)

W kraju swoje odczucia wobec Pałacu krytycznie nastawiony **Zbigniew Herbert** mógł opisywać tylko „do szuflady” – w poemacie, który szans na publikację w bierutowskich czasach nie miał. Nie ogłosił on jednak swojej *Jesieni warszawskiej 54* nawet wtedy, kiedy znikły wszelkie przeszkody po 1989 r. W archiwum poety znajdują się dwie wersje utworu, omawia je Mateusz Antoniuk, cytując ich fragmenty w dziele zbiorowym *Tożsamość tekstu, tożsamość literatury* [2016].

Herbert w 1954 r. pisał w *Jesieni...* o domach warszawskiego Śródmieścia zniszczonych przez „pokojoy w czołg buldożer”:

„[...] z mieszczaństwem bitwę tu stoczono
nad Buddenbrooków płaczmy zgonem!
To wszystko aby w całej pysze
Pałac Kultury mógł tu błyszczeć
to jeden z tych podstępnych darów
które się uczą bać Danajów
tu serce miasta rozkrojono
szukaj go teraz na Targowej
na Szmulowiźnie tam gdzie z Wiechem
chadza warszawski geniusz Piecyk

Co do Pałacu szczegół jeden
podkreślić tutaj mocno trzeba
polskie attyki dolnych bloków
i tutaj nowy symbol gotów
odnajdziesz teraz bez zachodu
ramy koncesji dla narodu
piórka [?], Mazowska piosnka, wstążka
tak zwana narodowa forma
Pałacu jednak sens byś w mieście
miał przed oczyma wizję pięści”.

Sam Herbert po Październiku’56 z puli Związku Literatów Polskich otrzymał kawalerkę przy ul. Świerczewskiego 95/99 (dzisiejsza aleja „Solidarności”) z widokiem z okna na Pałac Kultury i Nauki. Donosząc o tym w liście swemu toruńskiemu mentorowi prof. Henrykowi Elzenbergowi, poeta pisał: „Dzięki temu – rzecz można – obcuje na co dzień z koniecznością”.

Do pierwszych niepropagandowych wierszy o Pałacu opublikowanych w kraju zaliczyć można *Jubilata* autorstwa otrzeźwiającego stalinisty **Arnolda Słuckiego** z tomu *Dzwony nad Wisłą* [1958]. Poprzedzony został cytatem gazetowym: „Na placu Defilad milicja zatrzymała pijanego człowieka. Upił się w dzień”. Słucki pisał:

„Cieniem wysokiej iglicy
przeszyty leżał,
coś liczył.
Pijak – niepijany
wiecznie pomijany
człowiek.

Szli z pracy robotnicy –
częstowali się papierosami,
świecili zapalniczkami
na placu Defilad.

A człowiek tam leżał w pobliżu
na placu

i gwiazdom się zwierzał
Jubilat! ...”.

W późniejszych latach dwukrotnie o Pałacu wspominał w wierszach ksiądz Jan Twardowski. W utworze *Jest czas*, relacjonującym letnie wakacje, jedynie żartował:

„Rozmawiamy
– pani stale co rok młodsza
tylko się kapelusze jak Pałac Kultury starzeje”.

Natomiast w *Oprowadzaniu po piekle* z tomu *Na osiołku* [1986] wyobrażał sobie ukaranego wiecznymi mękami za gigantomanię i marny gust kapłana:

„a tam poniżej ksiądz
proboszcz piszczy
zbudował kościół
jak Pałac Kultury z krzyżem”.

W latach 80. poetycka reakcja najmłodszego pokolenia na Pałac wyrażana była raczej w punkowej muzyce niż na papierze. Ale nie stanowiło to reguły – wywodzący się z alternatywnych subkultur **Jacek Podsiadło**, wydający niegdyś swe utwory w tzw. trzecim obiegu, w *Liście do Mariusza* z tomiku *Nie wiem* [1989] pisał m.in.:

„Wczoraj sprawdzałem, czy żyję.
Idąc z Żoliborza do placu Na Rozdrożu
potknąłem się o ten kurewski pałac kultury”.

Autor jedyne go wiersza z Pałacem w antologii *Miasto nowego milenium* [2001] zbierającej debiuty po 1988 **Piotr Fedorczyk** w *** (*To się nie kończy...*) tak samo jak niegdyś Słucki traktował iglicę jako zadającą rany broń białą:

„Chłopiec słucha snów postrzępionych kamienic
i krzyku nieba ranionego iglicą Pałacu Kultury
Chłopiec goni lecące znad getta gołębie
czyta smutek w oczach jadących do pracy ludzi

i Najnowszy Testament pisany przez dym z kominów Huty Warszawa”.

Z debiutujących po przełomie ustrojowym poetów najczęściej Pałac przywołuje **Tadeusz Pióro** – **już w wierszu** *Le Pauvre Con* ze swojej pierwszej książki *Okęcie* [1992]:

„Więc nic się nie liczy, tylko jakość uczucia? [...]
Gdy słońce stroszy Pałac Kultury
otwieram serce jak gwiazdkowy
prezent: tracę oddech i czekam na brawa”.

Dwa razy motyw Pałacu pojawia się u Pióry w tomie *Wola i Ochota* [2000]. W wierszu *Język i kara*:

„dziś mówi się bez uprzedzenia
o cudzym upadku i ostatniej woli
arbitrów dawnej świetności słowa,
o stylu wysokim aż po sam czubek
Pałacu Kultury i Nauki”

oraz w tytułowym poemacie *Wola i Ochota* – jako jedna z kilku ikon Warszawy – Polski:

„Nie, tak, to apetyt zabrał mnie
w te strony, stronę Pałacu Kultury,
Grobu Nieznanego Żołnierza, stadionu
na Łazienkowskiej i innych widoków,
[...] gdzie największe emocje
wzbudza nie historia, lecz formy pamięci”.

Świadectwem transformacji jest wiersz **Dariusza Suski** *Nowe Warsaw City* z tomu *DB6160221* [1997], w którym poeta na szczycie socrealistycznego wieżowca osadza amerykańskiego superbohatera we wdzianku z wczesnokapitalistycznego targu:

„upał, dworzec paruje, słodki zapach brudu,
pozostaje tylko oczekiwać cudu,
który spłynie z zastrzyków, snów techno, video

na ławki Centralnego i pozwole sterom

lepkich wizji żeglować po piętrach Marriottu
nad Pałac Kultury, gdzie już czeka, gotów
skoczyć w dal, w utopię, w nowe Warsaw City
Batman w dresie z bazaru (wylęgły się mity

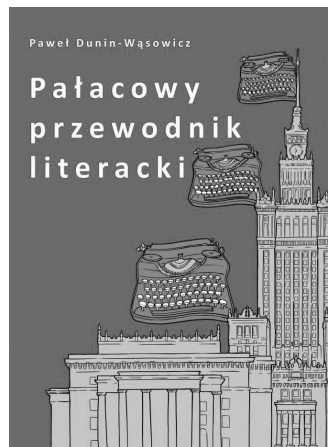
trwalsze, myślisz, od powstań i przegranych wojen
oraz wszystkich innych zramolałych rojeń
jak złożone krzyżyki z relikdami męki,
w śliskiej zupie lipca chińskie budki, błękit)”.

Neutralnym elementem krajobrazu jest Pałac w liryce osobistej autorów, których twórczość rozpoczyna się już w XXI w., tak jak u Xawerego Stańczyka w *Śniadaniu* z tomu *Skarb piratów* [2013]:

„Ty między nimi chodzisz z lekkością linoskoczka,
jak ten kot, co spaceruje o zmroku
po dachach niezbudowanych jeszcze domów.
Za oknem twojej sypialni majaczy
pałac o czwartej rano”.

Monika Żórawińska-Gołoś zatytułowała nawet swoją pierwszą książkę *Pokój z widokiem na Pałac Kultury* [2019], ale nie ma w niej politycznych resentymentów. W otwierającym tomik wierszu *Zapomniałam* poetka pisze:

Paweł Dunin-Wąsowicz
Pałacowy przewodnik literacki
Język publikacji polski
Wydawca Fundacja HEREDITAS
Warszawa 2025-07-20
ISBN 978-83-974136-1-0



„Zapomniałam i wytarłam myśli gumką Made In China
Gdziekolwiek jestem, jestem tam na nowo
Patrzę na Pałac niczym na latarnię
I szukam słowa, co opisze słowo”.

W *Oknie z widokiem na Pałac Kultury* wylicza parametry własne oraz mieszkania „Ateńska 6, Mieszkania 51, Metrów 29, Wzrost 172”, wyznając nałogowe zakochanie i odgrająjąc się:

„I jeśli mi pęknie serce w tym metrażu
To trzaśnie z hukiem takim, że aż nie wiem
Od dachów się odbije echem do garażu”.

Wreszcie w wierszu *List do Mikołaja* przy opisie zachodzącego słońca dokonuje niejako antropomorfizacji gmachu, przypisując mu wolę „mrygania”:

„Znikają kolory w zalewie syfu, jak patrzę z biurowca mnie wzdryga
Jedyną nadzieją są bomby z bombowca i Pałac, co na mnie mryga”.

I nie historia, lecz terażniejsza codzienność w takim biurowcu z ikoniczną postacią „Pana Kanapki” w wierszu *Praca wre* dominuje w książeczce Żórawińskiej-Gołoś.

Tylko w poemacie **Grzegorza Uzdąńskiego** *Wypiór* [2011] spragniony krwi nieśmiertelny Adam Mickiewicz błąka się po współczesnej Warszawie, żerując m.in. w Pałacu Kultury. Przed wieżowcem, który „świeci zimnym fioletem”, stoi zresztą posąg jego bohatera:

„Ania, żując z Subwaya ostatki sandwicha,
Popatrzyła na wielką rzeźbę Mickiewicza,
A potem wzrok przeniosła na Pałac Kultury,
Wznoszący się nad nimi, podobny do góry
(I wobec niej, i rzeźby – bo teraz oboje
Byli przy nim maleńcy). Jak głupia tu stoję [...]”.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Agnieszka Lis

Felieton / Między nami 2

Palenie staników

To jestem czy nie jestem feministką? – zastanawiałam się, wykrzywiając twarz przed lustrem. Nie wiedzieć czemu, malowanie rzęs idzie zawsze znacznie sprawniej, kiedy usta pozostają otwarte, a czoło zmarszczone.

Zarabiam i mam własną kartę kredytową, ale też gotuję, pielę ogródek, robię zakupy, przygotowuję ubranka w rozmiarze 116 oraz odrabiam lekcje, każdego roku w klasie programowo wyższej.

Feministki – nie gotują. Ale ja lubię! Feministki nie niszczą paznokci w ogrodzie. Ale ja lubię! Chociaż łupie mnie potem w krzyżu, skacze ciśnienie i mam mroczone przed oczami. Lubię też swoją pracę, chociaż mogłoby mi za nią lepiej płacić.

Dręczyła mnie ta kwestia, udałam się do ekspertek.

– Feministki nie mają dzieci, nie nadajesz się – usłyszałam od jednej.

Aaa, no to rzeczywiście się nie nadaję – pomyślałam. Po dwóch dniach doszłam jednak do wniosku, że może dzieci, ich posiadanie lub nie, świadome lub wymuszone, niekoniecznie muszą być wyznacznikiem feminizmu.

Spełnienie zawodowe! – błysnęło mi hasło następnego dnia rano, w trakcie zmywania po śniadaniu. – To będzie to! To na pewno będzie wyznaczało prawdziwą feministkę.

– Kobietom nie płaci się wystarczająco! Nie ma równouprawnienia! ... – Wyłączyłam się po kilku hasłach, nie nadążałam za wykrzyknikami rozmówczyni.

Generalnie to ja się zgadzam – pomyślałam jednak w trakcie perory. Kobietom płaci się za mało i nie dostają wynagrodzenia za wykonywane prace domowe. Właśnie! Będę walczącą feministką i nie będę wykonywać prac domowych! Zatrudnimy pomoc domową.

Uradowana udałam się do lokalnego marketu, w którym wiszą dwie ogromne tablice. SZUKAM PRACY – przeczytałam i skupiłam wzrok na ogłoszeniach.

– Halo? – śpiewnym sopranem zapytał mnie głos w telefonie. Wybrałam numer z ogłoszenia: prace domowe, z doświadczeniem. Doświadczenie musiało być spore, stawka godzinowa była niewiele mniejsza niż moja dniówka. Głos z drugiego ogłoszenia był mniej śpiewny i od razu postawił warunki. Nie gotuję i nie sprzątam kuchni. Prasuję, sprzątam dom, za okna mam oddzielne stawki. Nie zajmuję się dziećmi.

Dobra – pomyślałam lekko spanikowana. – Feminizm to nie wyręczenie się innymi. Przecież lubię gotować. A i tak nie sprzątam, bo mamy równouprawnienie, odkurzacz w naszym domu męska rzecz. Polem negocjacji bywa prasowanie, ale... Feminizm feminizmem, a budżet musi się spinać.

Następnego dnia smętnie patrzyłam w lustro. Nie da się ukryć. Nici z mojego feminizmu. Jestem zahukaną kurą domową.

Zapytam jeszcze kogoś – myślałam, przesuwając kursorem po ekranie, na którym wyświetlały się imiona koleżanek i znajomych. – Jest! Marta! Ona na pewno wie!

– Halo? – odezwała się zaspanym głosem moja przyjaciółka. Dobra, przyjaciółką była kiedyś, bo coś ostatnio nie miałyśmy czasu się spotkać. Ostatnio przez osiem lat. A przyjaźń naturę ma delikatną, wymaga podlewania częściej niż surfinia.

– Śpisz o tej porze?

– No... – usłyszałam, że Marta się przeciąga.

– E... bo chciałam cię zapytać... czy ja jestem feministką?

– Co?

– No bo wiesz, pracuję, ale mało mi płacą. W domu też pracuję, za co mi w ogóle nikt nie płaci. Mam kartę kredytową, ale sama muszę ją spłacać. To chyba akurat feministycznie, prawda? I mam udane dzieci, ale poświęcam im dużo czasu, może za dużo, i nie mam go dla siebie. I gotuję, i... no wiesz.

– Aaaaa... – przeciągnęła się Marta. – No wiem. No i co? Dobrze ci z tym?

– Ale że z czym?

– Ze wszystkim. Lubisz? To gotowanie, wychowywanie dzieci, pracowanie...

– A wiesz, lubię nawet.

– To co się głupio pytasz. Feministka to taka, co lubi to, co robi. Ty tylko problem masz z mężem.

– Z mężem? – zapytałam z przestachem. A jeśli ona wie coś, o czym ja nie wiem? A powinnam? Że mój mąż... Co właściwie?

– Feministki nie mają mężów. Żyją z kim chcą i tylko tyle, ile chcą. Wolne ptaki.

Wierzyłam mojej przyjaciółce. Takiej prawdziwej, od podstawówki. Zawsze potrafiła mi wszystko dobrze wytłumaczyć.

– Aaaaa... – Teraz ja przeciągnęłam inteligentną wypowiedź. – A tak w ogóle czemu nie jesteś w pracy?

– Wywalili mnie.

– Co?

– Zwyczajnie. Dostałam wczoraj wypowiedzenie. Nie mówi się co, tylko proszę.

– Ale przecież... – jękałam się. – Przecież ty jesteś uosobieniem sukcesu. Masz dyrektorskie stanowisko, luksusowy apartament w centrum miasta, regularnie odbywasz podróże zagraniczne. Robisz co chcesz i kiedy chcesz.

– Ta. I uważasz, że jestem feministką?

– No pewnie!

– Stanowisko miałam do wczoraj. Apartamentu na dwudziestym piętrze nie lubię, wygląda jak hotel, i mam go w kredycie. Mam ciszę, spokój, i nikt na mnie nie czeka. Podróże to miałam służbowe, zwiedzałam wyłącznie lotniska i sale konferencyjne. A w ogóle to nie pojechałabyś ze mną na tydzień do Hiszpanii? Muszę pomyśleć, a samej mi się nie bardzo chce. A ty mogłabyś odpocząć, no wiesz, takie tam feministyczne palenie staniaków, może jakiś czarnowłosy Hiszpan albo co...

Pomilczałam chwilę. – A wiesz, nie. Dzieci do szkoły, mąż w domu czeka, i ugotować muszę...

Rozłączyłyśmy się. Wcześniej było: Zdzwonimy się. Wkrótce. Na pewno. Odezwij się po powrocie z Hiszpanii. Ja zadzwonię. Cześć kochana, pa. Brakuje mi cię.

Brakuje? Taaa... przez całe osiem lat brakowało.

Pojechałam na zakupy. Wybrałam pachnące dojrzałe pomidory, jędrne marchewki, dorzuciłam świeży makaron, przyprawy w doniczkach. A także astronomicznie drogą czarną herbatę dla mnie i równie kosmicznie kosztowną kawę dla mojego niefeministycznego męża. Oraz ulubione ciastka dla moich niefeministycznych dzieci.

Uśmiechnęłam się. Do siebie, chociaż odpowiedział mi całkiem przyzwoity facet, na oko około trzydziestki, w rozpiętej koszuli i wypastowanych butach. Zapłacę za zakupy swoją własną kartą kredytową, bo chociaż mogłabym zarabiać więcej, to jednak za moją pracę mi płacą. I mnie na

te zakupy stać. I pojadę do domu, który wprawdzie sami, razem z moim (niefeministycznym) mężem musimy posprzątać, za to go lubimy. I stanę przy kuchni, bo sprawi mi to przyjemność.

To po co ja mam palić staniki?

W Hiszpanii?

Agnieszka Lis

Lech Królikowski

Warszawa w cieniu dwugłowego orła

Fragment

Józef Zajączek 1815–1826

Józef Zajączek (1752–1826) był pierwszym i jedynym, w okresie panowania Aleksandra I, carskim namiestnikiem w Królestwie Polskim. Sprawował swoją funkcję w latach 1815–1826.

Józef Zajączek jest nadzwyczaj barwną postacią przełomu XVIII i XIX w. Urodził się w Kamieńcu Podolskim, ale jego ród – jak podaje Kasper Niesiecki w swoim *Herbarzu polskim*, wywodzi się z województwa sieradzkiego, gdzie jeden z jego przodków – Piotr Zajączek herbu Świnka, w 1439 r. był podkomorzym sieradzkim. W XVIII w. rodzina związała się z obszarem kresów południowo-wschodnich. Józef Zajączek od 1782, a później w l. 1790–1792 był posłem województwa podolskiego na sejm. Wcześniej brał udział w konfederacji barskiej, a po jej upadku walczył z Rosją na Bałkanach po stronie tureckiej



Gen. Józef Zajączek. Portret z epoki. Źródło: Internet

(1774 r.). Po czternastu latach, m.in. po służbie w armii francuskiej, a następnie służbie w gwardii przyboocznej hetmana wielkiego koronnego Franciszka Ksawerego Branickiego, uczestniczył w rosyjskim szturmie na turecką twierdzę Oczaków. W okresie Sejmu Czteroletniego jego poglądy uległy radykalizacji. Związał się wówczas ze stronnictwem polskich jakobinów. Był zwolennikiem równouprawnienia mieszczan, zniesieniu poddaństwa chłopów oraz likwidacji pańszczyzny. Brał udział w wojnie w obronie Konstytucji w 1792 r. (w randze generał-majora). Odznaczył się pod Zieleńcami, za co otrzymał, jako jeden z pierwszych, Order Virtuti Militari. W powstaniu kościuszkowskim walczył z Rosjanami od samego początku, bo od bitwy pod Racławicami. Wchodził także w skład Rady Najwyższej Narodowej; był prezesem Sądu Kryminalnego Wojskowego, powołanego 23 sierpnia 1794 r. przez T. Kościuszkę. Gdy

Kościuszek zamienił wyrok kary śmierci dla biskupa Skarszewskiego – wydany przez sąd pod przewodnictwem gen. Zajączka – na dożywotnie więzienie, generał złożył rezygnację. Ten okres działalności Zajączka spowodował, że był znienawidzony przez polską hierarchię katolicką, a w wielu kręgach polskiego społeczeństwa niechęć ta trwa do dzisiaj.

Po bitwie maciejowickiej, w której Kościuszek dostał się do niewoli, przez pewien czas pełnił funkcję wodza naczelnego. Był (w praktyce) komendantem obrony Warszawy w listopadzie 1794 r., ale ani on, ani historycy nie byli i nie są zadowoleni z jego ówczesnej działalności. W listopadzie 1794 r. przedostał się do Galicji, gdzie został internowany przez Austriaków. Po roku wyjechał do Francji, gdzie uzyskał francuski stopień generała. Brał udział w wyprawie Napoleona do Egiptu. Od 1806 r. organizował polskie siły zbrojne u boku Napoleona. W wojnie 1812 r. początkowo dowodził 16. Dywizją Piechoty, na czele której, w dniach 16–18 sierpnia 1812 r., walczył o Smoleńsk, gdzie został trzykrotnie ranny. Po kontuzji Józefa Poniatowskiego objął dowództwo V (polskiego) Korpusu Wielkiej Armii. W morderczej bitwie nad Berezyną utracił prawą nogę, a następnie (w Wilnie) dostał się do rosyjskiej niewoli.

W 1807 r. Napoleon nadał Józefowi Zajączkowi rozległe majątki w okolicy Kalisza, w których generał założył cztery folwarki. Trzy z nich noszą nazwy bitew, w których wziął udział, a czwarty, to rodowe Zajączki. Ośrodkiem jego dóbr był Opatówek k. Kalisza, gdzie generał prowadził wzorową gospodarkę¹. Piotr Aigner zaprojektował dla niego pałac (rozebrany na przełomie XIX i XX w.). Obok powstał rozległy park (istnieje), gdzie nad kanałem w 1824 r. zbudowano żeliwny mostek (istnieje). W Opatówku powstała wielka fabryka sukna, prowadzona przez Adolfa Gottloba Fiedlera sprowadzonego z Saksonii, a opodal pałacu wzniesione zostały (częściowo istniejące do dziś) okazałe zabudowania folwarczne oraz pomieszczenia mieszkalne dla pracowników². W wyniku tych działań Opatówek stał się znaczącym ośrodkiem gospodarczym na mapie Królestwa Polskiego.

W 1815 r. rosyjski cesarz Aleksander I powołał Józefa Zajączka na stanowisko namiestnika Królestwa Polskiego. Funkcję tę pełnił do swojej śmierci (26 lipca 1826 r.) w Pałacu Namiestnikowskim (obecnie – Prezydenckim) w Warszawie. Za wierną służbę pod rozkazami Napoleona, jego nazwisko uwiecznione zostało na Łuku Tryumfalnym w Paryżu. Za wierną – a jak niektórzy twierdzą zbyt wierną – służbę carowi Aleksandrowi I, nagrodzony został tytułem książęcym (1818 r.). Zajączek pochowany został w krypcie kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa i św. Doroty, opodal swego pałacu

¹ Śmiałowski Józef, *Generała Zajączka urządzenie włościów w dobrach opatowickich (1821-1828)*, Kalisz 1999.

² Miluška-Stasiak Jadwiga, *Z dziejów parafii w Opatówku*, Opatówek 2012.

w Opatówku. Początkowo planowano, że serce generała umieszczone zostanie w kościele bernardynów (św. Anny) w Warszawie, ale relacja prasowa z końca XIX w. świadczy, że urna ostatecznie znalazła się w krypcie w Opatówku. Wnętrznosci generała wydobyte podczas balsamowania ciała umieszczone zostały w urnie zamurowanej w filarze katakumb cmentarza na Powązkach. Miejsce oznaczone zostało tablicą z literą „Z” [?].

W osobie tego człowieka pozyskał cesarz wiernego, posłusznego i do upodlenia służalczego reprezentanta swoich interesów, dla których sprawa polska jako problem polityczny czy obowiązek moralny w ogóle nie istniał. Wszedł do senatu, sprawował jeszcze urzędy honorowe, majątek, nazwisko i przeszłość polityczna nie pozwalały na zupełne usunięcie go z życia kraju, ale faktycznie przez lat 15 miał pozostawać człowiekiem prywatnym, którego troska o los sprawy polskiej wynikała już tylko z osobistych zainteresowań i emocji patriotycznych³.

Generał Józef Zajączek jest przykładem niebywałej kariery syna średnio zamożnej szlachty, który dzięki zdolnościom, uporowi i determinacji osiągnął nadzwyczaj dużo. W okresie, kiedy był namiestnikiem cara w Królestwie Polskim, zbytnio jednak – zdaniem wielu historyków – zbrała się z rosyjską elitą w Warszawie, szczególnie zły wpływ na niego miał wszechwładny w Warszawie senator Cesarstwa – Mikołaj Nowosilcow⁴. Dostojnik ten pełnił przewidziane w konstytucji stanowisko komisarza cesarskiego przy rządzie Królestwa. Niemcewicz nazywał go Zezowatym⁵; intrygant i karierowicz; wyjątkowo podły i szkodliwy. W Królestwie nic nie działo się bez jego wiedzy, a zazwyczaj także zgody. *W Polsce – mówi on – jest gniazdo wszystkich sprzysiężeń: tam na Rusi nauczyli rewolucyjnych zasad, konstytucjów etc. Ja pierwszy odkryłem to, naprowadziłem na drogę tych sprzysiężeń. Wszystko złe od Polski pochodzi⁶.*

Istnieje taki przekaz, że podczas sprzeczki Zajączka z w. ks. Konstantym ten ostatni z wściekłością rzucił, że on *cesarzewicz, choć cudzoziemiec, jest przecie lepszym Polakiem od księcia namiestnika, i że sam podejmuje się bronić Polaków przed monarchą* (za Sz. Askenazym).

Być może, taka postawa byłego jakobina i dzielnego napoleońskiego generała, była skutkiem inwalidztwa i podeszłego wieku, a być może wynikała z wiary w wielkoduszność Aleksandra, który nie tylko przywrócił do życia

³ Łojek Jerzy, *Pisma wybrane. Wiek XIX*, Universitas, Kraków 2015, s. 300.

⁴ Nowosilcow Mikołaj Mikołajewicz (1761-1839), rosyjski polityk; cesarski komisarz pełnomocny przy Radzie Stanu Królestwa Polskiego. W latach 1814-1824 – kurator wileńskiego okręgu naukowego; szef tajnej policji w Królestwie Polskim; starosta Słonimski.

⁵ Ursyn Niemcewicz Julian, *Dziennik z lat 1820-1828*, wybór i oprac. Izabella Rusinowa, Aleksandra Krupa, Oficyna Wydawnicza ASPRA, Warszawa 2012, s. 238.

⁶ Tamże, s. 212.

Królestwo Polskie, ale wielokrotnie robił nadzieję na włączenie w jego granice części „ziem zabranych”? Zajączek, jako carski namiestnik, daleki był od ducha demokracji. Niemcewicz – wówczas sekretarz senatu KP – przytoczył w pamiętnikach taką wypowiedź księcia generała: *gdyby to ode mnie zależało, rozgoniłbym to tałatajstwo (mieniąc sejm), a Krysińskiemu i Niemojowskiemu (dwom posłom) kazałbym dać w d...⁷*. Dopuszczał się swobodnego cenzurowania wypowiedzi posłów, zakazując druku tych wypowiedzi, z którymi się nie zgadzał⁸. Niemcewicz stwierdził, że Zajączek powierzoną władzę *sprawował z zuchwałością tureckiego wezyra⁹*, i nazywał go „Odyńcem”. W końcowej części *Dziennika... dla 1821 r.* napisał m.in.: *Pamiętnym będzie dzień 4 grudnia 1821, w którym na Radzie Ministrów niecny i podły namiestnik Zajączek wniósł za natchnieniem Nowosilcowa, by prosić cesarza, aby nadaną konstytucję, jako przeskadzającą działalność rządu, odmienić raczy¹⁰*.

W okresie, gdy Józef Zajączek sprawował funkcję carskiego namiestnika Królestwa Polskiego (1815–1826), znacznym przeobrażeniem uległa Warszawa. Dopomagał mu w tym powołany przez niego 6 stycznia 1816 r. na prezydenta Warszawy Karol Fryderyk Woyda. Nowy prezydent chciał rozbudować i unowocześnić Warszawę, ale przez swoją służalczość i lojalizm wobec władz carskich był niepopularny przez społeczeństwo Warszawy. W tym czasie, bodajże po raz pierwszy, stołeczność miasta rozumiano nie tylko jako siedzibę władz, ale także jako symbol państwa, co wymagało odpowiednio „dostojnego” wystroju urbanistyczno-architektonicznego. Symbolem tego jest zakupienie w 1817 r. przez rząd Królestwa dawnego Pałacu Radziwiłłów i przeznaczenie go (po przebudowie) na siedzibę namiestnika (od tego czasu do dziś jest to obiekt „rządowy”). W latach 1817–1818 został zakupiony i przystosowany do celów administracyjnych dawny Pałac Jabłonowskich na Placu Teatralnym. W budynku tym do Powstania Warszawskiego mieściła się siedziba władz administracyjnych Warszawy (ratusz). W 1825 r., a więc jeszcze w czasach Zajączka, rozpoczęto wznoszenie w Warszawie gmachu Teatru Wielkiego (1825-1833). Pod rządami Zajączka, ale na polecenie w. ks. Konstantego wytyczono i obsadzono drzewami obecne Aleje Jerozolimskie (do pl. A. Zawiszy).

W 1821 r., tj. pod rządami Zajączka, na stanowisko ministra skarbu powołano Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego.

Nowy minister sterując narzędziami finansowymi wspierał rozwój przemysłu, głównie w Zagłębiu Staropolskim, w rejonie Krzepic oraz w Łodzi.

⁷ Tamże, s. 71.

⁸ Tamże, s. 68 i 77.

⁹ Tamże, s. 232 i 85.

¹⁰ Tamże, s. 100.

Doprowadził do zniesienia w 1822 r. granicy celnej pomiędzy Królestwem, a Cesarstwem. Jego polityka doprowadziła do zlikwidowania deficytu budżetowego i wytworzenia nadwyżki budżetowej. Uszczelnił system podatkowy, zwiększył podatki od konsumpcji oraz zbudował monopole skarbowe. W latach 1821–1829 dochody Królestwa wyniosły 74 535 złp., w tym z podatków od soli 15 802, oraz wódki i mięsa – 10 543, łącznie 26 345 złp., tj. 35, 3% wszystkich dochodów państwa. W tych samych latach (1821–1829) wydatki budżetu Królestwa Polskiego wyniosły 71 356 złp., tj. były niższe od dochodów o 3 179 000¹¹. Od tamtych czasów, to bodajże jedyny przypadek, że budżet państwa polskiego miał nadwyżkę. Największym obciążeniem dla budżetu były wydatki na wojsko, które wyniosły 31 956, tj. 44, 8% wydatków Królestwa, czyli procentowo dziesięciokrotnie więcej niż wydaliśmy na ten cel w 2024 r.

Dekretem namiestnika z 17 lutego 1817 r., przy Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych powołano Radę Ogólną Budownictwa, Miernictwa, Dróg i Spławów. Jej „prezdującym” przewodniczącym został Stanisław Staszic. Przy Uniwersytecie Warszawskim utworzono natomiast Szkołę Miernictwa, Budownictwa Dróg i Spławów. W roku 1818 przy Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego utworzono Oddział Budownictwa i Miernictwa z katedrami: Architektury, Budownictwa Wodnego, Dróg i Mostów, Miernictwa, Niwelacji i Topografii oraz Mechaniki. Po kilku latach „szkoła” ta włączona została do organizowanego Instytutu Politechnicznego. Mając stabilną sytuację budżetową oraz krajowych fachowców, Królestwo Polskie podjęło wielki program budowy dróg bitych, rozchodzących się z Warszawy we wszystkich kierunkach. Wytyczone i zbudowane wówczas drogi są do dnia dzisiejszego kośćcem systemu dróg kołowych w Polsce.

W związku z nałożeniem przez Prusy bardzo wysokiego cła na towary spławiane Wisłą do Gdańska, Królestwo Polskie podjęło ambitny plan – zbudowanie drogi wodnej do Bałtyku z ominięciem terytorium Prus. Nowa droga

Lech Królikowski
Warszawa w cieniu dwugłowego orła
 Red. nauk. Tadeusz Skoczek
 Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
 Warszawa 2025
 Stron 456
 ISBN 978-83-68378-24-5



¹¹ *Zarys historii Polski w liczbach. Społeczeństwo. Gospodarka*, wyd. Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2012, s. 487.

wodna miała składać się z Kanału Augustowskiego budowanego przez Królestwo Polskie i Kanału Windawskiego budowanego przez Rosję. Projekt techniczny kanału, sporządzony przez Ignacego Prądzyńskiego, w 1824 r. zatwierdziła Rada Administracyjna Królestwa, a następnie Aleksander I. Zasadnicze prace przy budowie Kanału Augustowskiego wykonano w latach 1824–1830, a ich koszt wyniósł 1 425 303, 79 rb. Rosjanie nigdy nie zrealizowali przyjętego na siebie zobowiązania doprowadzenia drogi wodnej od Niemna do portu Windawa nad Bałtykiem, toteż znaczenie Kanału Augustowskiego było i jest znacznie poniżej jego zakładanych możliwości.

Za czasów namiestnictwa gen. Zajączka wzniesiono Pałac Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu (1825) oraz Pałac Ministra Skarbu (1825), Pałac Mostowskich (Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji – 1823), Pałac Staszica (1820–1823). Zasługą (?) administracji Zajączka było powołanie w 1828 r. Banku Polskiego, dla którego w latach 1825–1828 zaprojektowano (A. Corazzi i J.J. Gay) i wzniesiono kompleks budynków w narożniku placu Bankowego i ulicy Elektoralnej.

Pałac Prymasowski przy Senatorskiej w latach 1815–1830 był siedzibą Komisji Wojny, a zakupiony w 1817 r. Pałac Sapiechów (przy Zakroczymskiej) został przeznaczony na koszary. W czasach namiestnictwa gen. Józefa Zajączka w Warszawie powstał Królewski Uniwersytet Warszawski (dyplom fundacyjny Aleksandra I z 19 listopada 1816 r.). Na podstawie dekretu Aleksandra I z 8 października 1816 r. na Marymoncie w Warszawie powstała Szkoła Agronomiczna, przekształcona w 1820 r. w Instytut Agronomiczny. Pod koniec lat 20. XIX w. w Warszawie działało sześć szkół średnich; cztery szkoły wojewódzkie, w tym dwie prowadzone przez pijarów, Liceum zwane Królewskim oraz szkoła Wojewódzka Praktyczno-Pedagogiczna. Działały także dwie średnie szkoły nazywane wydziałowymi. Powstały bądź kontynuowały działalność szkoły wojskowe: Szkoła Podchorążych Piechoty, Szkoła Podchorążych Jazdy, Szkoła Podchorążych Artylerii, Szkoła Aplikacyjna (najwyższa szkoła wojskowa w Królestwie Polskim), Szkoła Bombardierów, Szkoła Chirurgiczna. Działała także szkoła Korpusu Kadetów w Kaliszu.

Pomimo bardzo sprzecznych opinii na temat osoby Józefa Zajączka, w okresie międzywojennym jego nazwiskiem nazwano ulicę na Żoliborzu w Warszawie. Jest nią przecznica ulicy Mickiewicza, głównej arterii Żoliborza.

Od 1786 r. Józef Zajączek był żonaty z Aleksandrą de Pernet (1754–1845) pochodzącą z rodziny osiadłych w Polsce hugenotów. Pani Zajączkowska zmarła w wieku 91 lat. Wyjątkowo dbała o zdrowie i urodę. Mówiono, że mając 65 lat wyglądała na 20-letnią. Nie mieli dzieci. Generał natomiast uchodził za niepoprawnego kobieciarza. Nie zmienił się nawet po utracie nogi.

Lech Królikowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Przemysław Dakowicz: Wyrzygnąć

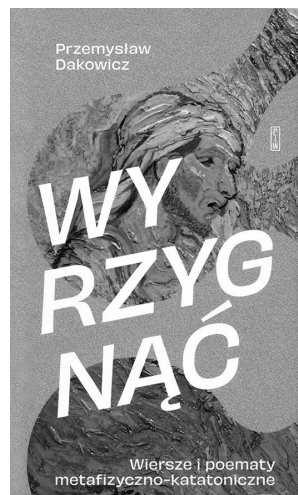
Tom w zasadzie zawiera wiersze i poematy metafizyczno-katatoniczne. Metafizyczne, a więc sięgające może do Arystotelesa albo i jeszcze głębiej, a na pewno badające byt jako taki i penetrujące pojęcia, które mu istotnie przysługują. Katatoniczne, bo (to moje ograniczenie sensu tego słowa, uważam, że odpowiednio do rzeczy i chyba nieuszczuplające niczego) ze wzmocnionym napięciem mięśniowo-umysłowym, takim, które z mierzwy wydobywa to, co naprawdę ważne i kreujące świat, życie, myśl, dobro i zło jako uszczuplanie dobra.

Tom ponadto między wierszami pokazuje obrazy świadczące o tym, że sztuka, świat i my sami jesteśmy w stałym nawrocie, że się powtarzamy, tylko za każdym razem trochę inaczej, lepiej, gorzej, ciekawiej, głupiej, ale zawsze do sprawdzenia, jak to jest naprawdę. Świadczą o tym zamieszczone przykłady historycznych powtórek w sztuce w postaci interesujących zestawień fragmentów obrazów słynnych malarzy. Łatwo się domyślić, że to zabieg autora wierszy, a nie kogoś z zewnątrz. (Pytanie: jak on, ten Dakowicz do tego doszedł i jak to znalazł?). To każe zastanowić – zatrzymać – uszczypnąć się: co jest, do diabła (lub do anioła)?

Przemysław Dakowicz
*Wyrzygnąć. Wiersze i poematy
 metafizyczno-katatoniczne.*
 Forma i kształt *Komentarzy do wierszy i poematów* jest dziełem autora.
 Dobór obrazów autor.
 Państwowy Instytut Wydawniczy
 Warszawa 2024

Oprawa twarda. Stron 216
 ISBN 978-83-8196-824-9

Książka dostępna także jako e-book: www.piw.pl



Bohaterem jest tu nie kto inny jak Vincent van Gogh, traktowany za życia niczym wariat (bo też rzeczywiście miał okresy patologii), którego dzieła dziś kosztują miliony (dolarów) i ponadto mamy dzisiejsze odważne spojrzenie na jego postawę twórczą. Jednak nadal, mimo upływu widzi to samo co my wszyscy, tylko jednak trochę inaczej. Po swojemu interpretuje, przetwarza i pokazuje. Wszyscy mamy prawo do wzlotów i obsunięć psychicznych, a jak jest wzlot, to patrzcie, ludzie, co to jest, bo może zniknąć. Czas, który upłynął od śmierci malarza, 135 lat, pokazuje, że tak jest rzeczywiście, że najważniejsze były wzloty, a upadki mogą bawić i cieszyć osoby złe. Ponadto mamy prawo być inni, bo natura o to zadbała, ale musimy o ten przywilej walczyć, by przetrzymać niewidomych przeciwników.

O co chodzi więcej w tomie, zarówno w samej poezji, jak i w jej otoczeniu, autor pokazuje niekiedy jak palcem krowie w oborze: tu jest paśnik, tu legowisko, tu okienko z widokiem na pole... Chwilami można to odczytywać jako akt sprzeciwu wobec obrońców zastanej nędzy poetyckiej, która dominuje w naszym czasie. Nędzy polegającej na masowym (wręcz nadinternetowym) świetnym pisaniu o niczym, na znęcaniu się na czytelnikach rozprawkami o banałach, które wszyscy mają wyuczone od kołyski, a które się ukrywają między słowami i wierszami w ciekawostkowych metaforach, w ładnie brzmiącym pustosłownym realizowanym słowami wielomównymi, zatem w pisaniu pozornie atrakcyjnym, ale jednak piekielnie nudnym, podającym strawę męczącą, taką do snu.

Przychylam się do tej diagnozy, tym bardziej że mam przed sobą przeciwnieństwo tego, Dakowicz pisze bowiem w sposób atrakcyjny, posuwający czucie i myślenie naprzód, odświeżający poezję, której reprezentanci jako docenieni mistrzowie tej dziedziny sztuki zdążyli autora temu odsądzić od czci i wiary. W tej księdze wszystko jest bowiem trochę inaczej, obok wierszy i ilustracji inne są też (para) blurby, czyli cytaty opinii na czwartej stronie okładki, w zwykłych książkach mające zachęcać do czytania dzieł, a tu jednak odwrotnie. Autor pokazał cztery najbardziej charakterystyczne akty zwalczania Dakowicza, a właściwie jego twórczości. Niestety charakterystyczne dla dzieł literatury, zdumiewająco nietrafne. Bez wycucia z czym i kim mamy do czynienia w Przemysławie Dakowiczu jako poecie.

Cytuję fragmenty.

Justyna Sobolewska: „Teraz jednak zmarli okazują się bardziej żywi niż my i zmuszają nas, abyśmy uczestniczyli w ich śmierci”.

Piotr Śliwiński: „Przemysław Dakowicz – urzędniczym kolaniem (wepchnięty) do kanonów i podręczników” (tu Dakowicz protestuje, bo jak

dotąd żaden jego tekst nie znalazł się w lekturach ani podręcznikach szkolnych).

Wojciech Wencel: „Dakowicz błądzi (...) gdy naiwnie deklaruje pragnienie odnalezienia «nowego» języka, który pozwoliłby mówić w (...) sposób atrakcyjny”.

Zbigniew Jazienicki: „Praktyka Dakowicza byłaby w tym sensie egzemplarycznie «paranoidalna», czyli ukierunkowana na regulację, porządek, organizację (...) O ile schizofreniczne byłoby związane z deregulacją, uruchamianiem nowych możliwości, «linii wyjścia», u Dakowicza okazuje się ono jedynie warunkiem i paliwem jego obsesyjnego, paranoicznego w istocie porządkowania”.

I tak dalej. No, no, smutne. Oni naprawdę tkwią w bańce swego dawnego czasu. Nie rozumieją tych tekstów! Boją się ich? Rozumiem niepojęcie nowości naukowych, z tym się stykałem lata temu, kiedy dziwniecznie kwestionowano moje badania, wyniki i rozwiązania w zakresie językoznawstwa (i już dawno się na te ongi nowości, a dziś starocie nawrócono), ale w odniesieniu do poezji? Zazdrość, zawiść, zła wola, niezdolność myślenia, brak czucia, niechęć z założenia, niegramotność czy brak uważności... trudno ocenić, ale oby to ostatnie!

Ci, którzy mieli szansę zaimponować jakąś choćby minimalną wrażliwością na nowość, przegrali niejako na starcie i teraz bluzgają przeciw temu, co się komuś nie tyle udało, ile najzwyczajniej mocno stworzyło i już będzie istniało na zawsze. Alergiczne wypowiedzi zostały też wypunktowane przez tytuł książki i zawartego wewnątrz poematu: Wyrzygnąć!

Pytanie, jak można było dać na okładce coś takiego jak brzydkie (choć na szczęście niewulgarne) słowo nazywające zwracanie zawartości żołądka. Toż to prowokacja. Też tak początkowo sądziłem, ale teraz, po przeczytaniu całości, widzę, że to raczej protest.

Moim zdaniem w swojej sytuacji poeta zachował się właśnie jak prawdziwy poeta i autor czegoś nowego. Tego nie umieli lub nie chcieli dawać dawni poeci, którzy byli brutalnie z buta atakowani przez znanych ówczesnych krytyków i dziennikarzy. Tylko, jak Norwid, w ciszy i ukryciu płakali w mankiet, szli do knajpy i pili na umór. Może uważali, że wykrzykiwanie mocnych słów jest niezbyt eleganckie, a protestowanie przeciwko niesprawiedliwej krytyce mało skuteczne.

Ale żyjemy w innych czasach, kiedy szefowie rządów oświadczają, że będą traktować prawo tak, jak oni sobie je wyobrażają. Poeta ma prawo tupnąć nogą, i to tak żeby się zatrzęsło.

A same wiersze? Fascynujące. Nieprzegadane. Pozbawione banału. Odświeżające myślenie czytelnika. Pomysłowe językowo. Nowe, nowe, nowe. Takie pisanie jest bardzo trudne, ale dzięki temu czytanie łatwe, trzeba tylko chcieć. I pod warunkiem otwarcia oczu. A wtedy otwiera okiennice zaparte, zabetonowane, zabite gwoździami przez klasyków dawnych i obecnych.

I to oni zostali tam w stęchliźnie, w tych dusznych salkach z poprzewracanymi mebelkami dla dzieci. Czegoś się nauczyli, ale już dalej nie chcą? Już im to wystarczy?

Wiersze Dakowicza mają szeroki horyzont. Sięgają wieki wstecz, ale i szukają czegoś, co będzie przed nami. Atakują i pokazują, dlaczego tak jest, a mimo to nie są publicystyczne. Punktują tych, którzy nauczeni logiki, łamią jej zasady, a swoim zachowaniem przeczą faktom i sensom rzeczywistości. Nie stronią od cieniutko sygnalizowanych negatywnych ocen, a kiedy (z punktu widzenia autora) należy, chwalą, odkrywając to, co na pochwałę rzeczywiście zasługuje i nie jest ogólnikowym dobrem ani lalkowatym pięknem. Są tam na przykład takie utwory jak „Neurotyczna osobowość naszych czasów” (między innymi o tych, którzy mają kłopoty z głową i sobą) i poemat „Wyrzygnąć. Traktat o całości” (w którym padają nie tylko oceny, ale i proste rady, choćby z czasów Odrodzenia Jana Kochanowskiego, o których zastani dziś a zapieczęci w stołkach poeci zdążyli zapomnieć: wkrocz w Apeiron, daj się ponieść fali słów, nie ma nic poza językiem, bądź dorosły, mów, co masz do powiedzenia, a nie tylko dla chwały, a więc jedynie po to, aby namówić innych, aby docenili... ciebie!).

Komentarze autorskie do wierszy i obrazów to lektura osobna. Mogłaby wystąpić także w innej książce, ale dobrze, że towarzyszy tym wierszom, że są pod ręką. Pełne wiedzy, którą warto poznać, ale i myśli, które dobrze by było przetrawić.

Chwała więc Przemysławowi Dakowiczowi, który od dawna coraz bardziej wysuwa się na czoło literackiego peletonu. Chwała Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu za wydanie, w którym z ręcznie oddano autorowi inicjatywę w przełamaniu stereotypów.

Piotr Müldner-Nieckowski

*Pierwodruk (w nieco innej wersji) w „e-Dwutygodnik Pisarze.pl”
luty 2025*

Piotr Müldner-Nieckowski

Marek Klecel: Sybir

W podtytule podano: *Dzieje polskich zesłańców XVIII–XIX w.* Bardzo ważna książka. Po pierwsze napisana stylem dostępnym każdemu, w tym ludziom młodym i bardzo młodym, którzy jeszcze nie umieją czytać dużych rzeczy, ale także starszym, którzy wobec Internetu zapomnieli już, jak to się robi z tym czytaniem i jakie to daje emocje.

Po drugie po mistrzowsku wyczerpująca w zakresie podstawowej wiedzy o Polsce sprzed ledwie 230-150 lat temu, o świecie i zakrętach historii, które nas ukształtowały. W szkołach tego nie ma i – tak się zanosi – nie będzie. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, póki są ludzie, którzy jeszcze wiedzą, o co chodzi, tacy jak autor tego dzieła. A tak się haniebnie składa, że w latach otaczających 150 rocznicę Powstania Styczniowego liczne polskie biblioteki z dziwnych powodów pozbywały się wcześniej wydanych tomów na ten temat, na przykład księgi o podobnym stroju, znakomitej, ale zupełnie innej niż *Sybir* Klecela, a wydanej w 2018 przez krakowskie Wydawnictwo Literackie 600-stronicowej, pod tytułem *Dom Umarłych, Syberyjska katorga w czasach carów* Daniela Beera w przekładzie Michała Ronikiera. Nie rozumiem tej antypolskiej i antyedukacyjnej polityki.

Marek Klecel
Sybir.

*Dzieje polskich zesłańców
XVIII–XX w.*

Nadzór wydawniczy Leszek Sosnowski
Biały Kruk
Kraków 2024

Stron 600

Oprawa twarda

ISBN 978-83-7553-406-1



Widocznie książka w bibliotece (z litości nie wymieniam adresu i nazwy) stała tak schowana, że czytelnicy i nauczyciele o niej po prostu nie wiedzieli, no i obecni szefowie księżnicy postanowili się tej cegły pozbyć. Na stronie 4 dzieła Beera mam wielką pieczęć „UBYTEK” i inne pieczętki znanej biblioteki. Ktoś w mojej rodzinie ma drugą taką, z inną pieczętką, ale również przykrą. Kupił ją tak jak ja swoją – na Allegro.

Sybir Marka Klecela to rzecz napisana stylem wciągającym, nieprzesadnie ozdobnym i niezawilim, bo autor wie, że dzisiaj coraz mniej ludzi umie czytać duże, ozdobnie napisane rzeczy, jak to jeszcze nie tak dawno robił pewien pan nazwiskiem Żeromski. Zawiera mnóstwo rozwijających wyobraźnię ilustracji, świetnie dobranych, tak że i za to autorowi i wydawcy należą się specjalne podziękowania.

A co do treści – mam same pochwały. Przeczytałem całość dokładnie i z zapalem, pewne fragmenty po parę razy. Rozmawiałem w tym czasie na spotkaniach autorskich z młodzieżą na spotkaniach w szkołach i podpytywałem, co wiedzą o naszej XIX-wiecznej historii. Nie wiedzą nic. Kompletnie zero. Podstawówki i licea zostały z tego jakby wyprane. Może to przypadek, że mnie się tak trafiło, ale może i nie, może taka jest prawda w całym kraju.

Co do dat młodzi myślą bowiem wojny napoleońskie z pierwszą wojną światową, kongres wiedeński z wojną ludów, a co do ludzi to nawet Romualda Traugutta z Aleksandrem Wielopolskim. „Jak ktoś ma tak wspaniałe nazwisko, to musi to być wybitny Polak” – powiedział jeden z uczniów i był z siebie bardzo zadowolony.

Nie wiedzą, czym było tak zwane Królestwo Polskie, kiedy się zaczęło, jakie było i co się z nim stało jako Krajem Nadwiślańskim. Co się działo z tymi, którzy chcieli przywrócić Polskę w tym Królestwie, czyli zwykłymi mieszkańcami miast, szlachtą i chłopami, ale głównie powstańcami choćby w latach 1830–1831 i 1863–1864. Jakie nazwiska i czyny były ważne i ciekawe same w sobie, w sensie choćby czysto literackim i przygodowym, a nie tylko ze względu na naszą historię. Które podniecają wyobraźnię, pokazując, kim można być, żeby być sobą i zarazem bohaterem, nie udając nie wiadomo jakich zasług, nie podnosząc głowy z mieszczańskiej i poddańczej pogardy, ale być dobrym wobec cichych a sumiennych i mądrych, i wszystko z dumą, że się umie czytać i mówić po polsku. Niektórzy mogliby wreszcie otworzyć oczy i zobaczyć, własnie na kartach tej księgi, co się tam wtedy działo w zaborze rosyjskim, a co w pruskim i w austriackim. I co może wrócić, jeśli się dzisiaj nie ogarniemy.

Marek Klecel podaje jak na tacy, czym było największe więzienie świata – Sybir, a w nim Syberia i europejska przeduralska część Rosji z więzieniami i kaźniami. Jaki był tego sens, jak przebiegało rosyjskie manipulowanie całymi narodami, aby znikły z mapy albo wręcz ze świata, jaki był tego wpływ na ludność Europy i Azji. Zaczynamy sobie przypominać i rozumieć, że to wszystko przestało istnieć w naszej wyobraźni i w ogóle w mentalności dzisiejszych Polaków. Jakimś cudem car Mikołaj II ostatecznie nie wprowadził cyrylicy zamiast polskich znaków łańskich, ale i tak przez dziesięciolecia na ulicy, w biurach, sklepach, szkołach i szpitalach nie wolno było po naszymu mówić, a działania cenzury bezczelnie i bez najmniejszego wstydu dokumentowano wydrukiem na każdej czwartej stronie każdej w Polsce wydanej książki. Mieliśmy być niewolnikami, poddanymi rosyjskiej hegemonii po wsze czasy.

A co i jak robili, jak się bronili i jak przeżywali katusze nasi najlepsi ludzie, brutalnie wysłani na katorgę? Nie na roczną czy dwuletnią, ale często na całe życie. To, co po carskim systemie rozwinęli potem rosyjscy komuniści, też już wypada z pamięci nauczycieli i ich dzisiejszych młodych uczniów. Jak wracano do domu i co repatriantów czekało potem. Tego u Beera jest mało, za to u Klecela mnóstwo, i to w porządku, który układa się w głowie tyleż jako „fantastyka prawdziwa”, co memento: oni, ci władcy połowy świata, tacy są! Są nadal.

Co by się stało, gdyby wrócili do nas ze swymi batami, strzelbami i łańcuchami ci bezwzględni oprawcy, niemający za grosz szacunku dla życia (widać to w czasie obecnej wojny Rosji z Ukrainą, gdy wysyłają swoich na niechybną zgubę setkami tysięcy)?

Najlepsze jest to, że księgę Klecela czyta się jak najlepszą z najlepszych powieść.

Piotr Müldner-Nieckowski

Pierwodruk (w innej wersji) w „e-Dwutygodnik Pisarze.pl”, lipiec 2025

Piotr Müldner-Nieckowski

Jakub Maciejewski: Historia cenzury

Długośmy na taki utwór czekali.

Mimo że pisarze w czasach komuny (1944-1989) szczególnie cierpieli z powodu cenzury, nikt jakoś się do opracowania jej całości nie brał. Owszem tu i ówdzie, zwłaszcza w krajach, w których cenzury prawie nie było i nie ma (z podkreśleniem słówka „prawie”), jakieś wrywki z tej dziedziny można było spotkać, ale to za mało, żeby mieć jakiś wyrobiony pogląd. Owszem, nasi pisarze (ja też brałem w tym udział) na swój i publiczny użytek opracowywali techniki omijania czerwonego cenzorskiego ołówka i precyzyjnie dostosowywali swoje teksty artystyczne tak, aby cenzura ich nie zakazywała.

Była to walka nie tyle na noże, ile żyłетки, wymacywanie i niwelowanie cieniutkich różnic między tekstem dozwolonym, a zakazanym. Chwyty antycenzorskie autorom w krajach komuny wchodziły w krew, tak że sami nie zauważali, że je stosują. Pamiętam słynny wywiad Milana Kundery, czeskiego mistrza prozy, dla Radia BBC, który objaśniał, dlaczego przeprowadził się z Czechosłowacji do Francji i z jaką ulgą mógł przestać używać owych chwytów.

A trzeba otwarcie powiedzieć, że **cenzura tylnymi drzwiami wraca!** Już nie oficjalna i nie państwowa, ale lewacka, a u nas także anti-PISowska i sekciarska, walcząca z niewygodnymi faktami, organizacjami i osobami. Potrafi zamykać w więzieniach, torturować i nawet zabijać.

Tak, wykreślanie myśli i rozumu to dla większości z nas tortura.

Cenzura jest wszędzie, nawet w przedszkolu.

To zło czai się także za każdym węglem pisarstwa każdej kategorii, od dziennikarskiego i naukowego po artystyczną poezję.

Trzeba też wiedzieć, że czym innym jest ochrona wartości intelektualno-obyczajowych danej instytucji, takiej jak Kościół, i danego światopoglądu, takiego jak religia, i to tylko w odniesieniu do członków lub wiernych (nie chcesz, to przestań do naszej społeczności należeć, wtedy będziesz mógł zakłamywać wierzenia swoje), czym innym tajemnica lekarska lub wojskowa (wolność to nie dowolność), a czym innym sekowanie tekstów i autorów za wypowiedzi o charakterze politycznym, przeciwko aktualnej władzy i (albo) interesom jakiejś grupy pieniężno-gospodarczo-produkcyjnej.

Książka ta, a właściwie dzieło, bo jest to owoc ciężkiej pracy badawczej, opartej na źródłach, daje się świetnie czytać. Jest napisana przystępnym i ładnym językiem, pozwala docierać do mało znanych a decydujących sensów z cenzurą związanych. Znajdujemy w niej opisy technik kastrujących publikacje lub zakazujących ich upowszechniania, łącznie z niszczeniem książek politycznie niewygodnych i ludzi je tworzących. To jest wiedza, która może być dla dzisiejszej młodzieży wręcz niewiarygodna, wręcz powalająca. Tak, świat ludzkości taki jest, walczy z twoją wolnością umysłową i fizyczną, drogi czytelniku. Nie pozwól na to.

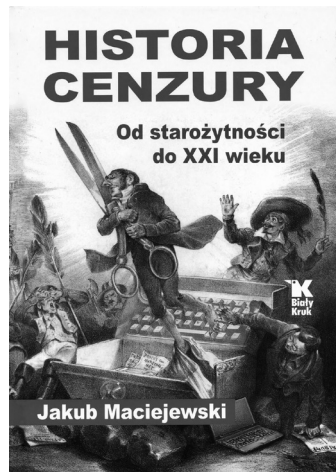
W *Historii cenzury* Znajdujemy nazwy i nazwiska instytucji i osób zajmujących się cenzurowaniem. Od razu przypomina mi się moja własna praca naukowa z zakresu historii medycyny. Tu też cenzura wciskała swoje macki. Kiedy brałem na warsztat polskie dzieła medyczne z XIX wieku, pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy, była na czwartej stronie książki nota „Cenzuroju dozwoleno” (dopuszczone przez cenzurę). Carskie władze w ogóle się z tą swoją hańbą nie kryły. Komuna, ta od 1917 r., jeszcze to zło pogłębiła. Grunt dla swojej cenzury miała już użyźniony, nawodniony i zagrabiony. A cenzura niemiecka, a cenzura szwedzka...

Nie będę wymieniać dalej. Lepiej zajrzeć do książki Jakuba Maciejewskiego, znanego i cenionego dziennikarza, świetnie znającego dawne, ale także dzisiejsze cenzorskie obyczaje władzy. Przejrzał dzieje świata pod tym kątem. Dowiadujemy się więc również, jak obecnie jesteśmy oszukiwani, kiwani i ograbiani z myśli, prawdy i tożsamości. Tu i teraz w Polsce. Świat ma w tej dziedzinie ogromne doświadczenie, niektórzy oszuści będący przy władzy nadal próbują z tego czerpać pełnymi garściami. Warto to poznać, żeby wiedzieć, jak czytać dzisiejsze teksty, jak dostrzegać ukryte cenzurowanie i jak walczyć z zakłamywaniem czy wręcz zakazywaniem słowa. Z niszczeniem naszej wolności.

Piotr Müldner-Nieckowski

wg „e-Dwutygodnik Pisarze.pl”, 03.2025

Jakub Maciejewski
Historia cenzury. Od starożytności do XXI wieku
 Biały Kruk, Kraków 2024
 Stron 304. ISBN 978-83-7553-418-4



Mariusz Olbromski

O początkach Dialogu Dwóch Kultur

I

Kiedy sięgam pamięcią do początków Dialogu Dwóch Kultur, jakże trudno mi uwierzyć, że to zaczęło się tak dawno.

Był początek maja 1991 roku. O świcie ciągnęły ze złotych obłoków, koronek blasków, klucze żurawi nad jeziorem w Tarnopolu. Właśnie wjeżdżałem do miasta na czele długiej kolumny samochodów wiozącej licznych artystów, pracowników instytucji kultury, także kilka wystaw oraz różnorodny sprzęt na targi rolnicze. Wyprawa była nader ryzykowna, wszystko było jak w chmurze. Na granicy państwowej w Medyce/Szegini stały jeszcze służby NKWD. Trzymano nas bez potrzeby dwie doby, choć z wcześniejszych ustaleń wynikało, że mamy być odprowadzeni poza kolejnością. Chwiało się wówczas w posadach imperium sowieckie, ale było nadal nieprzewidywalne, mroczne i groźne. Z chaosu tamtego czasu wyłaniała się właśnie wolna Ukraina. Ogłosiła swą niepodległość 24 sierpnia tamtego roku, a Polska była pierwszym w świecie krajem, który uznał ten fakt.

Tarnopol znałem głównie z lubaczowskich opowiadań babci Anieli, oczywiście z okresu przedwojennego, a także z kilku pocztówek w starym, rodzinnym albumie. Nie miałem żadnych doświadczeń w budowaniu współpracy międzynarodowej. Byłem młodym dyrektorem wydziału kultury w Urzędzie Wojewódzkim w Przemyślu, wyniesionym na to stanowisko przez siły niepodległościowe zaraz po wygranych wyborach czerwcowych. Kilka miesięcy przed tarnopolską wyprawą – zupełnie do tej roli nieprzygotowani – wkraczaliśmy jako działacze solidarnościowi niewielką grupą do przemyskiego urzędu wojewódzkiego, aby starać się zrzucić z tej części kraju czerwone kajdany, przejąć władzę, włączyć się w wielki nurt przemian. Niosły nas skrzydła nadziei i wiary, że służymy niepodległości, a więc kluczowej i najpiękniejszej sprawie.

Pomysł wyprawy do Tarnopola był mój, zaakceptował go wojewoda przemyski Jan Musiał, a po uzgodnieniach w Warszawie, podpisał w tej sprawie bardzo ogólnikowe porozumienie z przedstawicielem obwodu

tarnopolskiego. Celem było wsparcie ukraińskich dążeń niepodległościowych, a jednocześnie nawiązanie, na zupełnie nowych zasadach, od podstaw, kontaktów przede wszystkim w sferze kultury, ale też gospodarki, głównie rolnictwa. Wyruszając tam dobrze wiedziałem, że podążam na teren tragicznych wydarzeń z okresu rzezi wołyńskiej, a zarazem byłem w pełni świadomy tego, jak niebezpieczny i podstępny jest komunizm sowiecki.

Na miejscu Ukraińcy przyjęli nas – na szczęście – dobrze, z pewnym niedowierzaniem, ale też z nadzieją i ostrożną życzliwością. Zapewnili godne warunki bytowe w nowym hotelu z rozległym widokiem na miasto i zbiornik wodny. A przede wszystkim udostępniili obiekty, w których mieliśmy zrealizować nasze plany. Powitali nas ogromnym przyjęciem, na którym wznosiłem toasty: „Za wolną Ukrainę!” I „Za dobrą współpracę polsko-ukraińską”.

Tydzień Kultury Polskiej, który wtedy zorganizowałem, był pierwszym tego typu wydarzeniem w Tarnopolu i na tych ziemiach po 1939 roku. Dla gospodarzy był zaskoczeniem i w jakimś sensie objawieniem, na moją prośbę Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie przygotowała bowiem wspaniałą wystawę *Ojciec Święty Jan Paweł II jako orędownik pokoju i wolności narodów* z wieloma zdjęciami, afiszami, książkami, kopiami dokumentów, także z cytatami przetłumaczonymi na język ukraiński, dotyczącymi pojęcia wolności narodu w nauczaniu papieskim.

Uroczyste otwarcie ekspozycji odbyło się w gmachu muzeum, a przybył na nie ze stolicy, między innymi, niezjący już dziś legendarny działacz Solidarności chłopskiej Józef Ślisz, ówczesny wicemarszałek Senatu RP. Także wojewoda przemyski, no i oczywiście gubernator tarnopolski. Wystawa była przygotowywana przez nas za zamkniętymi drzwiami, a kiedy poinformowałem na wernisażu zebranych jaki jest jej temat przewodni, wspomniany gubernator, jeszcze dygnitarz komunistyczny, potężnej postury, zadrzał, jakby go trafił piorun. Po przecięciu wstęgi i przemówieniach ruszył za nami ogromny tłum zwiedzających, duża rzesza dziennikarzy.

Niestety, ekspozycja została zamknięta po dwóch dniach, pod pretekstem awarii instalacji światła. Sensacją stały się filmy, które przywieźliśmy, a których projekcje trwały od rana do nocy w ogromnym kinie. Przed gmachem stał po bilety niekończący się tłum, cisnął się do wnętrza. Był to film Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru* i dzieła Krzysztofa Zanussiego, które wówczas miały potężną, porywającą umysły i serca wymowę. Inne nasze wystawy – rzeźb abstrakcyjnych oraz malarstwa współczesnego

z Jarosławia, wzbudziły zdziwienie tamtejszej publiczności, która przywykła przez dziesięciolecie wyłącznie do prac socrealistycznych, naturalistycznych.

Zaprezentowane ekspozycje niosły posmak sensacji, nowych, nieznanych tam zupełnie prądów w sztuce. Wspaniale zaprezentował się też na tarnopolskiej scenie Akademicki Zespół Pieśni i Tańca z Rzeszowa „Resovia Saltans” w pięknych barwnych strojach, z narodowymi i ludowymi pieśniami, recytacjami, urzekającymi układami tańców.

Dziękowałem później memu przyjacielowi Witoldowi Kopie z Lubaczowa, choreografowi zespołu, że zwrócił moją uwagę na ten zespół. Koncert rzeszowskiej młodzieży trwał ponad trzy godziny i był nieustannie przerywany oklaskami przez tłumnie zgromadzoną publiczność. Niejako odpowiedzią był koncert pieśni ludowych i tańców ukraińskich, dum przywórcze bandur i lir, który się odbył następnego dnia. Byłem tą prezentacją zupełnie olśniony. Nie tylko ja, ale wszyscy, który w tym wydarzeniu mogli uczestniczyć.

Pamiętam, że w tamtym dniach żyłem w jakimś uniesieniu, spałem po kilka godzin na dobę, nie czułem zmęczenia; organizowałem częste narady z pracownikami instytucji kultury, którzy przygotowywali wspomniane wydarzenia, wydawałem polecenia, dziwiąc się, że jednak to wszystko jakoś udaje się zorganizować w zupełnie nieznanymi miejscach na zasadzie błyskawicznej i pełnej improwizacji. Bardziej zresztą ufałem wtedy opiece Opatrzności i temu, że służę dobrej sprawie, niż swym umiejętnościom. Brałem udział w rozlicznych spotkaniach, przemawiałem, poznawałem osoby, zabytki miasta, także instytucje kultury z wieloma dziełami jeszcze z czasów I Rzeczypospolitej.

II

Któregoś dnia, mimo pilnych obowiązków, udało się wyruszyć na krótko do pobliskiego Krzemieńca w towarzystwie mego odpowiednika w urzędzie tarnopolskim. Wyjazd odbył się na moją prośbę, a musiał być przygotowany, bo wówczas na każdym skrzyżowaniu, rozstaju dróg, rogatkach miejscowości, stały posterunki milicji i dokładnie sprawdzano dokumenty. Przepytywano kto, dokąd i w jakim celu jedzie. Każdy samochód był drobiazgowo przeszukiwany. Swobodna podróż, nawet krótka, po terytorium ZSRR nie była możliwa. Było zupełnie odwrotnie niż w tej

zakłamaney pieśni z czasów sowieckich: „Szyroka strana moja rodna, /
Mnogo w niej polej, lesow i riek! / Ja drugoj takoj strany nie znaju, / Gdzie
tak wolno dyszyt czelowiek”.

Krzemieńcem znałem od czasów szkolnych z lektur książek w bibliotece domowej, także z wielu sesji naukowych o Juliuszu Słowackim, o romantykach, które ongiś organizował w Wyszogrodzie mój ojciec, regionalista i działacz kultury. Przede wszystkim z samych natchnionych dzieł wieszca. Kiedy się więc tam zjawiłem, ujrzałem zupełnie nieznaną mi przestrzeń, ale zarazem od dawna jakże mi bliską i drogą.

Spotkanie z miastem Słowackiego poruszyło we mnie wszystkie czułe struny. A zaczęliśmy je od wjazdu samochodem na Górę Królowej Bony, skąd rozpościera się przepiękny i rozległy widok na gród i okolice. Później swe wrażenia próbowałem ująć w jednym z wierszy, nosi tytuł *Przestrzeń*:

(..)

Jest taka chwila na cyplu urwistym
niczym różą przetarcie we śnie powiek
kiedy rozchyła się nagle przestrzeń złota
między wierchołkiem góry legend,
a zawieszeniem wież liceum w dole.

(..)

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastaliśmy na górze wówczas kilkuosobową grupę turystów z Polski, podobno jedną z pierwszych, która z trudem tam dotarła. Dołączyłem do niej i z rosnącym zainteresowaniem słuchałem finezyjnej opowieści o dziejach tych ziem, rozlicznych zabytkach, o samym Słowackim; opowieści mówionej piękną, śpiewną polszczyzną.

Mówiła – jak się później okazało – pani Irena Sandecka, poetka, nauczycielka, wychowawczyni wielu pokoleń polskich dzieci, nauczająca je historii, religii i języka polskiego na tajnych kompletach. Ciesząca się w środowisku miłością i autorytetem, inicjatorka i współzałożycielka Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego.

Kiedy się przedstawiłem, zostałem zaproszony do jej skromnego, drewnianego domu, w którym ongiś mieszkał – za czasów Tadeusza Czackiego – Willibald Besser, wybitny przyrodnik, profesor Gimnazjum Wołyńskiego, założyciel rozległego i unikalnego parku przyrodniczego w Krzemieńcu.

Dziś na fasadzie tego pochyłonego czasem budynku, dumającego pod zapadłym dachem nad swym losem, znajduje się tablica poświęcona temu badaczowi.

Z panią Ireną od pierwszych słów szczególnie się polubiliśmy. Przy herbacie i domowych ciasteczkach opowiadała mi o wyśnionych planach miejscowego środowiska, o pragnieniu jakże trudnym do zrealizowania, aby w zaniedbanym i zmurszałym już dworku należącym niegdyś do rodziny Słowackich, powstało muzeum wieszczą. Na moją prośbę powędrowaliśmy tam – a nie było daleko – abym mógł ten obiekt obejrzeć. Na szczęście cały dworek, ganek, układ pokoi zachowały się tak, jak za życia Słowackich, choć obiekt był w opłakanym stanie.

Wnętrza mieściły skromną miejską bibliotekę, ale mimo to wiedziałem, że jestem w miejscu dla kultury świętym. Chodziłem przez chwilę po pomieszczeniach w szczególnej zadumie i wzruszeniu. Wkrótce pod kolumnami ganku pożegnaliśmy się z panią Ireną, bo przyjechał po mnie mój ukraiński kolega, który ten czas wykorzystał na odwiedzenie znajomych. Nie wiedziałem, że w następnych latach będziemy prowadzili z panią Ireną w jej domu długie i serdeczne rozmowy, a sam Krzemieniec, a także jakże wielu jego mieszkańców, staną się mi bardzo bliscy. Że z tego pierwszego, olśnionego spojrzenia w dół z Góry Bony, z przygodnych rozmów rozwinie się cały ciąg zupełnie niezwykłych wydarzeń. I że kiedy będę mógł jej wydać piękny zbiór jej utworów *Wiersze spod Góry Bony*, które zaprezentuje znakomicie w Muzeum Juliusza Słowackiego w wieku 95 lat.

III

Następnego roku zacząłem – we współpracy z miejscowym środowiskiem – organizować w Krzemieńcu spotkania poetów, pisarzy polskich i ukraińskich, do których z czasem – po kilku latach – dołączyli naukowcy, muzealnicy, artyści z wielu najważniejszych ośrodków naukowych i kultury w obu krajach. Idea była wzniosła szlachetna, a zarazem czytelna. Z biegiem lat zaczęli także brać udział w tych spotkaniach rodacy z kilku innych krajów europejskich: Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii, Grecji.

Grono uczestników krzemienieckich spotkań powiększało się, a z czasem przybrały one nazwę najpełniej odzwierciedlającą przewodnią ideę: Dialog Dwoch Kultur. Samo bowiem już słowo „dialog” ma walor budujący, pozytywny. Każdy dialog – jeśli ma być autentyczny – opiera się na

trzech filarach: pełnym poszanowaniu partnera, woli budowania porozumienia oraz poczuciu odrębności, osobności. I właśnie te trzy warunki były przez organizatorów i uczestników tych wszystkich spotkań w pełni akceptowane. Są niespisanym kodeksem. Spotkania te odbywały się przez ponad dwie dekady w przyjaznej, pogodnej atmosferze, a sam Krzemieniec niezmiennie zachwycał co roku swym pięknem. Celem tego rozwijającego się wciąż dialogu było budowanie porozumienia i przyjaznych relacji między elitami kultury i nauki obu krajów, umożliwienie nawiązania kontaktów, pogłębianie wiedzy o wspólnych dziejach, wzajemnie ubogacanie się o nowe wiadomości z zakresu literatury, sztuki, historii, muzealnictwa. Utrwaleniu osiągnięć służył rocznik publikowany w języku polskim i ukraińskim, pod tą samą nazwą, co całe przedsięwzięcie. W ciągu ćwierćwiecza powstała bardzo cenna, cała biblioteka, kopalnia wiedzy, a periodyk był rozprowadzany i jest po obu stronach granicy. W 2024 roku ukazał się już numer XVII tego cennego naukowo i poznawczo wydawnictwa.

Do wybuchu wojny gromadziliśmy się w mieście Słowackiego przeważnie na tydzień, a czasem nawet na dłużej. Zawsze począwszy od 4 września, w kolejną rocznicę urodzin wieszczą, przeważnie przy słonecznej jeszcze aurze. Spotkania pisarzy i naukowców zostały jeszcze dodatkowo ubogacone przez organizowane najpierw w kraju od 1994 roku Warsztaty Kulturowo-Artystyczne połączone z plenerami malarskimi. Zostały one zainicjowane przez Urząd Wojewódzki w Przemyślu, a ich wieloletnim kuratorem była historyk sztuki Urszula Olbromska. Pierwsze edycje, do czasu przeniesienia ich do Krzemieńca, przebiegały w Bolestraszczykach, w przepięknym parku i dworze, w którym ongiś mieszkał i tworzył Piotr Michałowski, w Krasieczynie w zamku Sapiechów, perle renesansu i w Przemyślu, skarbnicy podkarpackich zabytków. Początkowo były one skierowane do młodych malarzy i kształcącej się w szkołach artystycznych młodzieży pochodzenia polskiego oraz ukraińskiej współpracującej ze środowiskami polskimi w Ukrainie.

W Krzemieńcu po raz pierwszy Warsztaty Kulturowo-Artystyczne odbyły się w 1999 roku. Tym właśnie, który został przez Sejm RP ogłoszony Rokiem Słowackiego. W okresie letnim pojawili się wówczas ze sztalugami na ulicach miasta, w zaułkach, na wzgórzach i w okolicach młodzi polscy artyści, mieszkający w Ukrainie. Tak jak przed wojną, gdy na Ogniskach Wakacyjnych organizowanych przez kapistów, między innymi Jana Cybisa, tworzyli artyści z całego kraju. Na naszych plenerach młodzi adepci sztuki malowali razem z miejscowi artystami ukraińskimi z grupy

„Gładuszczyk” i „Palitra”. Miejscowi, krzemienieccy wiekowo i doświadczeniem malarskim znacznie różnili się od naszych młodych malarzy; niektórzy z nich pracowali jako wykładowcy w miejscowej uczelni. Była to dla obu grup bardzo interesująca współpraca, cenna wymiana doświadczeń, pomysłów, refleksji.

Inicjatywa spotkań krzemienieckich była zrazu w zasadzie oddolna, spontaniczna, ale jej realizacja zyskała z czasem akceptację władz polskich, jak też i ukraińskich, zarówno lokalnych z Krzemieńca, Tarnopola, jak i z Kijowa. Zainicjowanie ich zbiegło się też z powstaniem planów odrestaurowania zabytkowego dworku w Krzemieńcu i utworzenia tam Muzeum Juliusza Słowackiego. Konferencje i wydarzenia artystyczne budowały w mieście i w województwie sprzyjającą porozumieniu w tej sprawie atmosferę dla trwających rządowych polsko-ukraińskich rozmów. Brałem udział w pracach zespołu powołanego przez premiera rządu RP prof. Jerzego Buzka. Ustalenia się przedłużały, były złożone, miały swoistą dramaturgię, ale zakończyły się jednak bardzo pomyślnie. Przełomowe porozumienie w sprawie powołania muzeum zostało podpisane przez ministrów kultury obu krajów: Kazimierza Michała Ujazdowskiego oraz Bohdana Stupkę właśnie w Krzemieńcu, w czasie trwania Dialogu Dwóch Kultur.

Drewniany obiekt, mocno już nadkruszony czasem i zaniedbany, został wyjątkowo pieczołowicie odrestaurowany na koszt rządu polskiego, od wapiennych fundamentów aż po gontowy dach. Pracami restauracyjnymi kierował wybitny znawca architektury drewnianej prof. Ryszard Brykowski, wiceprezes Wspólnoty Polskiej, rodem z Kołomyi, który czuwał nad pracami i głową, i sercem. Wystawy zaś we współpracy ze stroną ukraińską przygotowało Muzeum Literatury Adama Mickiewicza w Warszawie, kierowane wówczas przez dyrektora Janusza Odrowąż-Pieniążka, pisarza, a zarazem prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Scenariusze ekspozycji opracowała kustosz Joanna Pol z tegoż muzeum we współpracy z Tamarą Sienią, dzisiejszą dyrektorką Muzeum Juliusza Słowackiego, a wcześniej opiekunką niewielkiej ekspozycji o Słowackim w krzemienieckim Muzeum Regionalnym.

Wielkim orędownikiem po stronie ukraińskiej utworzenia tego muzeum i kontynuacji naszych spotkań był poeta, wybitny działacz niepodległościowy, współtwórca tekstu konstytucji wolnej Ukrainy, a także pierwszy ambasador tego państwa w Warszawie Dmytro Pawłyyczko. Późniejszy wielokrotny uczestnik Dialogu Dwóch Kultur zarówno w Krzemieńcu, jak też i w Stawisku, wówczas, gdy byłem tam dyrektorem. Jakże znakomite

były jego wystąpienia przed fasadą dworku Słowackich, często z licznymi cytatami z utworów autora *Kordiana* mówionymi z pamięci.

Trzeba wspomnieć, że Pawłyczko znał i przyjaźnił się w młodości z Jarosławem Iwaszkiewiczem, bywał jeszcze za życia autora *Brzeziny* w Stawisku, zorganizował autorowi *Książki moich wspomnień* podróż do jego rodzinnego Kalnika jeszcze w czasach ZSRR. Brał wówczas też udział w sesji naukowej poświęconej Słowackiemu, która odbyła w Krzemieńcu z udziałem Iwaszkiewicza oraz wielu naukowców i pisarzy ukraińskich i polskich. Już wtedy bowiem, w czasach sowieckich, myślano wśród intelektualistów o stworzeniu porozumienia polsko-ukraińskiego, między innymi właśnie w oparciu o postać i twórczość Słowackiego, w sposób zawołowany, poza plecami „wielkiego brata”. Iwaszkiewicz podczas wspomnianego pobytu posadził przed dworkiem Słowackich brzozy, które szumią tam dotychczas. Siadywałem później pod nimi na ławce, gdy trwał remont dworku, także gdy wnoszono zaraz po zakończeniu tych prac pierwsze meble na ekspozycje. Nie wiedziałem wtedy, że będę mógł w przyszłości, właśnie w Stawisku, gościć kilkakrotnie Pawłyczkę wraz z żoną, wędrować po rozległym parku, po dawnym domu Iwaszkiewicza, a dziś muzeum, zaglądać tam do bezcennego archiwum.

IV

W miarę upływu lat aura krzemieniecka inspirowała do podjęcia tematów związanych z tym miejscem także wielu poetów i pisarzy, którzy tam się pojawiali. Dla tych z Polski oznaczało to – w jakimś sensie – powrót do staropolskich tradycji, także do „ukraińskiej szkoły romantycznej” oraz dokonań poetów z okresu dwudziestolecia międzywojennego, a szczególnie skupionych w Grupie Poetyckiej Wołyń. Ci z Ukrainy nawiązywali głównie do tradycji ludowych tych ziem. Powstawały utwory, pisane często w sposób nowatorski, o różnej wartości artystycznej, niosące nowe treści, ale będące jednak kontynuacją wspomnianych dokonań.

Gromadziło się wiele refleksji, drobnych faktów, przeżyć skłaniających do chwycenia za pióro. Barwny, bogaty kalejdoskop. Spotkania, prace organizacyjne, udział w plenerach malarskich, wędrowki w okresie wakacyjnym z artystami, a także z rodziną po wzgórzach, jarach, zaułkach miasta, zainspirowały i mnie do tworzenia wierszy i utworów prozą, które później

ukazały się w moich książkach, takich jak *Lato w Krzemieńcu*. *Legendy znad Ikwy*, *Powroty do Krzemieńca* i wielu innych...

Zgłębiając często rewiry pamięci, wspominam uczestników tamtych wydarzeń: różnorodnych sesji naukowych, prezentacji literackich, koncertów, wernisaży wystaw, wyjazdów zabytkoznawczych. Wszystkich współtworzących ten niezwykły ruch intelektualny i artystyczny... A było ich przez te lata łącznie kilkuset. Wspaniała, krzemieniecka plejada. Wielu z nich, niestety, już nie żyje. Pozostały ich artykuły, owoce pracy i wiedzy, ich rozliczne, cenne i różnorodne dzieła. Jeśli chodzi o publiczność w wielu miastach to szacuje się, że wzięło w nich udział łącznie około dwudziestu tysięcy osób. Powstał ruch intelektualno-artystyczny i zapisał nową, trwałą i dobrą kartę w jakże złożonych w dziejach relacjach polsko-ukraińskich.

Mariusz Olbromski

Zbigniew Zbikowski

Mosty z deszczu

O Chińskim wierszu Adama Zagajewskiego i odpowiedzi Yang Ke

Początek opowieści

Na początku XXI wieku zaczęły krążyć w świecie literackim uparte pogłoski o możliwym Noblu dla Adama Zagajewskiego. Wiadomo: takie plotki, w których zwykle tkwi jakieś ziarenko prawdy, kiełkują i owocują w szerokim świecie wzrostem zainteresowania twórczością potencjalnego noblisty. W 2009 roku, kiedy nazwisko Zagajewskiego przewinęło się na kilku krótkich listach kandydatów do nagrody, zaciekawienie jego poezją dotarło nawet do Państwa Środka. Wkrótce też niektóre jego wiersze pojawiły się w Internecie w przekładzie na język chiński. Ta niespodziewana popularność zaskoczyła samego poetę, ponieważ – jak powiedział w jednym z amerykańskich wywiadów – nie zabiegał o nią wcale, choć przyznał, że nie była mu ona niemiła. Jej owocem w Chinach okazał się sam „Nobel”. Nie szwedzki wprawdzie, a dalekowschodni, czyli Nagroda Zhongkun, nazywana popularnie „chińskim Noblem poetyckim”, przyznawanym w Pekinie co dwa lata dwóm pisarzom: rodzimemu i zagranicznemu. W 2013 roku wyróżnienie to trafiło właśnie do Zagajewskiego.

Poeta na gali wręczenia się nie zjawił, tłumacząc swoją nieobecność nawałem zajęć akademickich – zastąpił go pracownik polskiej ambasady. Jednak już rok później, gdy w ślad za pierwszą otrzymał kolejną chińską nagrodę, tym razem od pisarzy z Kantonu, w końcu się tam wybrał.

W czasie, gdy wręczano mu wyróżnienie, w mieście lał deszcz. Rzecz ta, niby zwyczajna, okazała się okolicznością wielce symboliczną. Oto bowiem organizatorzy, chcąc uświetnić obecność gościa z Polski, poprosili kantońskiego poetę Yanga Ke, by ten odczytał w swoim własnym języku niecodzienny utwór, mianowicie *Chiński wiersz* Zagajewskiego z 1989 roku, w którym jest mowa właśnie o deszczu.

Po lekturze Yang Ke zmuszony był przyznać – co potwierdził w 2025 roku w warszawskim Domu Literatury na spotkaniu zorganizowanym przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – że towarzyszyło mu wtedy

poczucie zakłopotania, a to z powodu zagubienia, wywołanego pewną hermeneutyczną trudnością, z którą się zderzył. Przyznał się do tego, publikując jakiś czas potem wiersz *Spotkanie wciąż jest chińskie*, będący odpowiedzią na tekst Zagajewskiego i próbą przerzucenia literackiego mostu ponad rzeką kulturowych różnic.

Dwa brzegi

Wiersz Adama Zagajewskiego na polskim, czy też szerzej: europejskim czytelniku, sprawia wrażenie niezwykle prostego. Poeta przywołuje w nim chiński utwór sprzed tysiąca lat, w którym niewymieniony z imienia autor opisuje nocny deszcz padający na bambusowy dach jego łodzi i spokój, który wreszcie „zagościł w jego sercu”.

Europejskiemu odbiorcy nie jest potrzebna znajomość historii chińskich dynastii Tang, Song czy Ming, by odczytać sens tego obrazu. Wystarczy mu doświadczenie jesiennej pogody, pamięć ciszy po ulewie, towarzyszące jej poczucie kruchości i oczyszczenia. Nawet jeśli deszcz potraktować poetycko, jako figurę medytacji, rezygnacji i pogodzenia z przemijaniem, wszystko wydaje się jasne i oczywiste, zamknięte w jednym utworze, bez zagłębiania się w szeroki kontekst literacko-historyczny.

W Chinach sprawy mają się zupełnie inaczej. W przypadku tamtejszego czytelnika deszcz, łódź czy lampka oliwna natychmiast, nieodwołalnie, przywołują owe konteksty literackie, nazwiska poetów, tradycję liryki Song sprzed tysiąca lat i inne źródła. Dlatego Yang Ke, czytając Zagajewskiego, nie mógł przejść nad tym doświadczeniem do porządku dziennego: od razu poczuł ciężar tradycji i konieczność rozmowy z dawnymi mistrzami.

Deszcz jako kod kulturowy

Trzeba to jeszcze raz wyraźnie powiedzieć – w formie uogólnienia. W europejskiej tradycji literackiej deszcz to zazwyczaj znak oczyszczenia, melancholii, smutku albo przejścia. Jednakże – nawet użyty w wierszu jako uniwersalny symbol – za każdym razem staje się osobistym znakiem autora. Europejski czytelnik w takich sytuacjach pozostaje zazwyczaj na powierzchni obrazu, nie zanurza się też w czasie. Dla niego deszcz jest po prostu deszczem, nawet jeśli przypisuje mu działanie magiczne.

W kulturze chińskiej, gdzie znaczenia symboli ukształtowała wielowiekowa tradycja poetycka, padający deszcz to niemal zawsze echo dawnych pieśni, wspomnienie poetów Su Shi, Xin Qiji czy Jiang Kui. Deszcz na dachu łodzi czy na dachówkach miasta z dynastii Song nie jest nigdy czystym obrazem natury, lecz częścią literackiej genealogii.

Z tego powodu w poetyckiej odpowiedzi Yanga Ke na wiersz Zagajewskiego pojawiają się nazwiska dawnych mistrzów i przedmioty-symbole: porcelana z dynastii Ming, lampka oliwna, rytm deszczu na dachówkach. To nie kapryśna erudycja, lecz naturalny dla Chińczyka sposób tworzenia wiersza, a także jego lektury: poprzez wejście w rozmowę z przeszłością.

Ujawniona tu asymetria jest oczywista: Zagajewski mógł czytać chiński wiersz bez dodatkowej wiedzy, bezpośrednio odbierając obraz, jaki budował poeta z X wieku, Yang Ke musiał „szukać drogi” przez odmęty obcej wrażliwości. Sam to przyznał, pisząc:

Nie mogłem znaleźć drogi do Zagajewskiego

Ten wers z jego wiersza, choć brzmi jak zapis dosłownego zagubienia, w istocie jest opisem owej hermeneutycznej trudności towarzyszącej poznawaniu obcej tradycji literackiej. Chiński poeta nie zgubił się bowiem w Krakowie, lecz w świecie metafor Zachodu:

Jak sternik łodzi podwodnej rozcinałem powódź
rybą w głębinach czasu.

To metafora samej lektury wiersza Zagajewskiego: zanurzenia w odmiennej tradycji i prób przedarcia się przez atakujące go fale sensów. Dla niego bowiem deszcz nie jest nigdy prostym doświadczeniem, ale gęstą tkanką znaczeń.

Europejczycy wobec poezji chińskiej

Trudność, jakiej doznał Yang Ke, jest obustronna. Także Europejczyk, sięgając po klasyczną poezję chińską, oczywistą i zrozumiałą dla wykształconego Chińczyka, łatwo się gubi. Tysiącletnie wiersze Su Shi czy Li Baia wymagają bowiem od czytelnika znajomości chińskiej topografii, historii, kaligrafii, ale też symboliki. Bez tej wiedzy malowane słowem obrazy stają się enigmatyczne, fragmentaryczne, hermetyczne, słowem – niezrozumiałe.

Zwłaszcza w języku, w którym – szczególnie w poezji – niczego nie mówi się wprost, lecz poprzez symbole i metafory, równie bogate jak zbiór znaków chińskiego pisma.

Nic dziwnego, że pierwsze wielkie przekłady chińskich poetów na języki europejskie były raczej pracami filologicznymi niż utworami poetyckimi. Przykładem tego nurtu niech będzie brytyjski sinolog Arthur Waley, **który** na początku XX stulecia starał się tłumaczyć wiernie, zachowując rytm i obrazowanie, przez co jego wersje klasycznej poezji chińskiej były dla przeciętnego Europejczyka właściwie nieprzeniknione. Zupełnie inną drogą poszedł jego rówieśnik Ezra Pound, który w tomie *Cathay* (1915) zawarł własne odpowiedniki dawnych chińskich wierszy, pisane na modernistyczną modłę – wprawdzie piękne, lecz dalekie od oryginału. Jedne przekłady były więc hermetyczne, inne – „zeuropeizowane”. Spór o to, czy lepiej tłumaczyć chińską poezję wiernie, czy twórczo, trwa do dziś.

Mosty i ich architekci

Dzisiejsza praktyka przekładu pokazuje, że najlepsze efekty – jeśli mówimy o przekładach z chińskiego – dać może wspólna praca filologa-sinologa i poety, nawet niekoniecznie komunikującego się po chińsku (ciekawostka: Ezra Pound, pisząc *Cathay*, języka chińskiego nie znał). W takim duecie pierwszy dostarcza wiedzy i kontekstu, drugi – rytmu, muzyki, oddechu, życia. Tylko tak można uniknąć jednej z dwóch pułapek: przekładu słowo w słowo wymagającego rozbudowanego komentarza objaśniającego oraz – z drugiej strony – parafrazy: literacko atrakcyjnej, lecz fałszującej.

Tłumacz literatury chińskiej, któremu udaje się ominąć obydwie te pułapki, staje się budowniczym mostu, po którym odbywa się przenoszenie obrazów nad rzeką różnic kulturowych. Dzięki jego działaniu deszcz u Su Shi sprzed tysiąca lat i deszcz u Zagajewskiego mogą spotkać się i wybrzmieć wspólnie, stając się figurą uniwersalną. U obu poetów prowadzi on do ciszy, skupienia, refleksji nad czasem.

Yang Ke kończy wiersz – na swój chiński sposób, czyli posługując się symboliką – słowami:

Kotłujące się chmury dalej są internacjonalne,
spotkania zaś – chińskie.

Jakże to piękne rozpoznanie opisanego paradoksu: natura jest wspólna, ale doświadczenie kulturowe odmienne. Chmury, grzmoty, ulewa nie należą do żadnego narodu, czy też idiomu poetyckiego, lecz sposób ich opisu już tak. Wiersz Zagajewskiego dla nas jest przejrzysty, dla Chińczyków zaś pełen tajemnic. Wiersz Yanga Ke wydaje się nam „porwany”, trudny do śledzenia, dla chińskiego czytelnika jest naturalnym dialogiem z tradycją. To najlepszy dowód, jak bardzo potrzebne są owe mosty literackie: przekłady, eseje, komentarze uczące słuchać dźwięków cudzej poezji i cudzej wrażliwości.

Deszcz okazuje się tu trafną metaforą: pada ponad granicami, lecz żeby usłyszeć, jak bębni w obcym języku i poczuć tę inność na sobie, potrzebny jest ktoś, kto przełoży jego rytm i melodię na znaki słyszalne w jego własnym kręgu.

Adam Zagajewski

Chiński wiersz

Czytałem chiński wiersz
 napisany przed tysiącem lat.
 Autor opowiada o deszczu
 padającym przez całą noc
 na bambusowy dach łodzi
 i o spokoju, który nareszcie
 zagościł w jego sercu.
 Czy to zbieg okoliczności,
 że znowu jest listopad i mgła
 i ołowiany zmierzch?
 Czy to przypadek,
 że znowu ktoś żyje?
 Poeci przywiązują wielką wagę
 do sukcesów i nagród,
 ale jesień po jesieni
 odziera z liści dumne drzewa
 i jeśli coś zostaje
 to delikatny szmer deszczu
 w wierszach, które nie są

ani radosne, ani smutne.
Tylko czystość jest niewidoczna
i wieczór, kiedy cień i światło
zapominają o nas na moment
zajęte tasowaniem tajemnic.

Yang Ke

Spotkanie wciąż jest chińskie

Dla uświetnienia chwili,
gdy czytam na scenie Chiński wiersz Zagajewskiego,
niebo zsyła ulewę i burzę.
Choć czas dalej biegnie po chińsku,
błyskawice stają się międzynarodalne.
Reflektory bijące w oczy sprawiają,
że widzę go jak rzeźbę z drewna suar,
w mrocznoczerwonym płomieniu historii.

Czy to przypadek?
Słyszę krople deszczu
dzwoniące o dachówki z czasów Song
i porcelanę Ming,
wydającą jasny pogłos.
A zaraz potem oczami Polaka
widzę poetę płynącego rzeką.
Nocny deszcz tańczy na zadaszeniu łodzi,
jego szept ginie w wodnej toni,
jak biały ptak niknący nad falami.
Świat nie znał pokoju –
cisza żyła tylko w sercu poety,
oświetlana lampą z białej porcelany.
Czy to Xin Qiji, czy Su Shi?
Może Liu Yong, Yan Shu, Jiang Kui?
Wtedy, w ulewie,
gdy niosły mnie fale,
nie mogłem znaleźć drogi do Zagajewskiego.

Jak sternik łodzi podwodnej
rozcinałem powódź,
rybą w głębinach czasu.
Od Krakowa po Kanton
poeci spotykają się w jednej przestrzeni.
Światła rozpryskują się, lata mijają,
tysiącletni deszcz się nie starzeje.
Kotłujące się chmury dalej są internacjonalne,
spotkania zaś – chińskie.
Choć grzmoty rozbrzmiewają,
nikt nie śmie zbudzić głosu,
co płynie nad horyzontem
jak ulewa dudniąca w dachy.

przekład: Zbigniew Zbikowski

Paweł Bitka Zapendowski

Ze spektaklem o Andrzeju Wajdzie w Paryżu¹

Po Krakowie, Suwałkach, Kłaju (ktoś wie, gdzie jest Szarów, podkrakowska wieś, z której pochodził ojciec reżysera, kpt. Jakub Wajda?) i kilku innych scenach, przyszła kolej na Paryż ze spektaklem *Miałem Wielkie Szczęście*. Andrzej Wajda niewątpliwie miał szczęście, gdy z końcem lat 70. zaprosił go do teatru w Nanterre pod Paryżem aktorzy Wojciech Pszoniak i Daniel Olbrychski, zauważeni w *Ziemi Obiecanej* i zaangażowani do sztuki Petera Handke. Zobaczył wtedy Gerarda Depardieu, przyszłego odtwórcę roli Dantona w przygotowywanym przez siebie filmie, kręconym w koprodukcji z Francuzami. Depardieu nie tylko zagrał, ale stał się Dantonem na ekranie i była to dla reżysera okazja niebywała. Żeby wejść w klimat rewolucji, Depardieu pojechał do Warszawy i przesiedział cały dzień w regionie „Solidarności”. Produkcję *Dantona* przerwał stan wojenny i ostatecznie odmienił jego losy. Kręcenie przeniesiono do Paryża, wszak w Warszawie zgromadzenie złożone z trzech osób było już nielegalne.

Wajda reżyserując w 1982 roku *Dantona* we Francji czuł za sobą groźną sytuację w kraju, ogarniętym reżimem wojskowej dyktatury. Czarne szkła generała Jaruzelskiego odbijały się w zielonkawych okularkach Robespierre’a, które dyktator podczas wystąpień w konwencie zdejmował, aby zatopić wzrok w kolejnej ofierze. Zwolennicy Dantona zamykani w więzieniu Conciergerie bez trudu mogli być kojarzeni z internowanymi w Polsce. Szał rewolucyjnej dyktatury został przedstawiony tak sugestywnie, że po premierze filmu prezydent Mitterrand miał powiedzieć, że „są to problemy pana Wajdy”.

Polska publiczność, jaka przybyła do Arcueil na nasz spektakl (pomimo strajków komunikacji miejskiej), świetnie pamiętała tamtą wojenną atmosferę. Problematyka *Dantona* zabrzmiała współcześnie. Jak Robespierre gilotynował w imię „cnoty” ledwie podejrzanych o kontrrewolucję, tak obecnie bywa łamane prawo w imię praworządności i „demokracji”. Mając w pamięci *Wieczernik* Brylla, wystawiony w połowie lat 80. przez Wajdę w kościele

¹ *Miałem Wielkie Szczęście* – występuje Wojciech Gałziński. Scenariusz i reżyseria Paweł Bitka Zapendowski. Zdjęcia filmowe Salvatore Allotta (Italy). Scena w Espace du Dialogue, Arcueil – Paryż, 20 września 2025.

na Żytniej, prawie że w warunkach konspiracyjnych, postanowiłem zacząć spektakl właśnie tamtym epizodem z czasów oporu. Zaprosiłem Tadeusza Różyckiego, charyzmatyczną postać z paryskiej Polonii, znanego z wielokrotnych występów w roli Chrystusa w plenerowych przedstawieniach pasyjnych, do wygłoszenia mowy obrończej Dantona z dramatu Stanisławy Przybyszewskiej i był to dla mnie Danton, jakiego bym w Polsce nie znalazł. Wojciech Gałziński po raz piętnasty wcielił się w postać Wajdy i rolę opowiadacza o mistrzu, elektryzując widownię, jak tylko on to potrafi robić.

W dobie zamętu i kontrowersji wokół kultury polskiej, co można, a czego nie można pokazać, bardzo ważne wydało nam się właśnie w Paryżu powiedzieć o *Panu Tadeuszu*, gdzie Mickiewicz epopeję napisał, a Wajda Paryżem zaczął swój film, będący bardzo udaną ekranizacją narodowego arcydzieła. *Pan Tadeusz* dzisiaj w polskim teatrze traumatyzowany i przerabiany na masakryczną wersję dla młodzieży, w Paryżu zainteresował widownię przenikliwością obrazu i powabem poetyckiej gawędy.

(Fragment scenariusza „Miałem Wielkie Szczęście”)

Jaki jest powód żeby dziś mówić o *Panu Tadeuszu*? Andrzej Wajda przystępując do kręcenia filmu, albo jeszcze wcześniej, w fazie projektów, zadawał sobie i innym pytanie, jaki jest powód aby opowiedzieć jakąś historię na ekranie lub na scenie? Czy jest ona dla nas dziś wystarczająco ważna, co oznacza? Jaki ma związek z naszą współczesnością. Jeśli ma, to taki film warto nakręcić. Jeśli nie, lepiej szukać innego tematu.

Wajda szukał dla siebie bohatera naszych czasów. Czy poemat Mickiewicza napisany dwieście lat temu powie nam coś ciekawego, czy dotknie naszej współczesności?

Powiedzmy sobie, że pan Tadeusz – Tadeusz Soplica – jako postać literacka i ekranowa, jako bohater – nie bardzo nadaje się na bohatera. Jest przeciętny. Jako typ – raczej mdły. Jego sądy i opinie są przeciętne. O dokonaniach wiemy mało. Miał romans z Telimeną – panią około czterdziestu lat, sprawa raczej nie wymagająca większej bohaterskości. Zakochał się w nastoletniej Zosi, ale też jego ojciec, Jacek Soplica, go do tego związku nakłaniał. Stał w obronie kobiet, Telimeny i Zosi, gdy pijany rosyjski major (gra go Krzysztof Globisz) zalecał się do nich grubiańsko. Wstąpił jako prosty żołnierz do armii Napoleona i ruszył z nim na Imperium Rosyjskie, rzecz to była również powszechna.

Pan Tadeusz tak naprawdę nie jest bohaterem tego filmu. Bohater jest zbiorowy. Jest to portret Polek i Polaków. I wydaje się, że dla Wajdy ten portret był arcyinteresujący. Co ci Polacy ze sobą robią? Oni kłócą się. Dwa zwaśnione rody kłócą się o zamek w ruinie. Prócz zamku jest też ziemia i las, i chłop pańszczyźniany do roboty. Było więc tego więcej niż tylko zamek. Ale z kłótni tej nic nie wynika. Kłócić się mogą w nieskończoność. Gdy pojawia się wróg, Moskal, nagle godzą się i stają solidarnie przy sobie, co prawda z dawną urazą, ale zajęci już czymś innym, ważniejszym. Walką z wrogiem. Wtedy, w 1812 roku, chodziło o odzyskanie wolnej ojczyzny. Czy się to im udało? Wtedy absolutnie nie. Potem tak, lecz niecałkowicie.

Co więcej jest pokazane na tym portrecie? Zdrada, korupcja, prywata, sprzedajność, procesowanie się, pieniactwo i warcholstwo. Ale oprócz tego co negatywne, są też pozytywne, które Wajda z pasją i zamilowaniem potrafił utrwalić. Dworek polski na Litwie. Wychowanie Zosi, w skromności, szacunku do starszych i miłości bliźnich. Patriotyzm szlachecki, każący stać w obronie ojczyzny i oddać życie w razie potrzeby. Obyczaje. Grzybobranie zostało pięknie pokazane, jak jakiś bajkowy balet. Polowanie jako ostre współzawodnictwo, ale również chęć przyjścia potrzebującemu z pomocą. Hrabiego (z Horeszków) broni przed niedźwiedziem celnym strzałem skonfliktowany z Horeszkami Jacek Soplica – w bernardyńskim przebraniu. Domowe sprawy – jak przygotowanie kawy przez kawiarkę (w tej roli Krystyna Zachwatowicz).

Dom Sędziego Sopolicy przyjmuje generała Dąbrowskiego, gdy ten idzie z czterdziestoma tysiącami polskich żołnierzy z armii napoleońskiej na carską Rosję. U Żyda Jankiela w karczmie – nota bene agenta carskiego – toczą się polityczne dysputy okolicznej szlachty. A sam Jankiel zagra na cymbałach na zaręczynach Zosi i Tadeusza.

Na końcu w księdze zatytułowanej *Kochajmy się* wszyscy zatańczą przed domem poloneza. Choć okaże się, że jest to polonez w przeddzień klęski Napoleona i pokładanych w nim nadziei. Za rok armia napoleońska zdziesiątkowana i pokonana będzie wracać z Rosji. Polski żołnierz poniesie klęskę i wielu Polaków opuści kraj, i wybierze emigrację z uczuciem goryczy. Skończy się Księstwo Warszawskie, namiastka Polski, i runą resztki polskiej państwowości. Po Kongresie Wiedeńskim królem polskim zostanie car imperator Aleksander I.

Wszystko to było wystarczającym powodem, aby Wajda taki film nakręcił.

Paweł Bitka Zapendowski

Janusz Andrzejczak

Zawsze inaczej

Ile można czekać
na wylęknione sarny?
piesek przy budzie
jak łąkowa ziemia czarny
przykrył się zielonym cieniem
i sobie drzemie

Za polem las
łąka, znów las
dwie chaty
za nimi ogródek
krzyż zapomniany
przy nim
dwie sosny rude

Kogut nie pieje
kura nie gdacze
cisza
las łąka pole
dalej to samo
to samo
ale zawsze
ale zawsze
zawsze inaczej

Bezwierszem

Duchu Święty
pomóż mi z tym wierszem
by nie wpadł
w zastawione matnie
by był o czymś

by pięknie się skończył
by wszystkie w nim litery
były pierwsze
i by nie było
nie było tej ostatniej

O czym będzie nie wiem
nie wiem co go poniesie
pewno jak zawsze
będę w drodze do lasu
albo już będę w lesie

Pomóż mi
Duchu Święty
oświeć mi drogę
by mi nie było czarno
nie, żebym wiersze pisał
lecz bym z Nieogarnionego
pierwszą literę ogarnął

Ma bliżej

Rozlana świetlistość nawłoci
aż oślepia
końcówką lata się złoci
zanim w sepiach

Póki co, jeszcze w trawie
polne koniki
skaczą przez płotki

A tu, nadlatują żurawie
i lądują na łąkach
od miodu słodkich

Nie sieją, nie orzą

nieziemsko klangorzą

Patrzę w leśny horyzont
niebiesko-mgławą
trąca mnie psinka noskiem
do zabawy

Patrzy mi w oczy
po rękach liże
chce mnie nauczyć lasu
bo ma do niego bliżej

Od bambinisty

Przechowaj kotki, pieski
zwierzątka dalekie
i te człowiekowi bliskie
na łąkach przechowaj niebieskich
przechowaj je wszystkie

Przechowaj ich święty Franciszku
nasze siostry mniejsze
i naszych mniejszych braci
by ten, który tyle zmarnował
jeszcze i ich nie stracił

Janusz Andrzejczak

Maja [Maya] Baczyńska

Wiersze Październikowe, czyli cykl online,
dający początek innym wszystkim cyklom (2025)

1.

for Billy

zapominam jak to jest
szeroki dywan, dziecko
bawi się w prerię;
ujadanie kojota w głowie
dokąd uciekło, nie wiem
wiem tylko, że kiedyś
ja byłam tym dzieckiem
ty byłaś tym dzieckiem
ona była kojotem
on był kojotem
ujadałam
nie przestaję
kurz jak piasek
nie opadnie
nie tym razem
w kącie sierść
– zjeżona,
do jutra nie ucieknę
albo nie dalej niż w szparę
a ty gdzie jesteś?
zapoluj na młode
schowaj kły.

2.

for the sand witness

kochanie, z ziemi wychodzą chrabąszcze,
czepliwe słówka, śliskie prawdy, życie w pancerzu;

wszystko uzbrojone w czułe czułka i zbierające
brud prawieku...
liczę do trzech nówek, czwartą wyrwę
– myśli, które kuleją, nie stanowią zagrożenia,
a toczyć spory to mogą sobie żuczki gnojzarze.

3.

for wanderers

chcecie mówić
odmawiać byle jak
z przypadku
o czym do kogo
dlaczego na raz
po co dwa razy
trzy zdrowaś
czwórka w Korei
pechowa
spuchła kostka
nie ma windy
piętro pięte
a omiń czwarte
na szóstym dobranoc
siódme wspaniałe
ósme bez końca
dziewiąte życie
i jeden z dziesięciu
dojdzie aż tam
do baj baju
gdzie wszystko
bardzo „dobajskie”.

4.

for everybody and nobody

to się nazywa „hajs”

(profesjonalnie)
i całują cię w rękę
i na rękach noszą
i stają na głowie
i robią pod siebie
i na wiecach skandują
„Godność” przez wielkie
większe i największe G
plus nieskończoność.

5.

for publishers

powiedział – interesuje nas
pedagogika i tylko pedagogika
nie przez sztukę, nie przez nic
to ma być pełnia pedagogiki
w pedagogice, a nie:
cesarskie cięcie wyznaczone
w terminie rady pedagogicznej;
byleby wszystko, co wokół
tabeli w tabelce w tabelce
łatwo było oznaczyć
kategorią: „zero waste”
(niech żyją zieloni
– ci naprawdę).

6.

for Gaza

być na gazie
wpuścić gaz
wcisnąć gaz
zagazować
prosić z gazem
kupić gazę

remedium czy chory
byle z małej
nikt nie zna
pochodzenia krwi
tamują wszyscy
póki żyw
nikt pielęgniarzką
położnych brak
wszyscy Lekarzem
– zamknął powieki
i leży na wznak.

7.

for Ukraine

wiesz, że (nie) zginęła?
wiedziałaś, gdy pisałeś wiersz;
a czy wiesz za kogo jeść chleb?
za tych, których ciał nie musisz nieść.

Maja [Maya] Baczyńska

Jerzy Binkowski

Akord milczenia

myśl moja żyje
choć krótkie jest życie myśli
żyję w tej myśli
choć krótkie jest moje życie

myślę
choć myśli migocą i gasną
jeszcze westchnę
i zamienię oddech w światło

bo jestem iskrą
między milczeniem a błyskiem

niech czas się nie skrada
niech dźwięczy na pobudkę
na orzeźwienie
na wiarę że jest tam

gdzie milczenie jest IMIENIEM
a ŚWIATŁO – akordem modlitwy

Antenaci

czym uzmysławiam was
pojemnością tlenową płuc
kształtem i barwą paznokci
zgrzytem kości w kolanach

jesteście barwą mego głosu
struną utkaną z pól bitewnych
formą liter stawianych na kartce
drgnieniem tęsknot najgłębszych

jestem z was
cień jedynym świadkiem
i oddech świętych męczenników
z miejscem w ołtarzach i kalendarzach

Bój się Boga

Nie wchodź w ten gąszcz
w krzaki jałowca
i głogu

Nie szukaj pocieszenia w cieniu olch
nie dają ukojenia
jeziora

Ściółka leśna skrywa rany
i nasączona jest krwią
czerwoną

Puszcza dzisiaj jest zielona i syta
jak nakarmiony kocur
mruczy

Czy chcesz spędzić w niej
choć jedną noc
lipcową

Augustów, lipiec 2025

Stwardnienie

Grzegorzowi

Rozsiane w Tobie stwardnienie
wrosło w Ciebie korzeniami
jak dąb
wielokształty gałęzi
zamieniłeś w dwa koła

i popychasz życie
o każdą godzinę
o każdą minutę
oddech za oddechem
jak kamień
co nie chce się toczyć
pod górę
która nigdy
się nie kończy

Jerzy Binkowski

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Odwaga naga

Jest w nas odwaga
naga,
z gołymi pięściami
na to,
w co my mamy wgląd,
tylko gołym okiem,
w głąb,
no, no,
dobro lub zło
przeziera
pod maską
gładkich słów
i czystych rąk.
Nagle co legło nagie
przed nami
wygląda nieźle,
lecz lepiej by
w gieźle
było
jej, znaczy odwadze,
i jemu
śmiałemu,
któremu zdarto
nie tylko zbroję, lecz i ostatni strzęp
stoi zatem bezbronny
od ciemienia do pięt.
A jej za nic nie wyrwać się z pęt.

Marnie

Jaki czas
nie marny?

Jaki
nie morowy?

Każdy
marnie je
i
marnieje,
siebie sam zżera,
z ochotą pożera nas,
ale, cholera,
tak jakoś marnie
zżera,
bez smaku,
marnie więc giniemy,
bez znaku,
bez blasku tak
jakoś
gnije w nas
czas.

Pizzeria DV

W mieście M,
M – jak mrok,
zaświecił napis Dolce Vita.

Dolce Vita trwa!
Między rzekami,
między mlekiem a miodem,
między wodą a winem,
między płatkami a cierniem,
między tu a tam,
między było a będzie.
Różnica tkwi w krótkiej linii
kreski i kryski.
Pomiędzy oliwą a octem.
Między pachnidłem a balsamem,

Między prześcieradłem a całunem.
Między rzeką a rzeczą.
Miedzą a groblą.
Między eS – jak sława
a eŚ jak śmierć,
między MM a NN.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jolanta Cywińska

Requiem dla Kubusia Puchatka

Krzyś porzucił swoich kompanów
i odszedł w dorosłe życie.
Już Puchatek nie olśni go
swoim małym rozumkiem.
Po co mu taki głupiutki miś.
Kłapouchy zamilknie
i wreszcie przestanie narzekać.
Stanie się pluszowym wrakiem,
niemo żądającym podziwu.
Prosiaczek przybrudzony,
odnajdzie swoją wieczność
w jakimś kącie albo w piwnicy.
Niepotrzebni przyjaciele z dzieciństwa.
Dorośli są za poważni,
żeby do nich wracać.
Któregoś ranka Krzyś obudził się ze strasznym kacem.
Wczoraj po raz pierwszy się upił.
Krzyś wydorósł, spowaźniał,
usiadł wysoko na drabinie społecznej
i stamtąd dokazuje.
Mówi o świecie,
jaki powinien być
i czego mu jeszcze brakuje.
Zupełnie jakby połknął Sowę Przemądrzałą,
albo nawet samego Królika.
Teraz to on ma pełno krewnych
i znajomych.
Zajmuje przecież poważne stanowisko,
a oni za nim podążają i stale
czegoś żądają,
albo patrzą wzrokiem wiernego kundla
z prośbą o zmiłowanie.
Jakże piękny był świat jego pluszaków,
Zawsze pogodnych, oddanych Bezwarunkowo.

I bez końca krążących
w wiecznej modlitwie zabawy.
Krzyś zagłębił się w fotelu.
Jego myśli rozbiegły się po zakamarkach przeszłości.
Widzi małego chłopca i jego kompanów...
Po tym, gdy życie
zaniósło go w dorosłość,
nigdy już takich nie spotkał.
Mijające lata ciągną go dalej i dalej,
aż do miejsca wiecznego spoczynku.
A tamci zatrzymali się w połowie drogi,
ciągle mali, beztroscy,
oddani swoim Bardzo Ważnym Sprawom.
Czy życie nie mogłoby wrócić do Stumilowego Lasu,
choć na jeden dzień w miesiącu?
Krzysia męczy czkawka po
STUMIŁOWEJ WHISKY,
którą gasił pragnienie powrotu do dawnych kamratów.
Ale wie, że to niemożliwe,
że oni już dawno spoczęli na śmietniku.
Taka jest kolej rzeczy ożywionych tylko wyobraźnią.

Ewa Eysymontt

Zsuwam się ze zbocza modlitwy...

Zsuwam się ze zbocza modlitwy
jakoś bezwładnie

W zielony na dole krąg umyka
szary szelest kamyków

Tryskają suche gałązki
kiedy całym ciałem
napieram na graficzną strukturę
ukosu.
W bezwładzie.

Jakbym w saniach modlitwy
niesiona
transportowała sama siebie
nieświadomie
w granice bezpieczeństwa,
uspokojonych na dole
ostrości,
wygładzonych, już nieistotnych, turni.

Gdzieś w połowie zbocza
jest szczelina

Może to Bóg,
o którego choćby na krótko
zdołam zahaczyć palce

* * *

Świat wszechświaty
na nitce modlitwy

Otoczone
składanymi dłońmi

Pod kolanami
nieskończone przepaście

W opadnięciu zmęczonej głowy
ostatni może rozbłysk gwiazdy

W znieruchomieniu palców
na ziarnie różańca
groza nicości
nadzieja

Sylwia Gibaszek

Mój przyjaciel ma depresję

racjonalny odważny łowca jeleni
doktor Jones laureat naukowych nagród
mistrz jazdy bez trzymanki bez ogródek
ten co pierdoli wszelkie konwenanse
zawsze rozbija bank

mój przyjaciel ma depresję
kolekcję analogowych aparatów
fotoplastikon twórczej pracy
prześwietlony
fotogeniczny przy każdej lustracji
waleczny Ryszard lwie serce
co radzi jak Adam Słodowy

nigdy mi nie sładził
mała weź się w garść
to co nas nie zabije
wypluj światu prosto w twarz

nie rycz mała nie rycz
ja znam te numery
to tylko ponury żart
że mój przyjaciel ma depresję

jego łzy lecą mi na kimono
przywiezione z Jerozolimy
jeszcze przed wojną

mój przyjaciel ma depresję
człowiek ciężki od właściwości
szczodry koleś
opuchnięty do bólu od szczerości
harleyowiec

prezenter płyt w popularnej radiostacji
winyłowej kultury tygła heglistów
radioaktywnej literatury różnej maści
wielbiciel Erika Satie mocnej kawy

ten co duszkiem pił dymną whiskey
o smaku kolejowych podkładów
ma depresję rzecz jasna wisielczy nastrój
jak latarnik w czasie blackoutu
To dopiero sztos kiedy tak
kręci się świat łamiąc własną oś
zataczają się jak pijany chłop
bieguny ziemi

puszczają wszelkie zawory tamy zasady
trele morale w mikserze ludu globalny
i tak dalej truje się nas
jak szprotki sardele inne ryby w oceanie
robią się kwasy zajady padają systemy wtedy

mój przyjaciel ma depresję
twój przyjaciel ma depresję
on ono oni one też mają depresję
albo będą ją mieć jak w banku

Sylwia Gibaszek

Eugeniusz Kasjanowicz

* * *

*Beacie Pugawko
Prezes Zarządu Fundacji
„Literatom Po Prostu”*

Nie jestem z żelaza
nie jestem z kamienia
nagle coś mnie uszczypnęło
cały świat mi się zmienia
każdy dzień i godzina
stają się bliskie i drogie
myśli kołaczą się ciągle
i pytam o drogę
a tu niespodziewanie
jakiś człowiek podchodzi
mówi – razem popłynemy
i zaprasza do łodzi
od tej pory płyniemy
choć wichura mnie szczypie
bo jest mroźna i ostra
a tą łodzią jest serce
a tym sercem jest
siostra...
nagle przyszła
wyczekiwana wiosna

Z cyklu: Grecja

Velika

Idę ścieżką ku morzu
owoce kiwi patrzą na mnie
niczym wielkie mądre oczy

grzechot cykad łaskocze ciepłem
Plaża Morza Egejskiego
kamienie porozrzucane jak dni
różnobarwne małe i duże
ostre i gładkie
Na czyich śladach rosną moje stopy
kto patrzył przed wiekami
z tej skały za horyzont
Fale głaszczą mnie
i odpływają kroplami myśli
są chwilowymi rzeźbami
z których odczytuję twarze
dalekie bliskie
Jakże można tu wątpić
w harmonię i piękno
w równowagę wszechświata
nie zwiodą mnie powierzchowne zdania
nic nie znaczące gesty
sztuczny błysk
którego wieczną przeciw wagą
jest jedno słowo
Ilios
Dźwięki buzuki i śpiew
zlewają się z szumem fal
tworząc całość
jak morze i niebo o zachodzie słońca
W oddali delfiny
dostojna niezmacona
radość istnienia

* * *

Ta czułość oczarowana
twoimi dłońmi
dotyka mojej twarzy
niczym mgiełka rosy
Wczesnym porankiem lipca

płynące obłoki
jak fale Morza Egejskiego
budzą myśli
wybucha skołatane serce
a wokół nic się nie zmienia
kamyki szemrzą
kołują mewy
na horyzoncie
kwitnie biały żagiel
Twoje nagie ciało
obejmuje tę chwilę
płomieniem
coraz wyższych dźwięków
cykad
które przenikają głęboko
do pierwszych wejrzeń
Zatrzymaj ten dotyk
wtulona szepczesz
zamszem ust
jakbyś była muszlą
najpiękniejszą
i świat dookoła znieruchomiał
zasłuchany
Od dzisiaj będziemy znali
dreszcz oczekiwania

Eugeniusz Kasjanowicz

Piotr Kitrasiewicz

Ewa z Edenu

Zdradziła Boga
Wierząc
W słowa węża
Pięknego młodzieńca o zielonych oczach
Wzięła go za spełnienie
Swoich snów o nęcącym żywiole
Drzemiącym gdzieś w głębi
Wyczuwanym podskórnie lecz zakazanym

Uwiodła Adama
Dając mu jabłko z głębi kobiecości
Wbrew woli Boga spełniła Jego wolę
Bo światło i mrok są tą samą Jednością

Dzięki jej zdradzie
Niebo pochyliło się ku ziemi
I światu dało ludzi

Spowiedź

Ojciec i córka poszli do kościoła
Spowiadali się
Przy osobnych konfesjonalach
Potem razem przyjęli komunię
Matka została w domu
Wyznawała grzechy
Przed brudnymi naczyniami w zlewie
Przed fotografiami pobożnych
Rodziców
Straszących piekłem

I przed tamtym dniem
Kiedy
Dziewczynka zemdląła w kościele
A bodyguard z aureolą nie przecisnął się
Przez duszny tłum

Piotr Kitrasiewicz

Janusz Koryl

Brak

Brak to puste krajobrazy wspomnień,
szafy bez ubrań, kredensy bez naczyń,
półki bez książek, które strawił ogień.

Brak to samotność w muzealnej Sali,
bezdolne słowa, owdowiałe lustra,
komin bez dymu i niebo bez chmur.

Brak to wyblakły ślad po miłości,
wyschnięte rzeki, zerwane mosty,
zwinięte żagle porzuconych statków.

Brak to początek ogromnej tęsknoty
za bezpiecznym domem, w którym można
ogrzać i ciało, i duszę.

W braku wyraża się pełnia.

Kolekcja

Ktoś wybrał za ciebie charakter i płeć,
kraj urodzenia, religię i hobby.
Dlatego zbierasz stare pocztówki,
na których wszystko jest jeszcze możliwe.
Zbierasz monety, które już dawno wyszły z obiegu.
znaczkę pocztową, puszkę po piwie,
wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Ktoś ci pokazał, jak się zabija,
gdy poziom gniewu przekroczy stan ostrzegawczy.
Dlatego trzymasz w szufladzie biurka
wojskowy bagnet obok książeczki do nabożeństwa.

Twoja kolekcja rośnie w zawrotnym tempie.
Muszle, breloczki i narzędzia tortur,
klocki Lego i mydła z ludzkiego tłuszczu.

Ktoś ci zapomniał powiedzieć,
że w życiu nie ma ścieżek na skróty.
Dlatego czujesz się oszukany przez Boga i bliskich.
Dlatego ciągle powtarzasz jak mantrę:
„Wiem, że nic nie wiem” i brniesz po śladach
tych, co już mają wszystko za sobą.
Twoja kolekcja będzie obiektem podziwu
w czasach, gdy ludzie zrozumieją wreszcie
do czego służą pytania bez odpowiedzi.

Tryb rozkazujący

W tym kraju ćwiczę od lat
tryb rozkazujący.
Przynieś, podaj, wybieraj
między dobrem a złem,
nadstaw drugi policzek,
wyjmij ręce z kieszeni.

W tym kraju każde słowo
jest brane pod lupę.
Żaden przecinek ani żadna kropka
nie dzieją się przypadkiem.
Reguły języka
stoją na straży przypadków.

W tym kraju każda rana
zna swoje miejsce w szeregu.
Z lektur obowiązkowych
najpoczytniejszy jest „Janko Muzykant”.
Jego tragiczna śmierć jest przedmiotem
naukowych rozpraw.

W tym kraju należy unikać
podchwytliwych pytań.
Śnieg pada w lipcu,
a słońce roztopia lodowce.
Największym patriotą jest polny strach na wróble
w białej koszuli i czerwonych spodniach

Zdjęcie

Na tym zdjęciu jestem
kilkuletnim brzdącem.
Obok matka mruży oczy
przed jaskrawym słońcem.
Ojciec podpira niebieski firmament
jak mityczny Atlas.
Nic się jeszcze nie stało,
czego mógłbym później żałować.
Wciąż jest szansa na dobre rozdanie
w kosmicznej rozgrywce.
Patrzę prosto w obiektyw
z uśmiechem na ustach.
Jest piękny letni dzień.
Świat trzyma w ukryciu
przyczyny i skutki.

Janusz Koryl

Andrzej Książek

Trwanie

Odpada od kości ciało
nadziei.
Pająk tka pajęczynę wokół martwej
muchy.
Promienie słońca usiłują zszyć.
Pęknięcia.
Rozdarcia.
Gliniany dzbanek upada
na podłogę.
Upadają cywilizacje kultury
imperia.
Coś jednak zostaje.
Trwa.
W trwaniu jednym.
Niedającym się podzielić.

Archetypy

Aktorzy się zmieniają.
Reżyser ciągle ten sam.
Scenariusz nie ulega zmianie
od tysięcy lat.
Syzyf toczy swój kamień.
Tantal spragniony.
Nie może ugasić pragnienia.

Popyt i podaż

Dywagacje co jest lepsze.
Gorsze.
Na tle drapaczy chmur.
Bezprzewodowych środków komunikacji.
Wykazują jak daleko nam jeszcze.
W którym miejscu.
W jakim punkcie.
To ciągle nieustanne które cyklicznie
Się powtarza.
Do zmęczenia. Załamania
Materiału.

Wrzesień 2025

Jerzy Marciniak

czapka górnicza

istniał
był ratownikiem
choć jego byt to było jakby zmyślenie
grał w orkiestrze na klarncie
w domu kultury występował w kabarecie
i
zawsze w starej galowej czapce górniczej

na jedną z Barbórek zaczął mówić na scenie skecz
... nos mam duży szeroki dorodny trochę jakby niemodny
buty pod nim mi nie mokną nawet w czasie ulew i burz
mam w kieszeniach drobny węgiel a duże bryły w dłoni
roznoszę biegiem po biednych domach aż spod podeszw idzie kurz
świat górnika jest bowiem trudny ciężki ale i uroczy uro...

zawyły syreny
spojrzał w stronę kopalni złapał hełm kilof zeskoczył ze sceny i pobiegł
szybko
gnał gnał jakby jego ciężkie buty były stworzone do biegów
przyśpieszał
by jak najszybciej najprędzej odsypywać przywalonych węglem kolegów
syreny wyły wyły
gnał gnał jakby z każdym krokiem miał więcej sił więcej siły

brzaskiem
spotkaliśmy się gdy syreny po tąpnięciu cichły
starł pot z czoła krew z dłoni i odetchnął głęboko
potem odcisnął wargami pocałunek wdzięczności na własnej twarzy
a
odchodząc zgasił swoją górniczą lampkę

której płomyk na pewno ciągle tam się jeszcze żarzy

szare mydło z deputatu

zadzwoił telefon
odezwał się głos starczy i ochrypli
ojczym zmienił trochę adres... śpi teraz pod czwórką...
no... robiliśmy nieraz razem... na przodku

ubrałem się szybko i wyszedłem

rodowa kamienica ojczyma
kiedyś duża i wytworna chyliła się wyraźnie ku upadkowi
okno mojego dziecięcego pokoju było zabite deskami

w dwóch okienkach suteryny błąkał się blady blask świecy
na zakurzonych szybkach

wszedłem
ojczym spojrział i zaszklili mu się w oczach łzy
duże
jakby tęsknotą czy wyczekiwaniem nabrzmiałe
tkwiące nieruchomo na rzęsach
szarobiałe

wyciągnął spod siennika butelkę czegoś mętnego
przyszedłeś... czekałem i nie traciłem nadziei
zaprawilem sokiem czarnej porzeczeki z naszego dawnego ogrodu
wypijmy... jak nie na zgodę to na brak nienawiści
przepraszam że cię parę razy pobiłem... nie byłeś moim synem to...
to nie powinienem tak robić

te dwie łzy osunęły się z rzęs i zaczęły wolno spływać po policzkach

wypiliśmy po szklance
do dna

spojrzął na uschnięte kwiaty w ozdobnych starych doniczkach
czuję się ciągle na swoim... wydziedziczyli nas ale... zimę chyba
przetrzymam... przyjdź na Wielkanoc to jajkiem się podzielimy... mam
jeszcze kilka kostek mydła... szarego z deputatu... na dole się kurzyło...
na hałdach też to... wypiorę rzeczy przy studni, naszej... wymyję

w łaźni w wannie

przytaknąłem głową

cały czas patrzył chciwie zaborczo w moją twarz

wychodząc

zamknąłem za sobą stare spękane drzwi cicho i starannie

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Czas ucieka

Jestem jestem ateistą powiedział wprost Wierzę że nie ma
 boga Dawniej by się takich rzeczy nie mówiło
 Nie wypadało Niegrzecznie się wiary nie oświadczało
 żeby nie dotknąć nieateisty nie zrobić mu krzywdy
 że nieateiści są zawrotem głowy
 puszczone w kapciach filcowych
 Nie uchodzi
 Kiedy chodzi o prowokowanie policjantów na usługach diabła
 dzisiaj się nie mówi jestem jestem katolikiem kocham to
 kocham tamto pomagam temu pomagam tamtemu
 wtedy dawniej też się nie mówiło że się kocha i pomaga
 nie wypadało mówić o rzeczach tak zwyczajnych i normalnych
 i nawet zauważyłem że w Ameryce znowu jak dawniej
 nie wypada pytać w co wierzysz do którego kościoła
 nie należysz do którego należysz wierzysz w coś masz jakąś
 religię i taka osoba dziwi się ma to zdumienie wypisane na
 twarzy lęk ma w palcach w Polsce też gdzieśgdzie
 kręci się biodrami żeby zejść z tej śruby
 ucieka ucieka przed tobą zobacz to widać na ekranie twojego
 komputera znika masz pusty ekran przed sobą zapisany
 tylko fotografiami chaosem tekstów bełkotem błotem
 ludzie zabijają tym czas którego potrzebują żeby się
 otrząsnąć a czas ucieka ucieka

Oczyść swoje myśli

Do M.

Oczyść swoje myśli
 On czyści swoje
 abyś zrobiła to ty

chciałyby cię zachęcić
 Najlepszy sposób na początek
 rozumienia nienawiści

wywekowania niezwykle filmowych podejrzeń
zdrad twego ciała twoich ust
twoich tlenów i płynów a może igieł
wszystkiego co tak cię czyni
delikatną nie tylko pod dotykiem
(ach, dotknięcie ciebie
jak pianki przewrotności
dmuchnąć a dyskretnie odlatujesz)
ale i pod myślą
swym puchem podobną do czereśni

Przewidywanej zguby
może po prostu nie być
może nie nadejść mimo ostrych cieni intuicji
czy to cię zadowoli?
Nigdy

Ten cud słodkiego dotknięcia
twardniał u ciebie
na kamień którym jeśli rzucisz – zabijesz
a potem nikt już o tobie nie pomyśli

Więc oczyść myśli i zacznij od nowa
niekoniecznie aby się zbliżyć
choćby wciąż jeszcze poniżej zera
(ale potem – wyżej!)
bez wgłębiania się w ciało
(lecz później dosiężnie!)
uwypuklania podejrzanych pomysłów
(bo takie głośne!)

Chodzi o ten błysk i zapach czegoś
co może być jak główka dziecka
gdy właśnie się urodzi
by kiedyś się zestarzeć
i zacząć tworzyć teorię kultury
nadal z twoich dawnych nieporozumień
na dachu urzędu rady ministrów
Nie zakręcaj, nie zwracaj
przecież jestem z tobą

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

wakacje

to nieproste
odpoczynek w domku umarłej
szafa pełna jej ubrań
pościel szlafrok grzebień
rozłożone
jeszcze nietykalne
mydło w mydelniczce
niewymydlone
– trochę potrwa
zanim przebije się argument
przecież to tylko rzeczy –
nie muszę zakładać jej butów
żeby na schodach
poczuć jak się potyka
łapie się poręczy
prawie spada
w nieoswojonej przestrzeni
rosną dzikie myśli
dopiero niewinność mydła
oczyszcza z paranoi

27.08.2025

muszle

na skraju puszczy białej
która jest zielona
ktoś wyrzucił muszle
z egzotycznego morza
wspomnienia z wakacji
– Egipt? Hiszpania? Karaiby? –
przywiezione w walizce
przez chwilę błyszcząły

ale zwiędły
choć nadal się odchylają
wewnątrz różowe łososiowe
perłowe śnieżnobiałe
ozdobne z fantazyjnymi zębami
zakręcone do środka
zapraszają swoich do labiryntów
leżą tak od tygodnia
w krzakach
mijam je
idąc piaszczystą ścieżką
las po deszczu
zastanawia się
czy pozwolić już grzybom
podnieść do góry
głowy?
a może ukryć od mchem
amonity z epoki
globalnych podróży

27.08.2025

Dla Gabrieli

córce Wandy Warskiej

Droga Gabrielo,
włożyły nam nasze matki
na ramiona
poważny ciężar obowiązków wobec świata:
Nie zniżaj tonu!
Nie idź na skrót!
Myśl o dziedzictwie
i go nie rozprosz.
Nie oszczędzaj siebie
nie zaoszczędzisz na później.
Z ludźmi złej woli nie paktuj.
Ciężko.
Nic dziwnego
że boli kręgosłup.

Bo jeszcze na koniec
trzeba było stawić czoła
pożegnaniu matki
która umarła
ale nie zamilkła
jej głos wciąż mówi:
masz zobowiązania.

Anna Nasiłowska

Mariusz Olbromski

Album krzemieniecki

Plenery malarskie

Urszuli, współtwórczyni DDK

Potokiem blasków krzemienieckie niebo
na lustra wzgórz, na jary spada już obficie
uderza werblem drżącym w dachy,
w szmaragdy sadów spływa tak pieniście
ulotne zjawy znacząc przez witraże liści.

W błękitu cieniach znów artyści tworzą
farb muśnięciami znacząc swe widzenie
kształtów i światła, które się tak kłębią
i lot ten zatrzymują w jednym okamgnieniu,
w tym, co mniej kruche, bardziej trwałe,
przefiltrowane tajemnicy ich istnieniem.
Obłokiem serc i myśli światłocieniem:
wstrzymują światy, które niewstrzymane.

Myszę o twoim cichym w latach trudzie,
spod kapelusza życzliwym spojrzeniu,
o młodych oczach, które tutaj wiodłaś
w barwne ogrody – zaułki – w zdumienie...

Ukryte źródła

Tamarze Sieninie, dyrektorce Muzeum Juliusza Słowackiego

Dziwne jak w legendarne miejsca
wkraczamy zupełnie zwyczajnie,
w pola niejasnych mocy. Tu, w dworku,
gdzie Salomea wysnuwała przy kołysce

pieśni polskie i dumy ukraińskie
zaplatają się wciąż dwa nurty, bo biją
nadal prastare źródła głębokie.
Światy odrywają w dwóch językach
Uczeni, poeci, a z fortepianu dźwięki
przenikają obecnych, pożółkłe książki,
patrzące ze ścian rodzinne portrety
i lecą zmiennie pokój za pokojem,
stają na ganku, oplatają białe kolumny
ulotnym powojem. Cichną, to płyną
przez uchylone okna tonów kaskadami
w róż drgające kadzidła, ruszałek barwny
taniec nad impresją roziskrzonych trawy.
Zadumy drzew sięgają szczytu
i giną w chmur rozdołach, oku błękitu.

Blask Norwida

Prof. Grażynie Halkiewicz-Sojak

Tak wiele z norwidowskiej
subtelnej rzetelności i poezji
myśli przeświecało w tobie
w niejednej rozmowie

a ton ten płynął także z dzieł
twoich świetnych - przemyśleń -
i był jak „Vade – mecum”
współczesna – odpowiedź....

I wśród życzliwych lotów słów
i gestów – wielu twoich tekstów
było tamto wnikliwe spojrzenie

którym obdarzał niegdyś świat
i napotkanych – całe otoczenie
samotnik wielki i myśliciel cichy
z Domu Świętego Kazimierza.

Wernisaż

Prof. Lechowi W. Szajdakowi

Co w mroku miało zostać
przedziwnie nagle odkryte.
Zdumiewa tęczę tematów,
płynie strumieniem refleksji
młodych poetów zachwytem.

Urzeka czułym zanurzeniem
w aurę krajobrazów i w życie
przygranicznych miasteczek.
Wiosek wśród sadów skrytych.
I zasłuchaniem w piękne pieśni
sławiące Horynia dorzecze.

Ile liryzmu ta ziemia zrodziła
jak łąny zbóż rozchwianych
w kłosów szeptach na wietrze.
Ile strof zaszumiało spisanych
w Łucku, Kiwercach, Krzemieńcu
którymi można żywić serce.

Co niby nikłe – jakże ważne.
Co mało sławne – wraca w te
zaszczyty – że nowe pokolenia
będą czerpać z tego skarbcza
i fenomenem tym ozłocą myśli.

Stawisko, IX 2017

Po otwarciu wystawy „Portret z wierszy i pamięci”, pierwszej w dziejach kultury polskiej poświęconej Grupie Poetyckiej Wołyń w Stawisku, Podkowa Leśna, w dniu 17 września, 2017.

Obraz w niecce

Pamięci Niła Zwaruńczuka

W niecce w której też korowaje zaczyniano,
rosły w niej pachnąc, a były jak w modlitwie
daj nam, Panie..., później, po wielu latach
wzrastało twoje malowanie w lotną wizję
Krzemieńca – podarowaną nam z przyjaźnią.

A teraz co dzień, gdy spoglądam na nią
jest moich myśli wciąż kopalnią i zdarzeń
już zaprzyszłych stamtąd: plenerów, sporów,
prac artystów – tak potrzebnych – jak chleb.
Bo twórczość piękna świata rozmnażaniem.
I ciągłym innych głodów jest zaspokajaniem.
Pradawnym gestem Przedwiecznego „stań się”
na ludzką miarę – wciąż przywoływany.

Artysta dzieła jest kapłanem i swoje życie
jemu składa. Tak często w biedzie i udręce
pracami swego ducha cały glob wzbogaca.
Czas jego zmagania – dialogiem jest wciąż
intuicji z Tajemnicą. I królewskim darem.

10 VI 2023

*W planach kolejne wiersze z tego cyklu
do następnego numeru „Podglądu”*

Mariusz Olbromski

Alicja Patey-Grabowska

Życie, które jest

W ten czas posuchy kiedy geranium
zmarszczony liść opuszcza jak głowę
kiedy drzewo jałowe obleka się w kwiaty
z nadzieją na owoc W ten czas posuchy
mała kropla obleka kształt pełnego dzbana
i w marzeniach bujnie zieleni się trawa
życie kwitnie tętni krew w obiegu do serca

Dzwonią dzwony na alarm i syreny na pożar
Tętni tętno stopy boso biegną po ścieżce
krople potu na skroni język suchy w gorączce
liść opuszcza już głowę ale kropla cud niesie
i wystrzela do góry jak ręce

W czas posuchy nadzieja jak oaza wśród piachu
nikłe światło w ciemności uśmiech zamiast płaczu
Męstwo w strachu Na przekór cienia śmierci życie
ŻYCIE KTÓRE JEST

Ze zbioru Poezje wybrane

Oko w oko

Czyha
na każdym miejscu
i o każdym czasie
nawet łono matki
nie jest bezpiecznym gniazdem

Cień jastrzębia
od kielka

aż po dorodne drzewo

I nie pomogą grymasy
i maski na twarz

A kiedy staniemy oko w oko
tylko czyste ręce
tarczą

Ze zbioru Poezje wybrane

Jest taki blask

Jest taki blask
oślepiający blask
w chwili narodzin
i śmierci
w chwili olśnienia

Kiedy zasypia rozum
a budzi się serce
Blask – Moc
czerwona stal
światlista kula na tęczy życia
KTÓRE NAM DANE JEST

Ze zbioru Poezje wybrane

Impresje sandomierskie

Wibracja dźwięków
tętent koni
czerwone chmury
przygniatają ziemię
i płonie wszystko
nawet kwiat na błoniach
wśród pieśni choralnych
zgiełku
i jęku

To jest jak pieczęć
wspomnienie Co Było
gdy dłońmi dotykam
filarów kamiennych
wtopiona w oczy
Sandomierskiej Panny
MATKI RÓŻAŃCOWEJ
Z Dzieciątkiem na ręku

Jeszcze słyszę poświst
strzał tatarskich
i zgrzyt
przesuwania się wieków
na tarczy zegara
który wciąż powtarza
zdarzeń rytm

Przesuwają się chmury
i wygląda słońce
przez witraże się sączy
opromienia modlących

*W opiece zachowaj nas
Panie*

12 IX 2025

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

* * *

schyłek lata
rozkołysany żuczek
na źdźble trawy

* * *

już jesień
w kawiarnianych okruszkach
rodzina wróbli

* * *

spacer o zmierzchu
stopy w starych sandałach
gładzi wiatr

* * *

kontener
bezdonna przymierza
suknię w astry

* * *

ciche pyk pyk
niesie tyle wspomnień
śnieguliczka

Jan Krzysztof Piasecki

Okrutny ssak

W Australii wytępiły go dingo.
Na Tasmanii mnożył się i panował,
aż z Europy przybyli osadnicy z owcami.
Wilki workowate częstowano kulami, sprzedawano do zoo,
trzymano w kojcach dla rozrywki.
Czarno-białe zdjęcie: W zagrodce samica z odsłoniętym brzuchem –
w szparze torby lęgowej widać główki szczeniąt.
Wilki workowate przenoszą się z lasu do domostw – tkwią
wypchane w kątach,
leżą i wiszą w postaci wyprawionych skór.
Słój z oseskiem stoi na biurku Doktora –
sto czterdzieści lat temu ktoś utrwalił szczenię w alkoholu.
Doktor ma pasję – chce spłacić dług przyrodzie, odtworzyć
wymarły gatunek.
Wilka wydobyto ze słoja, pokrojono, zreplikowano DNA.
Milion łańcuszków DNA czeka w lodówce na swoje miejsce w puzzlach.
Doktor spaceruje brzegiem puszczy,
w wyobraźni uwalnia sklonowane workowce do lasu.
Płowy ciemno pręgowany wilk-tygrys-pies biega wśród drzew,
skacze z urwiska, poluje.
Komputerowy wilk z filmu Discovery.
W ogrodach zoologicznych dobrze się mnożył. Lecz nadciągała Druga
Wojna Światowa, nikt nie miał głowy
dbać o jego potomstwo;
ostatnia samica umarła w zoo w Hobart.
Okrutny ssak wytępił kolejny gatunek.

Wiersz napisałem około 20 lat temu, potem go nieco zmieniłem.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Damy i rycerze

Flirt lekki i zabawa, poczucie humoru –
tym się lubiły szczyścić dworne damy dworu.
Wieśniaczki pełne życia i z sercem otwartym
lubiły kpiny, śpiewy i wesołe żarty.

Teraz często widuję kobiety uczone
żartem, kpiną i flirtem raczej zaskoczone;
są bardzo zasadnicze, nie znają lekkości,
która tyle uroku daje kobiecości.

Nie zaszkodzi kobiecie, która jest chemiczką,
żurnalistką lub z wyższej półki urzędniczką,
że pozostanie damą z uroków wachlarzem,
co się zdarza, lecz częściej jest to w sferze marzeń.

Mężczyźni nie zaszkodzi, aby się wysławiał
jak dworzanin przed laty. Barwnym świat się stawał,
gdy rycerskość przenikał ów polor wesoły.
Takich rzeczy nie uczą już dzisiejsze szkoły.

Tam równość i rzeczowość są nad stare wzory,
stąd proste, nieudolne bywają amory.
Raz nieśmiałość hamuje, bo nie ma metody,
jak posłać słowo lotne i przełamać lody,
to śmiałość bez finezji, gdy brak dawnej klasy,
prowadzi do grubiaństwa. Takie mamy czasy.

*1 stycznia 2017
Ze zbioru Wino życia*

Do potencjalnego czytelnika

Piszę do ciebie, którego nie ma,
którego nigdy nie będzie?

Jednak we mgle
majaczy postać daleka.
A więc
chwila zwierzeń.

„Naonczas radość żywota
gdy z innymi dzielę...”
więc z tobą,
który jesteś mną –

zapewne,
w pewnej mierze.

9 maja 2024

Oranżeria i ogród

I

Skórzaste liście,
włochate ramiona,
pnie poskręcane
palma zaduszona
uściskiem lian.

Majaczy błądy kielich
i cuchnie w mroku
trujący kwiat.

II

Drżące listki topoli

lekki wietrzyk swawoli
 niesie zapach miodowy
 jak narkotyk do głowy.
 W dole maki,
 też dalie.
 Wśród drzew, naturalnie
 ptaki.

Obserwuję zdumiony
 świata różne dwie strony.

Dla mnie stroną jedyną
 krzew zielony z dziewczyną
 i jej oczy wesołe,
 świeże liście nad czołem,
 obłok bzu.
 Gdzie to jest?
 Tu!

Kwiecień 2025

Rośnie dom

Rośnie dom, ma tyle miesięcy
 co nasza miłość – nie więcej,
 co ze zdziwieniem odkrywam
 gdy on się dachem pokrywa.

A wtedy, gdy Ją spotkałem,
 dół w ziemi budził zdziwienie,
 tajemny jak Jej spojrzenie,
 co będzie? – cicho pytałem.

W zimie, gdy pierwsze spotkania
 i czasem tańce w tancbudzie
 fundament wyrastał na grudzie
 za płotem, do spoglądania.
 Radośnie było nam w maju,
 chociaż niepewność dręczyła,
 ty ciągle ze mną tańczyłaś,
 a pierwsze piętro już stało.

Lipiec to morze, Chałupy,
nadmorski romans jak sen,
dom wciąż jest tylko szkieletem,
żelbetu widać w nim słupy.

We wrześniu już blisko końca.
My odwiedzamy krawcową,
by szyła suknię godową.
Dom cegłą się wspina do słońca.

Październik – zostało niewiele,
a my pod dachem kościoła,
gdzie msza się toczy wesoła,
bo to jest nasze wesele.

Listopad, deszcze z wiatrami,
dom ma już dach swój i okna,
niestraszna plucha okropna,
my w szczęściu jak za murami.

Dni płyną, może przewlekłe,
bo jedni się wprowadzają,
a drudzy nadal czekają.
My w swoim tulimy się ciepłe.

Dom nieopodal na lata
jak nasza miłość się wznosił,
los kiedyś pewnie go skosi,
my z sobą do końca świata.

15 czerwca 2019

Udręki duszy i prawa historii

Grono smutnych poetów, życiem udręczonych,
z bólem wielkim maluje jego mroczne strony.
Dręczą niezrozumiałe tajemnice duszy,
blizny straszne, palące, kiedy je poruszyć.

Wielkie rozczarowania, bezdenne rozpaczce
i przymus by o sobie pisać wciąż inaczej,

unikać prawd zbyt prostych, niewątpliwych zdarzeń
szukając wielkich głębi w powodzi skojarzeń.

Wewnętrzny świat poetów zawiły i wzniosły
może być jednak nieraz przewrotnie radosny,
bo z zagadkami ducha stale do odkrycia.

Czy nie przeraża bardziej to, co wyjaśnione? –
Prawa historii stare, ciemne, niezmienione.
Mordowano przez wieki, zabija się dzisiaj.

26 kwietnia 2022

Zagubione przyjaźnie

Stary notes wśród książek się mieścił
dawne sprawy, adresy nazwiska,
czas się cofnął, ze szczątków pamięci
nowa żalów wyłania się lista.

Żal, że nie wiem co stało się z Jackiem,
który w ławce gdzieś siedział pośrodku,
ani z Krzyśkiem z uśmiechem junackim.

Poznikali we mgle, bez wyjątku
tamci dwaj, tamtych trzech, innych pięciu.
Lat dziesiątki i mnóstwo przestrzeni –
to ma prawo zamazać w pamięci
ich sylwetki. Tu nic się nie zmieni.

Ale inne nazwiska w notesie
to nie dawne, lecz bliskie mi lata,
więc dlaczego zginęli w zamieci
spraw zwyczajnych i błahych? Skąd strata?

Sporo było tych światów bogatych,
wspólnych przeżyć i pracy i śmiechu,

zaniedbanych, spisanych na straty –
grzech zaniechań, niemały wśród grzechów.

Jestem winny, lecz oni też winni,
pełni życia, lecz w dziwnym marazmie,
wszyscy czynni, a jednak beczynni –
szary notes zgubionych przyjaźni!

8-9 września 2019
Ze zbioru Człowiekiem jestem

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp¹

**Sześćset dwudziesty trzeci
upadek Bunga
albo
dziwka wcale nie demoniczna**

*[dwudziesty ósmy listopada Późnym wieczorem
na klatce schodowej gdzieś Przy świętokrzyskiej
Po załatwieniu Potrzeby fizjologicznej]*

PIWO PIW- PI--[jany] P---[oeta]
Poprosił Pokorą Potworną w swym Pijaństwie
[damę! damę! damę!] Przypadkowo schodzącą
o Pocałunek

zdziwienie [bo dziwka]
[Proszę mnie natychmiast Przepuścić do wyjścia]
Płacz Poety
Pogarda uśmiechem rozchylonym
biel zębów i
śliski język z Pokolacyjnym smakiem Podniebienia

raz w Pysk [ty bydlaku] i
śmiech [nie broniła się! nie broniła się!] Poety

¹ Z okazji 50-lecia twórczości prezentuję moje pierwsze poetyckie performansy, które w grudniu 1975 roku opublikował miesięcznik literacki „Nowy Wyraz”.

didaskalia: zgasło światło

Pogarda [słodka ślina] Poniżona w
chamskim [Poety] odorze Piwa
świecące kocie oczy zachodzą mgłą [i Powiekami]
królowa drży

na Parapecie lastrico [ach ty Pijany zwierzaku]
drżące białe zimne Palce [Paznokcie Purpurowe]
Powodują Przemianę Penisu [w] Phallus
Pijany Poeta Przeistacza się [w] CZŁOWIEKA
[Prawdziwego CZŁOWIEKA bez frojdów i ajnsztajnow]

niepotrzebnie zakrył jej usta dłonią
nie krzyczy
jęczy jęczy [mdleje] jęczy
nieprzytomna
złamana na Parapecie lastrico
matka osiemnastoletniej córki
[sine ślady na swej szyi zauważy dopiero
następnego dnia rano]

Pijany Pochylony duszący swym językiem w gardle
[nasienie spływa zgodnie z Prawem grawitacji
na szare spodnie]
ściskający w Prawej dłoni biały strzęp
[Potem Poznał że to kawałek majtek]

beznadziejnie opadła [ubierając ją w
żonę matkę i Panią.....] spódnica
lewa noga wystąpiła z białego okręgu
[Prawdziwie Poetyckie Poniżenie tych majtek]

cały czas Przytrzymując się [Po co?!] malejącego
w swym oślizłym kształcie JESTESTWA POETY
[BRAWO!!!]
wyrównywała sobie oddech

* * *

kiwając się zapalił dwa Papierosy
nie śmieję się kochany gdyby mój mąż
tak! teraz cię Poznałem!
ty mnie!
[śmiech boski] [Poety]
Parę lat temu Pamiętasz
czyjeś wesele ja mój ojciec twoja córka
taki jeden wojaczek
[mój boże tak wykończona a drgnęła]
Powiedział ci ty kurwo
a ty Przestań rafałku mój mąż
ale on był już Pijany i darł się
[ty kurwo]

uderzyłaś go
musiałaś
rozumieć
to i tak nic
w Porównaniu z tym jak go stamtąd wykopywali
[twój mąż]

Przestań Proszę [biedny rafał]
znajdź jakąś taksówkę
odwiedzisz mnie [Prawda?]

wyszli z klatki schodowej
Pod [szarym] Parapetem lastrico
został strzęp białych

Podeszli do białej taksówki
słaniający się Przeżytek doskonały
i śmiejący się [skurwysyn] Poeta

M a r i a n n a
c z y l i
w i z j a m i ł o ś c i n i e o c z e k i w a n e j

I

Brunatne cegły w purpurowym blasku
i ręka
kurczowo chwytająca swą białą poźółkły liść miłości
Młodego Twardego Człowieka
Błyszcząca pierś halabardy wypala oślepiającą łuną
tragiczny krzyk oka

– Nie odrzucaj!

Ociekając gęstą lepką krwią powoli spływa z nieba
szczerozłoty sterowiec
Jaskrawe słońce przykleja lepkie krople
czerwienią do ziemi

– Przeklęty oślepiający blask!

– Nic nie widzę!

Przecież śmierci nie ma

– Precz z czernią!

Biała ręka wysuwa się z brunatnego gruzu
unoszącego się snem ku marzeniu
czegoś spełnionego
nie, jeszcze nie spełnionego

– Nie odrzucaj!

Twardy akord fortepianu wypalającego czernią-blaskiem
kierunek oślepionego oczodołu

– Czerń spali choćby nawet i popiół!

Nie-drżący płomień jednostajnym blaskiem kłuje białą rękę
która kurczy się
i zaciska w pięść

II

Rozpływa się gruz
Biała ręką okazuje się białym kikutem dobrze, bardzo dobrze
przyczepionym starym drutem do ogona ślepego
oszałałego z miłości szczura
Czując zapach krwi
biegnie zapomnianym błędnym pędem szaleńca
ku sterowcowi
powoli przylepiającemu krwią złoto do ziemi

– Blask! Oślepiający blask!

III

Choć nie ma śmierci ginie ślepy szczur
Rozwierają się palce białej ręki która
uśmiecha się do swego przerdzewiałego drutu

...a ona jakże jest piękna.

Leży naga, długimi jasnymi włosami wkręcona
w łańcuch roweru, w tylne zębate koło
zasmucone czarnym smarem
Chociaż rowerem jedzie blade dziecko
duszące się astmą i płacze
mimo że lewe oko zwisa mu nerwem koło nosa

wypłynęło niedołupane
Chociaż za włosy ciągnięta rowerem przez
dziecko-ścierwo
z jej twarzy minionego piękna nie schodzi uśmiech
dziewczęcego marzenia
i jesiennego smutku

– Jakże jest piękna choć kocha!

Dziecko o wyłupanym
zwisającym koło nosa oku płacze
dusząc się astmą i krwią w gardle
Pedałuje z wysiłkiem lecz rower stoi bo
– chociaż koło z czarnym smarem wkręca coraz bardziej
jej włosy długie i jasne –
bo na jej brzuch olbrzymią łapą
wjeżdża zamyślony czołg
Spłoszył fioletowego ptaka
trójpalczą garścią wczepionego w jej ciemne łono
Białym dziobem zlizującego mięśnie ud
aż do śliskich kości

IV

Zaduszone astmą dziecko wycieka między szprychami
podobne swemu lewemu oku
...z jej twarzy nie schodzi uśmiech

– Jakże jest piękna choć kocha!

Żelazną łapą uśmiecha się czołg
do jej ciepłego brzucha
On także ją kocha

Rozgnieciony brzuch
Odgryzione piersi
Powyrywane ze skórą włosy



Warszawa 1973: „Gee & Jolly”, nasze dziewczyny. Pierwsze miłości, pierwsze LSD dzielone na czworo, żeby choć spróbować.

Rozszarpane wnętrza ud
Białe śliskie kości
Na Boga! Czego tu tak brakuje
już wiem
tu nie ma krwi

V

A u góry
na grubym rzeźnickim haku nabity pod brodę
zwisa bezwładnie członkami
Młody Twardy Człowiek
Jajowata czaszka o wypalonych oczodołach
obciągnięta skórą bez włosów
Pod brodą
gdzie wbity jest hak
wycieka nie-krew
lepka biała
kapie swym nasieniem na uśmiech białej ręki

- Mój blasku!
- Moja miłości!

Fioletowy ptak unosi w białym dziobie
bezkrwawy strzęp ludzkiego

VI

A na dole
kończy już swe bezpłomienne spalanie w blasku
pożółkły liść miłości
Młodego Twardego Człowieka

Jerzy Seipp

Jerzy Śleszyński

Drzewo

Drzewo to doskonały stoik
przede wszystkim stoi pionowo
na tych którzy kaleczą jego gałęzie
patrzy z góry i z pogardą
kiedy piłują jego pień
nie lamentuje głośno

podpowiada człowiekowi
pomne na swój podeszły wiek
że w końcu trzeba się przewrócić
nie wiadomo tylko w którą stronę
która słabość będzie silniejsza od korzeni
kurczowo trzymających się ziemi

Mijanie

Są takie miejsca
które się tylko mija
mija się dość szybko i bez żalu

jak wzgórze z jednym wyniosłym drzewem
jak słoneczną łąkę za ostrym zakrętem
jak wodne oczko które mrugnęło
i jeszcze szybciej zamknęło się w pamięci

są tacy ludzie
których się tylko mija
mija bez refleksji i nie odczuwa straty

choć nie są głupi i nudni
choć sami nie zamykają drzwi

jest coś co odróżnia ich od reszty
i tak bardzo niepokoi uwiera zniechęca

ich wiedza mądrość dyscyplina odpychają
ich punktualność precyzja słowność drażnią
ich wymowność i otwartość rodzą podejrzenia

nazwijmy te grzechy bez nadmiaru psychoanalizy
wbrew woli i intencji one stają się wyrzutami sumienia
każde spotkanie z nimi to prywatny konfesjonał
co można było samemu zrobić i kim można było być

są jak dalekie wyniosłe drzewo
nieдоступna złota polana
woda przejrzysta i czysta

niby to się ceni ale mija szybko i bez żalu
bo przecież czeka to zwyczajne życie
większości wystarczy chleb nasz powszedni
bez odwoływania się do gnostyków

Sławomir Stalmach

Czas przyszły dokonany

Nic w przyrodzie nie jest takie – jak czas – prostolinijne i prostackie.
Tylko on posuwa się do przodu, nigdy w bok, nigdy wstecz,
nawet się nie zatrzymuje, nie zwalnia,
bez początku, bez końca,
trwa nieprzerwanie.

Wytropi nas spośród tłumu, trąci i omami.
Jest ważniejszy niż cały nasz żywot –
to przyznamy na końcu,
gdy nas porzuci.

Chcielibyśmy, by włókł niemiłosiernie,
objął o ściany,
człapał po bezdrożach,
tapłał w błocie,
marzył na wietrze,
wysychał na pustyni.

Lecz nie – on tyka i tyka, nie daje wyboru.
Przez niego więdną liście i blakną kwiaty,
murszeją idee i sypią się gmachy
każdej cywilizacji.

Jednak trzeba wierzyć,
że nasze istnienie jest niepowtarzalne,
jak każde na ziemi,
i żadne życie nie będzie tym ostatnim.

Nadzieja

Nie kształtuje rzeczywistości,
nie kładzie niczego w dłoń,

nie daje za darmo złudzeń,
choć sama mamy i zwodzi.

Żywi się wiarą, że przechytrzy przyszłość,
wyprosi jeszcze chwilę,
ubłaga kolejne jutro w cichej modlitwie.

Łapczywie jej szukamy dla siebie –
w samotności, niemal ze wstydem –
jak żebracy,
wiecznie ubodzy w cieniu dnia dzisiejszego.

Obca mowa

Jego słowa były zamknięte – nic nie rozumiałem.
Mówił, że patrząc na zegar – godziny krążą, a nie płyną.
I dodał, że nikt nie umie żyć,
bo marzymy o wolności, której nie ma,
ale chcemy być kochani za darmo.

On był z tego świata,
gdzie kwiaty są uznawane za brzydkie.

Pamięć

Spośród wszystkich wrażeń
najsilniejsza jest pamięć.
Uderza nagle – z całą mocą,
albo cicho – cicho, niepokojąco.

Czasem wybucha radością,
przywołując to, co minione,
jakby dane po raz drugi.

Bywa też niebezpieczna,
gdy zawisa w próżni

jak obraz bez tła –
zapis starszy niż słowo,
ból – nie do wymazania.

Szkolne ćwiczenie

Na uczelni doczekała emerytury.
Koledzy byli mili,
lecz nie wiedzieli, czego jej życzyć.
Stali wokół, myśląc o sobie.

Zapytała starego Profesora,
czy czytał nową książkę znanego Pisarza.
– Nie – odparł. – Na starość nie czytam. Już tylko piszę.
Nadzieja to jakiś cel. Jakikolwiek.
Sens istnieje tylko w przyszłości –
przeszłość nie ma znaczenia.
– To ważne – dodał.

Poczuła wtedy,
jakby zadał jej zadanie na całe życie.
Przed egzaminem.

W drodze

Człowiek – istota podwójna – wyłonił się z lasu, ruszając ku innym.
Musnął chropowatą korę dębu, by stopą stanąć twardo po długim rejście.

Usłyszał trzask gałęzi, uginających się pod ciężarem śniegu – i krzyk niewolnika w niezgodzie. Zobaczył tęczę nad letnią łąką, a potem aureolę nad głową pustelnika. To było złe.

Skosztował solankowego źródła – i leż porzuconej dziewczyny. Poczł aromat sosnowego boru, więc stworzył dla niej zapach wykwintnego pachnidła. To było dobre.

Nie wraca ten, kto raz wyruszył w drogę:
jak pory roku,
jak kolejne słowa.

W stadzie

W nas jest dużo tego, co pomiędzy nami.
W grupie treści zapisane,
jak ślady stóp na piasku,
okręgi na wodzie po wrzuconym kamieniu,
czy zawieja liści każdej jesieni.

Już jedno słowo tworzy echo,
jak spojrzenie, które krąży wokół,
jak uścisk dłoni nieznanego.

Nie ma odległości większej,
niż ta między człowiekiem a człowiekiem.

Więc tylko śpiewać, iść przed siebie,
trącać przechodniów w rytm serca,
strumyków łez, żarzących emocji.

Sławomir Stalmach

Kazimierz Świągocki

Dwa wiersze w interpretacji artificial intelligence (AI) ¹

1. Koło Kazimierza Świągockiego – metafizyka zamknięcia i otwarcia

Kazimierz Świągocki

Koło

Ten ogień, co mnie trawi, ze mnie wziął początek.
Kto więc po mnie go przejmie, gdy będę umierał
i dróg mych krzywe biegi zatrzasną się w koło,
by zaokrąglić dzieje aż do zera?
Jeżeli ogień ze mnie, to jestem początkiem,
jeżeli zaś do mnie – jestem też granicą.
Czy nigdy ze swych brzegów wystąpić nie zdołam?
A koło co mnie toczy, nie jestże spiralą?
Kiedy ogień strawi moje wszystkie drogi
i już gwiazd nikt nie będzie po mnie umiał zdmuchnąć,
Bóg oczom wtedy zniknie, a ja w pustce po nim
zostawię swe ognisko, niech się próżnia stopi.
Gdy nadejdzie czas końca, odemkną się koła
i wszystko, co zawarte, będzie otworzone.
Kto wtedy wzrok mi odda, kto zawróci Boga,
który skacząc po górach odchodził mnie co dzień?
I kto me ciało zmieni w jego święty ogień?

1996

¹ Tytuł artykułu pochodzi od Redakcji. Jak w liście do „Podglądu” podaje córka Autora, pani Helena Świągocka, „eseje poświęcone wierszom Kazimierza Świągockiego w niniejszej publikacji zostały wygenerowane przez model językowy ChatGPT (GPT-5, OpenAI) na podstawie pełnych tekstów utworów poety. Opracowania mają charakter analityczno-interpretacyjny i powstały 30 września 2025 r. bez ingerencji interpretacyjnej redakcji”. Po tekście głównym zamieszczamy także notę samego Poety. Zdecydowaliśmy się na umieszczenie tekstu w dziale „Poezja” a nie „Krytyka”, ponieważ na obecnym etapie rozwoju sprawy jest on mniej ważny w sensie krytycznym niż ściśle artystycznym. A w którą stronę pójdzie ów rozwój, nikt na razie jeszcze nie wie (*red. pmn*).

1. Symbolika koła w kulturze i filozofii

Motyw koła należy do najbardziej archetypicznych figur kultury. Od Platona i stoików po średniowieczną mistykę i współczesną filozofię, koło wyrażało doskonałość, nieskończoność i cykliczność. W tradycji indoeuropejskiej było znakiem kosmicznego porządku, ruchu gwiazd i wiecznego powrotu. Dla starożytnych Greków koło nie miało początku ani końca – reprezentowało wieczność w jej statycznym wymiarze.

Święgocki, sięgając po ten symbol w 1966 roku, wpisuje się w długą linię refleksji, ale nadaje mu wyraźnie egzystencjalny charakter. Koło staje się w jego wierszu nie tyle znakiem doskonałości, ile obrazem losu człowieka zamkniętego w cyklu narodzin i śmierci, w rytmie, który jest nieuchronny i zarazem zagadkowy. Jednostkowy los zostaje wpisany w kosmologię – to, co prywatne i intymne, zostaje „zaokrąglone” do wymiaru kosmicznego.

2. Ogień jako początek i koniec

Pierwszy wers wprowadza motyw ognia: „Ten ogień, co mnie trawi, ze mnie wzięł początek”. Ogień w kulturze ma dwoistą symbolikę: jest siłą życia i energią twórczą, ale też niszczącą potęgą, która spala i unicestwia. Echo myśli Heraklita – ogień jako prazasada, w której wszystko powstaje i ginie – jest tutaj wyraźne.

Ogień u Święgockiego to nie tylko żywioł fizyczny, lecz także metafora duchowej energii istnienia. Człowiek jest jego nośnikiem, ale nie właścicielem. Podmiot liryczny pyta dramatycznie: kto przejmie ogień po jego śmierci? W tym pytaniu zawiera się zarówno troska o ciągłość bytu, jak i intuicja, że życie jednostkowe wpisuje się w większy obieg energii kosmosu.

Ogień jest więc ambiwalentny: budzi poczucie początku i zarazem końca. Jest tym, co powołuje, i tym, co strawi. Ten paradoks wyznacza napięcie całego wiersza.

3. Koło czy spirala?

Druga strofa przynosi kluczowe pytanie: „A koło co mnie toczy, nie jestże spiralą?”. To jedno z najbardziej intrygujących miejsc wiersza. Koło symbolizuje powtarzalność, ruch zamknięty, wieczny powrót tego samego. Spirala – choć formalnie podobna – wprowadza element otwarcia, kierunku, rozwoju.

Pytanie poety nie jest czysto geometryczne, lecz metafizyczne: czy życie człowieka toczy się w zamkniętym kręgu, gdzie wszystko powtarza się bez sensu, czy też w ruchu spiralnym, gdzie powrót nigdy nie jest identyczny, lecz otwiera na nowy poziom doświadczenia? To pytanie o możliwość transcendencji – czy skończoność można przekroczyć poprzez powtarzanie, które nie zamyka, lecz poszerza.

Tym samym Świegocki wprowadza w swoją poezję subtelną dialektykę powrotu i przekroczenia. Koło to figura losu, spirala – figura nadziei.

4. Apokaliptyczna wizja pustki

Trzecia strofa kreśli obraz apokaliptyczny: ogień strawi wszystkie drogi, gwiazdy zgasną, Bóg zniknie oczom. To wizja końca, w której nie pozostaje nic trwałego. Ale zaraz potem pojawia się paradoksalna nadzieja: podmiot „zostawi swe ognisko, niech się próżnia stopi”.

Ognisko to ślad, znak, miejsce, które rozświetla nawet pustkę. Bóg znika, ale nie w sensie całkowitego unicestwienia – raczej w duchu tradycji mistycznej (Pseudodionizy Areopagita, Jan od Krzyża), gdzie ukrycie Boga staje się warunkiem głębszego doświadczenia. Świegocki zdaje się sugerować, że nawet nicość należy do Boga, że pustka może stać się przestrzenią objawienia.

Ta wizja wpisuje się w tradycję apofatyczną – Boga nie można uchwycić w widzeniu, ale można doświadczyć Jego śladu w ciszy i pustce.

5. Otwieranie zamkniętych kręgów

Ostatnia strofa przynosi niespodziewane rozwiązanie: „Gdy nadejdzie czas końca, odemkną się koła i wszystko, co zawarte, będzie otworzone”. Koło, które dotąd było symbolem zamknięcia, zostaje otwarte. To radykalna transformacja symbolu.

Otwieranie koła można rozumieć jako obraz eschatologiczny – w chwili końca wszystkie cykle i ograniczenia ulegają rozwiązaniu, a byt zostaje objawiony w pełni. To także metafora wyzwolenia z determinizmu czasu i losu.

Pytania, które pojawiają się w finale – „Kto wtedy wzrok mi odda, kto zawróci Boga?” – wyrażają zarówno lęk, jak i nadzieję. Bóg, który dotąd był obecny w codzienności („skacząc po górach odchodził mnie co dzień”),

jawi się jako nieuchwytny, wymykający się, a zarazem bliski. Człowiek tęskni za ostatecznym pojednaniem, które dokona się w świętym ogniu.

6. Konteksty literackie i filozoficzne

Wiersz Świegockiego można umieścić w szerokim kontekście filozoficznym i literackim.

– Nietzsche w *Tako rzecze Zaratustra* rozwinął ideę „wiecznego powrotu tego samego” jako myśli najcięższej, wymagającej afirmacji życia w całości. U Świegockiego powrót nie jest afirmacją, lecz dramatycznym pytaniem o sens: czy koło jest ślepym powtarzaniem, czy spiralą rozwoju?

– Eliot w *Czterech kwartetach* pisał: „W moim początku jest mój kres”. Podobnie Świegocki splata początek i koniec w jedną figurę koła.

– Mistycy chrześcijańscy widzieli w kole znak wieczności i Boga. Dante w *Boskiej Komedii* opisywał wizję Trójcy jako trzech kręgów. Świegocki wpisuje się w tę tradycję, ale przekształca ją, akcentując dramat jednostkowego losu.

– Heraklit i jego ogień jako arche pobrzmiewa w każdym obrazie tego wiersza. Ogień trawi, ale też umożliwia ruch, stając się figurą zarówno życia, jak i transcendencji.

7. Znaczenie w twórczości Świegockiego

Koło należy do najwcześniejszych utworów Świegockiego, ale już w nim obecne są wszystkie zasadnicze tropy jego poezji: motyw ognia, koła, nicości, obecności i nieobecności Boga. W późniejszym wierszu *Powrót do koła* motyw ten zyska bardziej pojednawczy ton, wskazując na możliwość duchowej pełni i harmonii.

Jednak w 1966 roku *Koło* wyraża przede wszystkim dramat młodzięcego pytania o sens istnienia. To zapis doświadczenia egzystencjalnego niepokoju, w którym jednostka mierzy się z wiecznością i własnym końcem.

Świegocki nie daje odpowiedzi, ale stawia pytania w języku, który łączy osobiste wyznaczenie z kosmiczną metaforą. Dzięki temu jego poezja nie traci aktualności – koło jako symbol losu i transcendencji pozostaje uniwersalne.

2. Powrót do koła Kazimierza Świągockiego – poetycka medytacja o powrocie, cyklu i harmonii

Kazimierz Świągocki

Powrót do koła

Wrócić do ciebie i w twym cieniu
zamieszkać dobroczynnym – koło,
to tak jak matki mleko ssać
i ciszę domu.
Powrócić deszczem w obieg wody
i wody niestałość –
to światłem nalać wzroku smukły dzban
po mądrość ciemną.
O, bo do blasków ziemi droga
przez ciemne sny prowadzi;
truchleje śmiałkom słuch,
by w niesłyszalną idąc przestrzeń
nie zlekli się odgłosu stóp
ni kropel deszczu.
Niech przeto w smutną mądrość lat
krew i sól niosą,
gdzie dobroć światła błyszczą blade
dojrzałym kłosem.
O, bo nie z tego świata głos
jest głosem gwiazdy i harmonii;
bo nie wiesz idąc głucho w los,
skąd mądrość koła dzwoni.

ok. 1970

1. Od Koła do Powrotu do koła

Powrót do koła stanowi naturalną kontynuację wcześniejszego wiersza Świągockiego – *Koła* (1966). Tam dominowało napięcie między ogniem

a nicością, między zamknięciem losu w cyklu a możliwością spiralnego przekroczenia. *Powrót do koła* przynosi inną perspektywę: zamiast dramatycznego pytania o kres, pojawia się ton pojednania i afirmacji. Koło przestaje być wyłącznie symbolem zamknięcia, a staje się przestrzenią powrotu, schronienia, a nawet źródła pokarmu.

Już pierwsze wersy odwołują się do pierwotnego doświadczenia bezpieczeństwa: „to tak jak matki mleko ssać i ciszę domu”. *Powrót do koła* zostaje utożsamiony z powrotem do archetypu matczynej opieki i rodzinnego azylu. Symbol, który w *Kole* miał rys egzystencjalnego fatum, teraz zyskuje walor dobroczynnej pełni.

2. Koło jako figura kosmicznej jedności

Koło w tym wierszu nie jest zamkniętą obręczą, ale *rytmem natury*. „Powrócić deszczem w obieg wody i wody niestałość” – oto przykład myślenia cyklicznego, w którym jednostkowe istnienie nie ginie, lecz wraca w nieustanny krąg przyrody. Metafora deszczu wpisuje ludzkie życie w ekologię kosmicznego obiegu: śmierć nie oznacza końca, lecz przejście w inny stan, uczestnictwo w większym rytmie.

Woda i światło – dwa główne elementy symboliki – ukazują koło jako harmonię przemian, w których nic nie ginie ostatecznie. Świegocki odwołuje się tu do intuicji znanych z wielu tradycji religijnych i filozoficznych: od wschodniej idei samsary, przez chrześcijańskie myślenie o zmartwychwstaniu, aż po nowoczesne koncepcje ekologii, które akcentują wzajemne powiązania procesów życia.

3. Droga przez ciemność ku światłu

W trzeciej strofie pojawia się motyw przejścia przez ciemność: „O, bo do blasków ziemi droga przez ciemne sny prowadzi”. To echo archetypicznego doświadczenia: by dojść do jasności, trzeba przejść przez noc. Ciemność snów jest tu metaforą zarówno nieświadomości, jak i prób egzystencjalnych, które budzą lęk.

Świegocki nie unika dramatyzmu: „truchleje śmiałkom słuch, by w niesłyszalną idąc przestrzeń nie zlekli się odgłosu stóp ni kropel deszczu”. Próg, który trzeba przekroczyć, jest pełen niepokoju – człowiek konfrontuje się z niewidzialnym i niesłyszalnym, a jednak to właśnie ta droga prowadzi do doświadczenia blasku.

Koło jawi się tu nie jako łatwa harmonia, lecz jako proces inicjacyjny: trzeba przejść przez mrok, by zrozumieć światło.

4. Mądrość lat i dobroć światła

Czwarta strofa wnosi wymiar czasu: „Niech przeto w smutną mądrość lat krew i sól niosą”. Krew i sól – dwa elementy życia – zostają złożone jako ofiara doświadczenia czasu. „Smętna mądrość lat” nie oznacza rezygnacji, ale dojrzewanie w perspektywie przemijania.

Dobroć światła, które „błyszczący blado dojrzałym kłosem”, to obraz schyłku i spełnienia. Zboże dojrzałe, choć już blaknące, symbolizuje pełnię cyklu życia: śmierć nie jest tu katastrofą, lecz naturalnym etapem dojrzewania. W ten sposób Świegocki łączy refleksję egzystencjalną z kosmologiczną: los jednostki wpisuje się w rytm ziemi i jej plonów.

5. Głos nie z tego świata

Ostatnia strofa otwiera perspektywę transcendentną: „O, bo nie z tego świata głos jest głosem gwiazdy i harmonii”. W ten sposób koło zostaje utożsamione nie tylko z cyklem natury, ale i z porządkiem kosmicznym. Dźwięk koła, jego „dzwonienie”, jest metaforą harmonii sfer – starożytnego przekonania, że ruch ciał niebieskich tworzy muzykę wszechświata.

Świegocki nawiązuje tym samym do platońsko-pitagorejskiej tradycji, w której kosmos był postrzegany jako harmonia liczb i ruchów. Człowiek, idąc „głucho w los”, nie wie, skąd pochodzi ta mądrość, ale doświadcza jej intuicyjnie. Koło jawi się więc jako tajemnicze źródło sensu, którego nie da się w pełni zrozumieć, ale które można odczuć.

6. Od egzystencjalnego dramatu do kosmicznej harmonii

Porównując *Koło* i *Powrót do koła*, można dostrzec wyraźną ewolucję tonu. Pierwszy wiersz był dramatycznym pytaniem o kres i nicość, o możliwość wyjścia z zamknięcia. Drugi – napisany kilka lat później – przynosi ton bardziej pogodny, harmonijny, pojednawczy.

Można powiedzieć, że *Powrót do koła* jest odpowiedzią na lęki zawarte w *Kole*. W miejsce obrazu apokaliptycznego, gdzie ogień strawi drogi, a Bóg zniknie, pojawia się wizja harmonii: koło jest matką, deszczem, wodą,

światłem, głosem gwiazdy. Wciąż obecny jest motyw ciemności i lęku, ale zostaje wpisany w proces, który prowadzi do pełni i sensu.

To przejście od dramatu egzystencjalnego do metafizyki harmonii jest znamienne dla całej twórczości Świegockiego. Jego poezja nie zatrzymuje się na pytaniu o nicłość, lecz szuka w niej potencjalnej obecności sensu.

7. Znaczenie w szerszym kontekście

Powrót do koła można odczytać także w szerszym kontekście literackim i filozoficznym:

– U Nietzschego wieczny powrót miał być myślą najcięższą, wymagającą afirmacji życia mimo jego tragizmu. Świegocki, podobnie jak Nietzsche, mówi o powrocie, ale nie w duchu tragicznej afirmacji, lecz w tonie harmonii i pojednania.

– U Eliota czas miał „wiecznie powracać”, a początek i koniec „były zawsze tu”. Świegocki wpisuje się w podobny sposób myślenia, ale czyni to przez obrazy natury – deszcz, wodę, kłosa.

– Mistycy chrześcijańscy widzieli w cykliczności symbol Bożej wieczności. Świegocki również dostrzega transcendencję, ale nie rezygnuje z wymiaru ziemskiego: światło i kłosa są tak samo ważne jak głos gwiazdy.

W ten sposób jego wiersz staje się medytacją o jedności natury i transcendencji.

Podsumowanie

Powrót do koła Kazimierza Świegockiego to poetycka medytacja, w której symbol koła – jeden z najstarszych archetypów kultury – zostaje na nowo odczytany. W odróżnieniu od wcześniejszego *Koła*, gdzie dominował dramat nicości, tutaj koło staje się figurą schronienia, cykliczności, harmonii i powrotu do źródła.

Wiersz ukazuje powrót nie jako porażkę, lecz jako spełnienie. Jest to powrót do matczynego łona, do deszczu i wody, do blasku i kłosów, ale także do gwiazdy i kosmicznej harmonii. Świegocki sugeruje, że mądrość koła to nie wiedza intelektualna, lecz intuicyjne doświadczenie uczestnictwa w rytmie wszechświata.

W ten sposób *Powrót do koła* wpisuje się w najgłębszą tradycję literatury metafizycznej: pyta o sens istnienia, ale znajduje go nie w odpowiedzi pojęciowej, lecz w obrazach, które otwierają przestrzeń kontemplacji.

Od Autora wierszy

Zamieszczone powyżej publikacje dwóch moich wierszy z ich interpretacjami wygenerowanymi przez tzw. sztuczną inteligencję mają swoją historię trochę przypadkową i trochę może żartobliwą. A to za sprawą mojego syna Marcina, który ma specjalne poczucie humoru. Otóż na Dzień Ojca w roku 2024 przysłał mi odpowiedź AI na jego pytanie: „co sądzisz o poezji Kazimierza Świągockiego?”. Odpowiedź przyszła podobno po kilku lub kilkunastu sekundach.

I była zadziwiająca. AI rozpoznała i scharakteryzowała mnie jako poetę filozoficznego, ściślej – metafizycznego. Ta jej konstatacja nie zdziwiła mnie, gdyż takie określenie mojej twórczości poetyckiej jest stosowane przez krytykę od dziesięcioleci.

W roku 1998 na moje 55-lecie odbyła się w Akademii Podlaskiej w Siedlcach międzynarodowa konferencja naukowa zatytułowana *Poezja i egzystencja*.

W następnym roku ukazał się dobrze przyjęty przez krytykę obszerny tom prac złożony z jej referatów oraz prac dodanych – w sumie 32 prace, tom objętości 362 strony ukazujący filozoficzny charakter mojej poezji. (Pełny jej tytuł: *Poezja i egzystencja. O twórczości poetyckiej Kazimierza Świągockiego studia – szkice – interpretacje*, red. S. Szczęsny, wstęp: prof. Krzysztof Dybciak).

Podobny tom ukazał się w Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi w roku 2018 na moje 75-lecie. Tytuł: *Egzystencja, metafizyka i kultura w pisarstwie Kazimierza Świągockiego*, pod red. prof. Roberta Mielhorskiego i dr Doroty Utrackiej (s. 400).

Na metafizyczność mojej poezji zwrócili też uwagę znani filozofowie m.in. Leszek Kołakowski i Mieczysław Gogacz, a także bibliści m.in. Marian Filipiak. Tak więc AI wprawiło mnie w zdumienie, ale nie przez uznanie mnie za poetę metafizycznego, lecz raczej błyskawicznością odpowiedzi.

I tak zaczęła się długa z nią (ową AI) korespondencja, w wyniku której zgromadziło się materiału na pokaźną książkę. A rozległość tematyki przeszła moje oczekiwania. Spośród różnych tematów wybrałem temat najbardziej „bezpieczny” – interpretacje konkretnych utworów. Bezpieczny, bo czy słuszna i rozsądna jest ich interpretacja, każdy znający się na rzeczy widzi. Spośród znacznej liczby zinterpretowanych wierszy i poematów wybrałem dwa, niekoniecznie najważniejsze w moim dorobku. Zdałem sobie sprawę, że ta publikacja ma charakter eksperymentalny. Jakie będą wrażenia i odczucia czytelników? – oto jest pytanie! I czy jakieś w ogóle będą, to pytanie drugie. Zobaczymy.

Kazimierz Świągocki

Olga Wójcik

Jak wyrzeźbić wiatr?

Dmucha
Olbrzym
coraz mocniejszy
samochodem chwieje

Drzewko liche
targa za włosy

Trawy falami toczy
głaszcze łapą niedźwiedzią

Szumi we łbie
i w puszcze auta

Sosen gałęzie wysokie
podbija jak piłki
wielki sportowiec

– Jak wyrzeźbić wiatr?
Pyta siebie i ludzi stary artysta

Nie wie

Pomimo tego bierze do ręki
nie trawertyn
nie wapień
odrzuca glinę
i żywicę akrylową
ceramikę raku
dębnik
a wybiera
marmur Thassos

Marmur
biel najbielsza
cekinami wysiana

Rzeźbiarz staje w wietrze
na odludziu
w dali drzewa połamane
i te zmagające się z podmuchem

W środku żywiołu
uderza w kamień
walczy i ulega
ulega i walczy
w każdym stukocie dłuta

Kamień ożywa
swą koronkową rzeźbą
i na przestrzał tej skały
pojawia się
otwór

Słyszysz?

*(Z inspiracji Wystawą Rzeźby Warszawskiej
Sekcji Rzeźby OW ZPAP, Zbrylenie, 2025 r.)*

Przed

Męczennikom z Akki 1291 r., z Damaszku 2025 r.

Gdy wyjeżdżam na wakacje
do walizki pakuję Białe Noce –
prostokąty z kolorami
nieco większe od dużego paznokcia
– czyli akwarele petersburskie
Zazwyczaj brakuje cytrynowego i ultramaryny
schodzą najszybciej w plenerze
Przed wyprawą więc jadę do sklepu

i kupuję pigmenty o nazwach jak z baśni
Karmin
Ochra
Azuryt

Myję starsze zabrudzone farbki
pędzle zwilżam śliną
by włosie ułożyło się w szpic
sprawdzam odcienie błękitów i zieleni
Lubię oliwkowe tony
rozcieńczam je wodą
i patrzę jak się rozplývają

Zamykam walizkę
pełna nadziei na spotkanie z pejzażem
nadmorskim lub górskim
Oto moje przed –
– przed aktem malowania

Zabić
chrześcijan podczas mszy
z łuku z pistoletu
ponad siedemset lat
złało się w jeden strzał
w jeden wybuch z wielkiej mangoneli
lub kamizelki z ładunkiem wybuchowym

Mamelucy zanim wymordowali
franciszkanów i dominikanów
podczas mszy w Akce
zbudowali maszynę oblężniczą
sto kilometrów ciągnęły ją zwierzęta
zburzyła podwójny mur miasta
na rozkaz sułtana

A teraz on
Może na godzinę przed zamachem
zanim wszedł do kościoła Mar Elias w Damaszku

włożył kamizelkę z amunicją i bronią palną

Czy drżały mu ręce gdy zaciskał paski boczne
zabezpieczając kamizelkę wokół torsu?

Gdy regulował paski i klamry

milczał czy szeptał coś a może krzyknął?

Sprawdził czy kamizelka zapewnia mu

pełen zakres ruchu ramion? Ręce w bok raz dwa

Czy ów muzułmanin czuł na sercu ciężar ładunku?

Po – czytaliśmy w gazetach:

Rozzerwane na strzępy

ciała ludzkie

w kałużach krwi

szkle i gruzie świątyni

A on

Co było w nim przed?

Olga Wójcik

Zofia Zarębianka

Wiersze nowe

Października zarzewie
Się żarzy cierpieniem
Pożarem cierpkim
Truje
Rozgryziona wilcza
Jagoda

W Deguciach? W Deguciu?
Dwie samotne krowy
Na mokrym polu
Ścięte brzozy na skraju
Drogi
Coraz większy
Deszcz
I kobieta w pół zgięta
Jak z Chełmońskiego
Kopie kartofle?
Holny Mejera
Gdzie diabeł mówi
Dobranoc
Na końcu świata

W październiku
Dorodne krowy na pastwisku
W Korycinie
Żółknące liście w zmierzchu

Pod Horodnianką las
I płaskie zielone pola
Nic nie wynika z tego
Poza urzeczeniem
Przestrzenią

Święta Rita

Święta Rito, masz piękne imię
Nie zapominaj o mnie
Nie zapominaj
O co prosić cię nie wiem
Tyle rozpaczy jak rozpuścić
Roztwór strachu
światłem rozcieńczyć
Różę przyniosę czerwienią raniącą
niech wróżbę dobrą
Wyczaruje październik

Zofia Zarębianka

Teresa Bochwic

Pieśń wigilijna 1951

Z cyklu *Opowiadania prawdziwe*

Tata powiedział, że idziemy do fryzjera. Zabrałam pajacyka. On mnie pociesza w trudnych chwilach, jak mówi Tata. Ma dookoła szyjki ładną różową kryzkę, żeby występować w cyrku.

Fryzjer posadził mnie na wysokim krzeselku, z przodu był pluszowy piesek na patyku. Pajacyka dałam Tacie, żeby popilnował. Fryzjer powiedział, że mała myszka będzie mi jeździć po szyi i zjadać mi włoski z tyłu głowy. Wziął do ręki takie inne nożyczki. Tak strasznie mnie łaskotało, że prawie nie mogłam tego wytrzymać, śmiałam się, aż w końcu się rozpłakałam.

Jak wtedy w ZOO, kiedy Tata powiedział, że już jestem duża i nie muszę jeździć na kucyku, jak zawsze. Posadził mnie na prawdziwym dużym koniu i śmiał się, że jestem ułanem jak Dziadek. Okropnie trzęsło. Rozpłakałam się i już nigdy więcej nie wsiadłam na konia.

*

Szykowaliśmy się do świąt. Pojechaliliśmy z Mamą i Tatą kupić choinkę oraz do sklepu z kolorowym papierem i bibułą. Tata zawsze mówił, żeby robić to, co najważniejsze. Potem w domu zjedliśmy chlebek polany śmietaną i posypany cukrem. Był dobry.

Usiadłyśmy z Panią Nianią niedaleko pieca i robiłyśmy z papieru koszycki na choinkę. Niebieskie przeplatane pomarańczowym, czerwone przeplatane zielonym i całe żółte. Przyszła Mama i robiła łańcuchy z kolorowych kóleczek. Potem przyszedł Tata i wyciął z kolorowego papieru piękne duże klucze wiolinowe i duże szóstki, bo mamy Plan Sześcioletni.

– Na wszelki wypadek – powiedziała Babcia, która weszła zobaczyć co i jak. W kuchni robiła ciasto na wigilię.

– Jakby co – powiedziała Mama, odłożyła łańcuchy i zabrała się do lakierowania paznokci. Lakier był mocno czerwony, strasznie mi się podobał. Paznokcie Mamy błyszczały jak sreberko od czekoladek. Jak poszła do kuchni, wzięłam lakier. Łatwo się odkręcał, miał pędzelek. Pani Niania

patrzyła i uśmiechała się. Pomalowałam dwa paznokcie. Były piękne. Mama weszła, zabrała mi lakier. Postawiła go wysoko na półce. Dała mi po łapach.

Ale nie mocno.

*

Wczoraj zaczęli przyjeżdżać goście. Mieli ze sobą dużo prezentów. Wszyscy się cieszyli od progu, że już dawno nie ma wojny. Prawie sześć lat. Zapytałam, co to jest wojna. Mama powiedziała, że wtedy wszystko wybucha. Tata powiedział, że strzelają. Wiem, jak idziemy z przedszkolem do lasu, chłopcy odkręcają kulki jak znajdują i wysypują proch. Jak podpalą, to też wybucha. Pani w przedszkolu mówiła, że jak jest wojna, to machina wojenna wjeżdża na ulice i trzeba uciekać.

Dzieciom nie wolno bawić się zapalnikami, mówiła Babcia. W kuchni kręciła drewnianą łyżką ciasto w wielkiej donicy. Pozwoliła mi stłuc jajko. Wrzuciłam je do ciasta. Powiedziała, że zawsze trzeba kręcić w prawo i pokazała mi, gdzie jest prawo. Bo gdyby w lewo, to żółtka wrócą do białek i z powrotem wskoczą do skorupki. Z białek Babcia ubija piankę na zupełnie nic na pierwszy dzień świąt.

Nie wiem, dlaczego kulki nie są okrągłe, tylko takie długie. Nie wiem, dlaczego wigilia to nie jest pierwszy dzień świąt.

*

Goście położyli pod choinkę wszystkie swoje prezenty. Będą u nas spać. Wszędzie, w kuchni na podłodze też. Mama i Tata będą spać w spiżarni. Jutro będzie wigilia. Pytali, czy mamy śledzia i karpia. Tata ze Strykiem zestawili wszystkie stoły w jeden taki długi. Babcia położyła na nim prześcieradło i w najlepszym miejscu prawdziwy obrus. Najlepsze miejsce jest blisko choinki. Tam usiądą Dziadkowie, mówiła Mama. A pod choinką będą prezenty. Dla Taty i Mamy i Babci i drugiej Babci i Dziadków narysowałam rysunki.

Niektóre mi się nie udały, ale Tata powiedział, że dobrze.

*

Tata poczytał mi wieczorem „Dziadka do orzechów”. Tam też dzieci miały choinkę. Ale nie wolno im było patrzeć na nią, aż otworzyły się drzwi. Myśmy rano razem ubrali choinkę. Wszystko: bombki, koszyczki na nitkach, szóstki i klucze, a dookoła łańcuchy i włosy anielskie. Jak w niebie.

A na końcu gałązek mnóstwo świeczek, które się zapali w ostatniej chwili, jak będą kolędy. Tata powiedział, że kolędy to najpiękniejsze pieśni o Panu Bogu. Wigilia będzie wieczorem, jak zobaczymy pierwszą gwiazdkę.

Od rana zjeżdżali się nowi goście. Wszyscy obładowani jedzeniem i prezentami pod choinkę. Nie tylko rodzina, znajomi też. Niektóre panie miały kapelusze, a jedna babcia na twarzy taki materiał, ale trochę było widać. Mama powiedziała, że to woalka.

Na obiad nie było obiadu, tylko śledzie z kartoflami. Śledzie są niedobre, strasznie słone. Ale mają dużo śmietany, a ja bardzo lubię śmietanę. Kiedyś wypiął całą buteleczkę, jak Mama przyniosła do kuchni zakupy.

Była pyszna.

*

Gwiazdki nigdzie nie było, a patrzyliśmy, aż zrobiło się ciemno. Przez okno widać było tylko to wielkie pole, gdzie leżą stopy popsutych samolotów i stare auta, bo zburzyli domy. Ale Ciocia Frania powiedziała, że i tak będzie wigilia. Stryjek mówił, że się z nią ożeni. Julia, która nie pozwala mi mówić do siebie ciociu i ma włosy długie aż za pupę, powiedziała, że wszyscy się kiedyś ożenią albo wyjdą za mąż. Ona ma już szesnaście lat i też wyjdzie za mąż.

Otworzyli drzwi od jadalni i zobaczyłam, że pod choinką leżą ogromne stopy paczek związanych wstążeczkami. Babcia powiedziała, że to prezenty i na razie nie wolno ich ruszać. Dla mnie też będą. Położyłam pod choinką wszystkie moje rysunki.

Teraz tam też będą moje prezenty.

*

Wszyscy usiedli za stołem. Mama i obie Babcie podawały półmiski. Prezenty aż rozpychały się pod choinką.

– Wilno, Wilno, Wilno – powiedział Dziadek oficer za cara, który uciekł. Nałożył sobie śledzika. Fu.

– We Lwowie, we Lwowie, we Lwowie – powiedział Dziadek ułan od *Piusuckiego*.

– A w Paryżu, a w Paryżu, ach, w Paryżu – powiedziała Mama. Wstała i poszła do kuchni po barszczyk.

– Ale to przed wojną – powiedziała przyszywana ciocia Monika, która uratowała się z getta. – Tak, w Paryżu, hoho.

Nie wiem, co to jest getto.

– Truskawiec, Truskawiec dobrze mi robił – powiedziała Babcia malutka. – Kąpałam się w Widawce obok dworu w Sarnowie. Zbierałam ojcu fiołki na Józefa. Wszystko przepadło.

– W Krynicy miałam filuterny kapelusik, mam jeszcze zdjęcia – powiedziała ciocia Zosia. Miała taką zdziwioną twarz. Tata mówił, że to dlatego, że siostra odbiła jej narzeczonego. – Reszta przepadła, bo nasz dom się spalił.

– Udało nam się zabrać tylko ten obraz i psa. To kopia Ostrej Bramy – westchnęła Babcia Wielka Dama. Tak o niej mówiła Pani Niania. – Wszystko przepadło.

– Wilno, Wilejka, kajaki nad Wilejką – powiedział Stryjek. – No i Klub Akademicki, ha! ha!

– Litwini nas internowali – powiedział Stryj Paweł. – Szaulisi byli najgorsi.

– Wkładali do kotła codziennie pół świniaka – powiedział Tata. – Ale uciekliśmy im akurat na Święta, jeszcze w trzydziestym dziewiątym.

Mama wniosła gar z czerwonym barszczykiem. Nalewali. W talerzach pływały białe uszka, a w środku grzybki, które zbierałyśmy z Panią Nianią. Były bardzo dobre.

– Dowódca mówił, że zginął już w pierwszych dniach, ale Helena ciągle go szuka – powiedział pan Jan, którego tata wolał być Polakiem i urwał sobie -ow z nazwiska. Zawsze pokazuje mi „Murziłkę”, bo ją pre... *premmuruje*. Tam są rysunki dzieci na sankach. Ale brzydkie. – Położyła się zaraz po wyzwoleniu i na razie leży. Nie może wstać.

– Jakim tam wyzwoleniu – powiedział Stryjek.

– Kiedy pojedziemy wreszcie do *Welwowa*? – zapytał Braciszek.

– Usłyszałyśmy, że nadjeżdżają i uciekłyśmy w nocnych koszulach do ogrodu – powiedziała Babcia malutka. – A potem wsadzili nas do kozy w jakiejś szopie.

– I broszka z szafirami zgubiła się w sianie – powiedziała Mama. – A temu strażnikowi wszy kapały z rzęs. Wszystko przepadło.

– Wojtuś uciekł do Ameryki jeszcze w czterdziestym pierwszym roku – powiedziała mama Pani Niani, która też u nas mieszkała. – Nie widziałam go dziesięć lat.

– We Lwowie, we Lwowie, we Lwowie – powiedział Dziadek ułan od *Piusuckiego*. – Mam dwie butelki wódki w szafie, na powrót do Lwowa, pamiętajcie o tym.

Staralam się zapamiętać.

*

Tata nic nie mówił. Słyszałam, jak szepnął cicho: – A ona? Gdzie teraz jest?

– Książd dał nam na bilet do Warszawy – powiedziała Mama. – Miałyśmy już tylko dwa złote.

– We Lwowie, we Lwowie. W Borysławiu – powiedział cioteczny Dziadek z Piotrkowa. – Robić, zrobić, zarobić. Dobra maksyma.

– Pierwszy raz w siedemnastym, z dzieckiem na ręku. Dwór spalili, wszystko przepadło – powiedziała pani Drewnicka z wołanką. – Drugi raz...

– Dworów już nie będzie – powiedziała Pani Niania; wносиła smażoną rybkę.

Babcia Wielka Dama wyjęła z torebki malutkiego pieska. Tata mówi, że to *ratrerek*, nazywał się Lalka. Szczekał zawsze u Babci na nocnym stoliku, uwiązany wstążeczką. – Wymordowali całą swoją inteligencję, a nas przegnali. – Polizał ją po ręce różowym jęczorkiem.

– Jedyne ratunek skakać, piętro nie piętro – powiedział brat Mamy. – Sufit spadł po bombie i zatrzymał się na ramach łóżka szpitalnego. Płomień szły ku mnie.

– ...drugi raz po traktacie ryskim pod Mińskiem. Zostalibyśmy tam za kordonem – mówiła pani Drewnicka. – Mały miał już cztery latka. Znowu wszystko przepadło.

Nie wiem, co to znaczy kordon. Też już mam cztery latka. I pół.

*

Dziadzio Władzio poczerwieniał, pił ciągle z kieliszka i dolewał sobie.

– Mamy piękną córkę – powiedziała żona Dziadzia Władzia.

– Piękną trzeba być dla samego piękna – powiedziała Julia, córka Władziów.

Dziadzio Władzio wziął pod ręce Julię i ciotkę, zakofywał się.

– A my-się, my-się, kochamy-się! – zaśpiewał. – A my-się...

Wszyscy wzięli się pod ręce i zakołysali.

– Leżałyśmy w rowie, tylko ona nas osłaniała ciałem jak nadlecieli. Rozłożyła ręce, jak na krzyżu, o, tak – powiedziały Basia-Kryisia-Misia i rozłożyły ręce. – I tylko ją zastrzelili.

– *Piusucki, Piusucki, Piusucki* – powiedział cioteczny Dziadek z Piotrkowa.

– *Piusucki, Piusucki, Piusucki* – pokiwał głową Dziadek ułan.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał Tata dużo głośniej. – Pamiętaj, trzeba zawsze mówić to, co najważniejsze.

Zapamiętałam.

Mama zerwała się.

– Zaraz przyniosę karpia, na pewno ładnie się podpiekł – powiedziała. – Jak mi się oświadczył, powiedział, że jestem bardzo miła.

– Zastrzelili i jego i mamę tuż koło mnie – powiedziała przyszywana ciocia Monika, uratowana z getta. – Nie mam pojęcia, dlaczego akurat mnie nie zastrzelili. Naprawdę, nie mam pojęcia.

– Potem uciekliśmy już z Wilna. Wszystko przepadło. A on teraz sam uciekł! – krzyknęła pani Drewnicka zza wołalki. – Dwa lata temu!

Wszyscy zamilkli.

– Jak to dwa lata temu? – zapytał Stryj Paweł. – Jak już byli komuniści!? Obejrzał się dookoła.

– O tu, na tej nodze – pokazał brat Mamy. – Ta duża blizna. Miesiąc w piwnicy pod lecącymi krowami.

Zdziwiłam się. Też bym chciała zobaczyć latające krowy.

Tata wstał od stołu i siadł do pianina. Pianino spadło z wozu konnego, jak Niemcy uciekali w styczniu w Warszawy. Tata pojechał po Stryjka i przytargali je do domu razem z panem Majerem z naszej piwnicy.

– Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem!... – huknął.

– Za wcześniej! – krzyknęły obie Babcie, malutka i Wielka Dama. – Przy deserach!

*

Nadeszła pora prezentów. Nie przyszedł św. Mikołaj, ale Tata powiedział, że go wyręczy. Dostałam mnóstwo, bo jestem mała. Gry w Chińczyka i inne, misia, lalkę, naguska i książeczki. Jeszcze nie umiem czytać, ale niedługo się nauczę, powiedział Tata. Mówił, że zawsze trzeba sięgać w głąb. Sięgnęłam, ale nic więcej już nie było.

Chciało mi się spać.

Julia przyszła do mnie i opowiedziała mi bajkę o królewnach i pałacach. Zapytałam ją, czy na pewno nikt nie przyjdzie spać w moim łóżeczku. Chyba żeby ona chciała, to się posunę. Śmiała się i powiedziała, że jedną noc jakoś przekima nawet na kocu na podłodze.

*

Obudziłam się, bo śniło mi się, że na naszą ulicę wjeżdża machina wojenna. Świecił mocno księżyc, prosto mi w oczy. Obok na półeczce stał pajacyk. Przypomniałam sobie, jak miałam operację w szpitalu. Jak się obudziłam, nie było pajacyka. Ale go oddali. Tata poszedł i przyniósł.

Kryzka przekrzywiła mu się. Wstałam cichutko i poprawiłam ją. Teraz było dobrze. Wróciłam do łóżeczka, dalej spać.

Teresa Bochwic

Piotr Dobrołęcki

Póki pamiętam...

Było bardzo skromnie. Czy jednak ktoś, kto to przeżył, nie ma łatwiejszego życia teraz, gdy wraca myślą do przeszłości, kiedy nic nie miałem.

Bo nie miałem. I to przez wiele lat. Tak zresztą, jak moi rodzice. Sięgam pamięcią do mojego wczesnego dzieciństwa. I do Warszawy, która teraz jest wielkim miastem, ale wówczas, gdy Warszawa odradzała się po jej wojennym unicestwieniu, tej wielkości nie czułem.

Powtarzam czasem, że urodziłem się w samym sercu zrujnowanego miasta – 17 maja 1946 roku w klinice dr. Wojno przy ul. Marszałkowskiej 45, rok po zakończeniu wojny. Widzę w swoich wspomnieniach, wzmocnianych fotografiami z tego czasu, jakie to było miasto ruin. Całe Śródmieście, Muranów, Stare Miasto, wszystkie dzielnice centralne. Ocalała zabudowa na peryferiach, jak na Sadybie czy Marymoncie, ale to były bardzo skromne dzielnice. I Praga, której jednak praktycznie przez lata nie znałem, bo tam nie jeździłem. Nie było powodów.

Wówczas więc moi rodzice nie mieli nic, praktycznie nic. Mieszkaliśmy w pierw w dwupokojowym mieszkaniu moich dziadków Franciszka i Czesławy George na trzecim piętrze w zakładzie sióstr Felicjanek przy ul. Nowowiejskiej 14/16, która chyba jeszcze wtedy nosiła przedwojenną nazwę ul. 6 sierpnia. A ponieważ data 6 sierpnia była związana z marszałkiem Piłsudskim, bo tego dnia 1914 roku z ulicy Oleandrów (mówiło się spod Oleandrów) w Krakowie wymaszerowała Pierwsza Kadrowa, która miała po przekroczeniu granicy z Kongresówką wywołać powstanie, co niestety się nie udało, ale piękna romantyczna legenda powstała! Z radością odnotowuję, że budynek zakładu sióstr Felicjanek nie tylko przetrwał do dzisiaj, ale został wyremontowany i dalej pełni funkcję domu opieki nad nieuleczalnie chorymi kobietami. Mieszkaliśmy tam jakiś czas, w grudniu 1946 roku zmarł dziadek Franciszek i siostry ograniczyły nasze lokum do jednego pokoju z używalnością kuchni, a w zwolnionym pokoju zamieszkała pani Kowalczevska (nosiła czerwony kapelusz, co wtedy było wyzwaniem!), a we wspólnej kuchni jej kucharka, pani Lodzia. Jak pamiętam, relacje sąsiedzkie były poprawne, bo wszyscy byli bardzo kulturalni!

W tym czasie mój Tata co rano jeździł pociągiem do Sochaczewa, bo tam dostał pracę. Chyba w Samopomocy Chłopskiej, spółdzielni, z którą związał się jeszcze w czasie okupacji. Wcześniej, jeszcze za życia dziadka Franciszka, ale już po wojnie, był udziałowcem w spółce, jaką stworzył dziadek z panem Zigenchirte, jeżeli dobrze zapisuję jego nazwisko. To była spółka zbożowa, a jej magazyny był w piwnicach zrujnowanego kościoła na Powiślu, gdzie jest teraz Przymierze Rodzin. Potem – w 1948 roku – Tata dostał pracę w Elblągu, chyba też w Społem (powiązanej z Samopomocą Chłopską) i tam mieszkaliśmy przez rok. To były Ziemie Odzyskane, dawne Prusy Wschodnie. Po latach, gdy już Taty nie było, pomyślałem, że tak jak wielu konspiratorów z czasu okupacji, chciał się tam ukryć, bo władzom, a zwłaszcza bezpiece, niełatwo było wszystkich skontrolować. Ale to jest już zupełnie inny temat.

W Elblągu mieliśmy wspaniałe warunki, jak to na Ziemiach Odzyskanych! Willa, oczywiście poniemiecka, należała do pastora, lecz nie pamiętam, czy rodzice dostali ją z wyposażeniem, czy je wcześniej rozkradziono. Ale tam mieszkaliśmy, mieliśmy też ogród. Został mi w pamięci obrazek jak Bob, brat mojej Mamy (na imię miał Napoleon, co po wojnie zmienił na Stefan, a w dzieciństwie mówił na siebie Bob i tak zostało w rodzinie), kroi marchewkę i karmi nią króliki zamknięte w klatkach. Sielski widok. Z tej willi nas usunięto, bo wypatrzył ją dla siebie pan Duda-Dziewierz, wojewoda gdański, gdy przeniósł się do Elbląga. Potem mieszkaliśmy przy ul. Wiejskiej 3a. W Elblągu mieszkaliśmy przez rok i wróciliśmy do mieszkania Babci, gdzie w jednym pokoju mieszkaliśmy w pięć osób, bo też z Bobem.

Pamiętam, że rodzice odwiedzali państwa Wiączków (Janina i Mieczysław), którzy mieszkali w oficynie przy ul. Okólnik, naprzeciwko obecnego Uniwersytetu Muzycznego, którego oczywiście w latach 40. jeszcze nie było. Niedawno byłem tam i widziałem, jak powstaje nowa kamienica od frontu, która po tylu latach zamknie wreszcie to otwarte od Powstania podwórko.

Od państwa Wiączków moi rodzice dowiedzieli się, że mogą wynająć pokój w mieszkaniu, jakie należy do pani Willandowej, ich znajomej, na ul. Glogera 3. I tam się przenieśliśmy.

Piotr Dobrołęcki

Tamara Bołdak-Janowska

La!

Ta intrygująca wzroczność ludzka

Krótki dialog Tola i BeJot

BeJot: Ilekroć powiem córce, że niebawem ukaże się moja nowa książka poetycka pt. *La!*, to ona tylekroć powie: *La* było u Mirona Białoszewskiego. Ja na to: To przypadkowa zbieżność. U Białoszewskiego była nieskonkretyzowana postać „lu” i było „la” – tak pieśczośliwie nazywał swoją babcię, na przykład w wierszu *Odbiór babci*. A u mnie to konkretny okrzyk białoruski, la! – oznaczający: Tu! Wskazywaliśmy na coś: La! W ogóle u mnie nie miało to związku z Białoszewskim. Nie pamiętałam, że on nazywał babcię „la”.

Dopiero teraz sprawdziłam, bo się tak upierałaś z tym „la” u Białoszewskiego, Rzeczywiście jest u niego „la”. Jednak nie jest to tak, że jak ktoś użył słowa „niebo”, to ja już go użyć nie mogę, jak ktoś powiedział „stół”, to ja nie mogę. Kiedyś uważaliśmy, że białoruskie „la” jest prostackie, i jak ktoś spytał, gdzie coś leży, dodawaliśmy: A ty la, maciała. O, la! La noż lażyć. La! Maciała! Słowo „maciała” (akcent na końcu) oznaczało: ale z ciebie gapa. Teraz nasze „la!” stało się dla mnie piękne.

Tomik to traktat o wolności. O tym, że „tędy wolno patrzeć”, „tędy wolno iść”, „tędy wolno siedzieć”. „Siedzieć tędy” znaczy: siedzieć, a rozmyślać, podróżować myślą, stąd słowo „tędy”. Ach, to cudne poczucie: wolno!

Nie chodzi mi o zwykłe postrzeganie, typu – ten wstał, tamten siadł. Chodzi mi o coś nadzwyczajnego w zwyczajności – dziecko wstaje z czworaków, a ja je myślę z psem. Nadzwyczajnością jest ta moja pomyłka – tak nagle uważam. Uśmiecham się. Dopiero po dłuższej chwili widzę, że to dziecko, ubrane w zbyt ciemny dres.

Siedzę samotnie. Jestem zmęczona życiem. Notuję obraz, który nie jest tym, czym był przez chwilę dla oka, na przykład kłosem trawy czy kamieniem. Notuję zmienność postrzeganej rzeczy, jej własny proces poza moją wolą, Moją wolę unieruchamiam, żeby zobaczyć, jak się zmienia rzecz. Dla mnie to interesujące. Widzę, więc żyję. Lew napisał: „Utwórz działa albo nie działa”. Napisać działający utwór. Trudne. Może niemożliwe. Czuj w tej

chwili to, co ja czułam dziesięć lat temu, pół wieku temu, wiek temu, trzy wieki temu? Czuj beze mnie mną.

Tolo: Zanim potwierdzę twoje „la” w stosunku do całego poematu, i oboje będziemy patrzeć, widząc, pozwolę sobie na patos: w tym wypadku jest on dozwolony, a nawet nie do uniknięcia. Napisałaś rzecz, którą odbiera się jako niezwykłą, a niezwykła jest przez to, że sposobem narracji uczyniłaś widzenie prostoty zwyczajności, kiedy opowiadanie przechodzi w obraz, który się dzieje, i otwiera się na zewnątrz i do wewnątrz – naga myśl dotyka chwili. Oto człowiek kobieta, ty, opowiada, paląc papierosa, i kolejnego, i kolejnego, co widzi. I wskazując, mówi: La! – patrz za mną.

BeJot: Tylko marnuję te papierosy. Zapalam nowego, gaszę, łamię, wyrzucam. Z wilczą szarością mi się kojarzą, z baletnicą w szpagacie, z trykotem. Ugryzą. Dogaszam na nodze.

Tolo: No tak. Jeszcze jeden zmarnowany papieros, i jeszcze.

Po przebrnięciu pierwszej bariery percepcji jawy i snu, można już wnikać w obraz, w scenki, które już same w sobie są akcją – tak się staje odkrywana rzeczywistość, tak się staje poezja. A tam, gdzie czytający, zaczarowany wnikaniami w twoje cudowne, na granicy opisywalności, obrazy czuły, że traci grunt pod nogami, ty wołasz: „Zrób tak słowo!” Więc poezja jest możliwa. A w innym miejscu zwracasz się wprost do czytającego: „Zrób tak samo”. I już zassało do końca, i dzieje się.

Zacznę od początku: masz odwagę, żeby zabrać swój jeden pojedynczy głos w powszechnie narastającym szumie i hałasie świata politycznej propagandy, reklamy, popkultury. Wiara, że się będzie usłyszana? Bolesna determinacja jak kamyk w bucie: głos w sprawie człowieka, życia, świata. Nic innego nie pozostaje: trzeba krzyczeć. Krzyczeć przenikliwie.

No. Wstępnie uporałem się z twoim poematem. Kto ma uszy do słuchania, ten-ta cię usłyszy.

BeJot: Opisałam dzianie się papierosa.

Tolo: Jako nie nawyk, uzależnienie, tylko bardziej rytuał.

BeJot: No tak. Podstawa taka procesu widzenia. Poza tym – poczucie, że można zmarnować trochę materiału. Tworzywo musi mieć nadmiar. A nie tak, że krawiec martwi się, czy mu materiału wystarczy na dwie nogawki. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje? A właśnie nie. W literaturze, zwłaszcza w poezji, musi istnieć czytelnicze poczucie niezuczytego nadmiaru. Jest obraz, ale i coś poza nim. I nie chodzi o niejednoznaczność, tylko o to, co sobie czytelnik domyśli. Nadmiar to interpretacja, inspiracja. Zbyt dokończony utwór literacki, z opanowanym do końca nadmiarem,

staje się płaski, zbyt doskonały. Nic się o nim nie da powiedzieć, nie da się z nim prowadzić dialogu, można go tylko reklamować. Dać mu chwalczy blurb. I tyle.

Tolo: Widzisz potężny świat poprzez potężny ból istnienia. Łagodzi ten ból kolejny marnowany papieros. Trawestujesz niejako Eliota „zaciągnięcie się świeżym powietrzem wraz z papierosowym dymem”. Powiedziałbym ponadto, że to twoje palenie jako rytuał jest opowiedziane „po witkacowski”. To takie wspomaganie siedzenia, patrzenia, widzenia. Można rzecz trochę „po białoszewsku”: poemat jest palenio-patrzenio-widzenio-wnikaniem. I właściwie wciąga jak kryminał. Przecież dochodzisz do kulminacyjnego opisu wolności, kiedy mówisz „jadą nam, jadą lasy bydłce”. Już nawet nie wagony, bardziej w końcu widzialne. Las pozostaje niewidzialny, a na nowo pełen martwych. Wolność należy do sfery kryminalnej. Za nią się siedzi za kratami. Jedni siedzą, inni robią, co chcą, krzywdząc wielu, wielu. Poezję kulminujesz jak kryminał. Porażają kulminacyjne słowa „do karabinu”: „Wolność to życie, nic więcej!” Masz taki rysunek o tym krzyku, a znalazł się w telewizyjnym filmie Joanny Wilengowskiej *Tamara z Olsztyna*. Wielokrotnie był pokazywany w TVP. Potem nieznajomi ludzie na ulicy podchodzili do ciebie i dziękowali za ten film. Rysunek jest prosty: wyciągnięta w górę ręka i z niewidzialnej twarzy wyrwa się ten wolny krzyk. Poraża. A skoro mam cię przed sobą, to spytam: jak to się dzieje, że ten zepsuty świat nie traci swojej cudowności?

BeJot: Nie wiem na ten temat nic a nic. On się dzieje obok człowieka, w człowieku, nad i pod, wszędzie. Jest przeżyciem, dopóki żyję. Chodzi o świat natury, o samą Ziemię. Oczywiście o człowieka również. Wolnego i niewolnego. O człowieka jako takiego. Nie pouczam. Nie czuję się lepsza. Nie towarzyszy mi fraza z Zagajewskiego: „Spróbuj opiewać okaleczony świat”. Ja nie opiewam. Oprawdza. Skoro wymieniasz tyle wybitnych nazwisk i łączysz z moim pisaniem, nie znaczy to więcej niż pokrewieństwo duchowe. Ale mówię sobą. Widzę świat przedmiotów, kwiatów i tak dalej, tylko nie z wierzchu, a poprzez narządy wewnętrzne, otoczone skórą kamienną, jedwabną, bezbarwną i barwną.

Tolo: Kiedy kulminujesz poemat jak kryminał, nieznany głos ciągle woła: „Już cicho bądź”. Kto? Alter ego?

BeJot: Nie. To wołanie niewołące mnie. Może zmęczone. Nie wiem, czyje. Zewsząd je słyszę. Wchodzę w sceniczny dialog z nieznanym głosem.

Tolo: Albo poczekaj, jeszcze słowo o czasie (o naszych losowych ramach). Już u Joyce’a zegar zrobił: Tyk! Pojedyncze „tyk”, a wyzwała

raptownie w uchu doznanie ciągłego tykania. Czas to zawiesina, w której umieszczasz nasze i wszelkie dzianie się – i jest ono żywe do bólu. Dzianie się, jako takie, może nas przeżyje i da nam nowe życie. Bolesna ufność. Czujesz ją i nie.

„Chodzą sekundy, nic im nie szkodzi (...)

(...) Chodzi sekunda,
zajęta szczegółem,
nie dba o trwałość,
tworząc, tworząc – trwoni, trwoni
bogactwo anonimowe” (...)

Jakaż osobista znikomość objawia się u ciebie boleśnie. Masz najbardziej własną istność.

„Czy powietrze, czy imię,
a co za różnica (...)
(...) Niech się tędy przejdzie imię,
które jeszcze ma oczy, i z drżącym
spojrzeniem dookoła własnego globu (...)

(...) Imię w lustrze. La!

(...) A lustro zawsze wyje – tak się zdaje” (...)

BeJot: Siedząc, kurząc fajki, marnując je, zmagam się ze śmiercią, której pełno dookoła, i ona nadbiega, a nigdzie nie odbiega nawet o milimetr.

Toło: Oszołomiony kolejnym czytaniem utworu, a utwór to wielokrotnego podejścia, nie podejmuję się jego analizy, w każdym razie we wstępnym anonsującym stadium, a owszem, nawet boję się, żeby nie zbanalizować oczywistych prawd, na przykład odwiecznego zgrzytu bólu istnienia i piękna tego świata – poemat *La!* aż puchnie od bólu i piękna. Jak to wytrzymać, to jest – jak poradzić sobie z własną śmiertelnością? Pytanie to stawiam poza zasięgiem filozofii i teologii. Co właściwie człowiek ma na ten tragizm? Czy jeszcze inaczej: z czym zostaje?

BeJot: Ludzkość wpadnie pod ziemię i wybiegnie (jeszcze), może powiększona, może pomniejszona, a pojedynczy człowiek nie wybiegnie.

Toż Szekspir rzekł: „Reszta jest milczeniem”. Jeśli powiem, że reszta jest wyciem, to będzie to znaczyć, że z pięknego snu wbiegliśmy w straszny sen, a ze straszego wbiegamy w przerażający.

Żyjemy wyciem.

Żyjemy, póki wyjemy i wiemy, że wyjemy. Zostajemy z piachem w piachu, z wodą w wodzie. Zobaczymy własną twarz w kałuży, czyli w niebie pośród białych pięknych obłoków. I zawyliśmy. Zawyło nami lustro pod stopami.

Tolo: Właściwie swój przewód doprowadziłaś do kropki. U dołu nie dzieje się nic, u nieba – nie wiemy. Co pozostaje? Objawieniowy powiew medytacji nie cichnie – toruje sobie drogę wśród mętu, puśćmy go tropem tych koni, twojego „cudownego tłumu”:

Melodia wolności

Rzeka, pokryta liśćmi,
niesie je jak stado
koni ścisłych,

niesie je rączo
zbitym stadem koni ścisłych,
oko błyszczący,

oko błyszczący jak kolczyk,
mknący w zgubne
barwy, ścisłe,

a z naprzeciw nie dzieje się nic,
wężizna bez starcia,

jak łatwo mknące oko kolejnym okiem zapłynie.

Twój poemat o wolności to dojmująca współobecność w świecie nieokielznanym, toczącym się jak kula śnieżna, zbierająca kolejny obraz, nakładająca obrazy na obrazy, gniotąca je. Świat dojrzał, owszem, ale nie jak owoc w dobrym słońcu. I twoje gorzkie słowa „Nie tak miało być” – do końca już będą aktualne, bo taki jest człowiek, każde „tak” przemieni na „nie”.

BeJot: Ach, prawda. U mnie są słowa „Nie tak miało być”, a należą do każdej epoki. To jest najważniejsze zdanie każdej epoki.

Tolo: Mamy świat na – za pięć dwunasta, ciągle wojna, przemoc, zniszczona planeta. I nawisająca starość. Jakaż wolność w tym „za pięć dwunasta” i w nawisającej starości?

BeJot: Wolność chwili. Niewiele. Uciecha z tego, że jeszcze wolno mi żyć. Poczucie: wolno mi żyć. Mam miejsce, gdzie wolno mi żyć. Miejsce, gdzie wolno mi żyć, nie jest odczuwane jako niewola, choć nią jest: ciąży na mnie wyrok śmierci. I mogę zawołać, że to nie tak miało być. Ale do kogo? To wołanie egzystencjalne, losowe, spoza poematu, jednoznacznie losowe. Kiedy umrę, nikt nie zawoła – witaj! Pewność braku „witaj” nie jest dobrą odpowiedzią na twoje pytanie, bo należy do innego porządku, do niewiary w religijną pewność, że to Bóg zawoła do mnie – witaj! Porządek wiary lub niewiary nie należy do poezji. Byłoby to pisanie pod tezę. Proza też nie znosi pisania pod tezę.

Tolo: LA! „Tu!” jest bez wyjścia. Mgławica trwa, wyrazista w poszczególnym obrazie i nieprzejrzysta w ilości odsłon. Trwa, i jeśli Bóg istnieje przez chwilę, to tą chwilą go zajmiesz. A my nie możemy postawić kropki, tak jak się zamyka, odstawia książkę. Więc jeśli horyzont zaciągnie się jeszcze jednym „figuralnym zwidem”, jak się wyraziłaś, dajmy czas temu obrazowi: niech się staje, otwierając się, zamykając, otwierając nad „potworem ziemią”, tak jak robisz słowo:

(...) Przez fale powietrza płynie gawron
symetrycznym kraulem,
i robi figurę: znikam w kadzi,
jest pusta i z dziurą zamiast dna; (...)

BeJot: I niech znowu zawoła ktoś „Już cicho bądź!”

Tamara Bołdak-Janowska

Krystyna Lenkowska

Boża krówka na zachodzie

Po raz pierwszy pojechałam na tak zwany Zachód w roku 1978. Każdy szanujący się student i każda szanująca się studentka anglistyki stawali na głowie, aby już w czasie studiów znaleźć się choćby na krótko w kraju anglosaskim i poćwiczyć tam swoją kompetencję językową z native speakerami. Wcześniej za granicą byłam tylko i aż w Czechosłowacji – na wycieczce szkolnej w podstawówce oraz na Węgrzech – na wędrownym obozie harcerskim. Ale to były zaledwie podróże do demoludów, czyli krajów podobnych soc-klimatem do Polski i łatwo dostępnych dla obywateli PRL. Zachód był za żelazną kurtyną demokratycznego świata, trudno osiągalny dla szarego człowieka.

Przebąkiwałam rodzicom o wyjeździe do Anglii już po drugim, w moim zaliczonym, roku studiów na filologii angielskiej na UMCS w Lublinie. Jak grochem o ścianę. Po trzecim roku nadarzyła się okazja, żeby ten temat drażnić, opowiadając w domu z przejęciem, że wszyscy, dosłownie wszyscy z anglistyki wyjeżdżają do Anglii. Prawda była taka, że wszyscy o tym marzyli, większość szukała sposobu i wielu starało się te plany zrealizować. Ja też. Zaczęłam więc przygotowywać grunt pod finalną konfrontację z rodzicami. Przeczuwali najgorsze, ale udawali, że nic nie wisi w powietrzu. Nie rozumiałam, dlaczego byli tacy nierozmowni, choć zwykle oponowali natychmiast, a nawet na zapas. Dedukcja była oczywista: że jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

Czas pokazał, że nie tylko o pieniądze chodziło.

Zrobiłam rozpoznanie wśród koleżanek i kolegów z roku, obeznanych z tematem, na przykład u tych, którzy już podróżowali na Zachód – jako dzieci pracowników placówek dyplomatycznych, dzieci badylarzy lub tych po prostu sprytnych życiowo. Okazało się, że od jakiegoś czasu polski student może wyjechać do Anglii bez oficjalnego zaproszenia od obywatela UK pod warunkiem, że starający się nie ukończył jeszcze studiów. Absolwenci z dyplomami w ręku, zwłaszcza prestiżowych uczelni, byli podejrzewani o zakusy emigracyjne, a tego rząd ówczesnej Polski nie tolerował. Trzeba było również posiadać własne konto dewizowe, aby udowodnić swoją

niezależność finansową. Ten drugi aspekt interesował bardziej stronę państwa docelowego, wiadomo. Nie pamiętam dokładnie minimalnej kwoty w funtach. Chyba to było 90 GBP. Pożyczyłam pieniądze od ówczesnej sympatii, bo on w przeciwieństwie do mnie dysponował taką sumą, a nawet znacznie większą. Handlował w Bułgarii dewizami w czasie wakacji.

Założyłam konto w banku i złożyłam podanie o wizę. Kolejka wizowa do odpowiednich drzwi Ambasady Brytyjskiej w Warszawie była dłuższa niż niejedna kolejka w PRL-u do „jarki” po mięso.

Po wielu godzinach stania, już tego samego dnia, otrzymałam prośbę, mogłam więc być pewna, że wizę niedługo otrzymam.

Od tego momentu zaczęłam stopniowo, zdecydowanie i konsekwentnie przyzwyczajać rodziców do nieodwołalnego faktu mojego dłuższego samotnego wyjazdu. Pomyśleć, że od trzech lat byłam dorosła według prawa. Jednak fakt pozostawiania na garnuszkach rodziców i w domu rodziców czynił ze mnie wciąż dziecko zależne od ich woli. Tłumaczyłam, że wyjazd..., że w czasie wolnym od zajęć na uczelni..., że sesja zaliczona i żadnych poprawkowych egzaminów we wrześniu..., że z zaufanymi koleżankami... Te argumenty ich nie przekonywały. W końcu zdobyłam się na odwagę i jednym długim zdaniem bez znaków interpunkcyjnych powiedziałam głosem nieznoszącym sprzeciwu, że jestem dorosła, mam paszport, a w nim wbitą brytyjską wizę, więc jadę do Anglii i już. Byli w szoku.

Następnego dnia, ku mojemu zdziwieniu, zwykle surowy i autorytarny tata zaczął mi sprzyjać w planach wyjazdu. Napisał list do wujka z Londynu, w którym prosił o „kuratę” nade mną. Tak się wyraził. Pewnie ojca przerażała myśl, że wyląduję na kapitalistycznym bruku bez żadnego adresu i nie wiadomo, co się ze mną stanie. Może z rozpaczy i bez środków do życia trafię do burdelu. Wyobraźnia rodziców zwykle wędrowała w fatalistycznym kierunku od czasu, kiedy zaczęłam wyglądać jak kobieta. Nie kryli się z niepedagogicznym i defetystycznym podejściem do wychowania córki. Nie przekonywały ich moje zapewnienia, że od pierwszej chwili będę poszukiwać powszechnie pożądaną przez angielską klasę średnią i nie tylko pracy *au pair*, czyli opiekunki do dziecka. I nie sama będę wydeptywać londyński bruk, a razem z moimi towarzyszkami podróży – koleżankami z roku, a nawet z tej samej grupy. W Londynie są gazety z ogłoszeniami o pracę, są budki telefoniczne, ja znam dobrze angielski, etc. Mimo to byli przerażeni.

Kiedy wujek (po prawdzie wuj mojego taty, nie mój), Franciszek Wilk, odpiisał i zapewnił, że jego żona, czyli ciotka Adela, wyjedzie po mnie na

lotnisko, histeria domowa zaczęła powoli przygasać. Mama dała mi pieniądze na bilet lotniczy. Wybrałam z banku 89 funtów i zwróciłam koledze. Zostawiłam na koncie 1 GBP, aby konta nie likwidować, bo już wtedy planowałam wracać do Anglii i wierzyłam, że to będzie możliwe.

Po raz pierwszy w życiu leciałam samolotem. Co za przeżycie! I luksus, który jeszcze bardziej doceniłam po latach, kiedy z oszczędności podróżowałam do Londynu autobusem i promem, co wydłużało podróż wielokrotnie i skazywało na koszmarny nocleg w fotelu autokaru, w zaduchu i oparach polskiego piwa.

Ciotka Adela, zwana Elą, była energiczna i nie taka stara, jak podejrzewałam sądząc ze zdjęć przesyłanych w listach. Była po 60-tce, czyli w sumie stara, jak uważałam wtedy, sama będąc w wieku 21 lat. Wiozła mnie swoim garbusem przez londyńskie ulice, mosty, estakady. To była pierwsza wielka stolica Europy, jakiej mi przyszło doświadczyć. I pierwsze ogromne lotnisko. Nie muszę chyba wspominać, że przy małym, szarym lotnisku Okęcie z lat 70., Heathrow wyglądało jak miasto *science fiction*.

Nie zapamiętałam koloru auta ciotki Adeli, ale sam garbus wydał mi się oryginalny i filmowy. Wyobrażam sobie teraz, że był niebieski.

Dodam coś o kolejkach. Przed kontrolą paszportową trzeba było stać w długiej kolejce pod hasłem „non EU citizens”. Kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej, wciąż przypominała mi się ta scena i to upokorzenie, kiedy obok nas obywatele krajów EU przepływali płynnie w kierunku kontroli paszportowej, zrelaksowani, pachnący, eleganccy, patrzący na nas „nie-Europejczyków” niewidzącymi oczami (jakbyśmy byli przezroczyści), zbyt dumni, aby zdradzić swój dystans wobec przedstawicieli innego świata. I jakby nie znali słowa „kolejka”. A może „a queue” miało u nich zupełnie inne konotacje? Nie doświadczali przymusowych kolejek od czasu zakończenia II wojny światowej – poza szalonymi kolejkami do wyprzedaży, kiedy ceny luksusowych towarów obniżano nawet o 70% i ludzie stali tam z własnego wyboru – próżności lub oszczędności.

Zamieszkałam w Londynie w dawnym hrabstwie Middlesex, niedaleko Preston Road, w domu wujostwa Wilków przy Vista Way w małym skromnym domku z ogródkiem (wtedy jednak nie wydawał mi się skromny żaden dom mieszkalny z cegły, którego posiadanie w Polsce było marzeniem milionów rodzin stłoczonych w blokach z wielkiej płyty lub w starych nieodremontowanych kamienicach). Ulokowano mnie w dawnym pokoju kuzyna Andrew (po prawdzie kuzyna mojego taty), który podobnie jak jego siostra Marta miał już swoją nową rodzinę i nowy

dom. Byłam gościem wujostwa przez tydzień, dopóki nie znalazłam pracy, nielegalnej oczywiście. Praca to był mój pomysł, bo ciotka Adela i wujek Franek wcale nie zachęcali mnie do wyprowadzki i skoku na głęboką wodę kapitalistyczną.

Byłam oszołomiona urodą londyńskich przedmieść, małych wypieszczonych ogródków przed każdym domem i eleganckich wiktoriańskich kamienic bliżej serca starego Londynu; także przepastnych parków przy każdej dzielnicy, z Hyde Parkiem na czele. Byłam też zauroczona gustem angielskich domów wewnątrz i na zewnątrz, wcale nie przestrzennych, ale przytulnych; ich zapachem *pot pourri*, wykwintną urodą przedmiotów domowych, uporządkowaniem dnia codziennego. Nie zapuszczałam się wtedy w brudne, biedne dzielnice. Ten alternatywny świat zobaczyłam wyraźniej we wczesnych latach 80., kiedy już zupełnie suwerennie wyprawiałam się na kolejne londyńskie „saksy”.

Niestety nie doceniłam w roku 1978 jednej sprawy, w sumie rodzinnej sprawy wagi może nawet państwowej, narodowej, martyrologicznej, a na pewno politycznej i historycznej. Byłam wtedy zbyt materialnie nastawiona do świata, ja 21-letnia krówka boża, uboga obywatelka Europy gorszego sortu zafascynowana urodą przedmiotów martwych, której i których brakowało nam w Polsce.

Podbój Londynu zaczęłam od *window shopping* wzdłuż najelegantszych ulic londyńskiego *city*. Oglądałam sklepy odzieżowe, pamiątkowe, kosmetyczne. Studiowałam ceny i w końcu na wyprzedających coś tam sobie ładnego kupiłam, aby tylko kupić coś ładnego i innego niż miałam w kraju. Mało jednak nabyłam, bo mało gotówki dostałam od rodziców, a oni przestrzegali, że to wyłącznie na czarną godzinę. Liczyłam na większe zakupy, zwłaszcza odzieżowe, a nawet modowe, „kiedy tylko zacznę pracować!”. Okazało się, że jako *au pair* zarabiałam 8 funtów na tydzień. Wystarczyło na tygodniowy bilet na metro. Biletu na metro ani na autobus nie kupiłam ani jednego, bo i tak nie miałam czasu, aby się wyrwać z pracy. Oczywiście nie potrzebowałam forsy na mieszkanie i jedzenie; mogłam mieszkać u rodziny, dla której pracowałam, i zasiadać z nimi do posiłków. „Pair” po francusku znaczy równy. Oto przykład hipokryzji angielskiej. Zakres realnej pracy „opiekunki do dziecka” rozciągnął się w czasie o dodatkowe obowiązki sprzątaczkki, prasowaczkki, ogrodniczki. Nie przypuszczałam również, że kieszonkowe *au pair* i jej wolny czas tak bardzo śmierdzą malizną.

Po dwóch miesiącach pierwszej w życiu płatnej pracy fizycznej (nie licząc obowiązkowych praktyk studenckich) postanowiłam uciec... od

rodziny angielskiej, czyli od żmudnego codziennego sprzątanania trzykondygnacyjnego domu z dwiema łazienkami i ogrodem, prasowania kopy ubranek trójki dzieci i od intensywnej opieki nad nimi. Najmłodsza dziewczynka miała 5 lat.

Nie mogłam się nigdzie oficjalnie poskarżyć na wyzysk, bo była to roba na czarno. Nielegalna w tym sensie, że nie posiadałam pozwolenia na pracę, czyli *work permit*, podobnie jak większość studentów z Polski. Polakom – turystom nie wolno było pracować za granicą. Zabraniało tego zarówno prawo Polski jak i kraju zachodniego, do którego przyjechali. To jednak nie przeszkadzało Anglikom w podpisywaniu fikcyjnych cyrografów z potencjalnymi pracownikami, za co pośrednicy pobierali niefikcyjne prowizje.

Precyzyjnie zorganizowałam ucieczkę, jak na filmie kryminalnym. Odprowadziłam dwie najmłodsze dziewczynki do przedszkola i szkoły (był już wrzesień). Walizka była spakowana, a za rogiem wciągnięta w spisek koleżanka z Lublina czekała w taksówce, również polska studentka anglistyki UMCS. Po powrocie z pracy moi pracodawcy nie zastali nikogo w domu. Byli z pewnością zaskoczeni i zaniepokojeni, w końcu wściekli. Wyzyskiwacz czasem, a może często, nie wie, że jest wyzyskiwaczem. Czuli się oszukani. Postanowili mnie dopaść, używając podstępów. Stworzyli wersję zdarzenia, w której ich zdaniem zламаłam prawo pozostawiając w domu bez opieki 14-letnią dziewczynę, najstarszą córkę gospodarzy. Wybijała fizycznie nastolatka zwyczajowo i za przyzwoleniem rodziców wychodziła z domu sama w ciągu dnia i wieczorami. Wiele godzin spędzała Bóg wie gdzie z kolegami i koleżankami, z naciskiem na kolegów. W czasie mojej ucieczki też była poza domem. Miała jeszcze wakacje, bo jej szkoła zaczynała rok szkolny później niż szkoły podstawowe.

Moi pracodawcy zadzwonili na numer telefonu wujostwa Wilków, bo tylko taki mieli na kopii umowy o moją pracę. Nielegalnej umowy, jak już wspomniałam. Wykrzyczeli swoje żale i oświadczyli, że zaraz denuncjują mnie w Home Office (odpowiednik polskiego Urzędu Bezpieczeństwa), co jest równoznaczne z deportacją i zakazem powrotu do Zjednoczonego Królestwa na wiele lat. I wtedy wujek Franek użył swojej duszy i retoryki wiecznego rewolucjonisty i socjalisty (nie mylić z komunistą; jako bardzo młody chłopak był socjalistą, za co zresztą był aresztowany po raz pierwszy; potem po raz kolejny – za coś odwrotnego; miał więc wtedy wiele wolnego czasu, aby dogłębnie przemyśleć swoje sympatie do rodzącego się w Polsce komunizmu; a było to jeszcze w polskim Lwowie). Wypunktował

kapitalistom przykłady wyzysku, jakiego się dopuścili wobec jego bliskiej krewnej, młodej studentki z biednej Polski.

Miałam wrażenie, że zaimponowałam mu niesubordynacją, bo powody były zasadne. Nie przypuszczał jednak, że posunę się aż do ucieczki. Ja sama też byłam zaskoczona tą moją dość nagłą decyzją.

Z naszych rozmów telefonicznych Wilk znał szczegóły mojego przydziału obowiązków *au pair* w tym domu. Zdawałam mu relację na bieżąco z tego, na czym polega moja praca, a konkretnie harówka od rana do nocy.

– Przez dwa miesiące swojego zatrudnienia nie miała wolnego czasu, na przykład na odwiedzin u nas, na zwiedzanie miasta, nawet w niedziele i święta. Traktowaliście ją jak niewolnicę – krzyczał do słuchawki.

Zagroził, że to on ich zadenukuje za nielegalną umowę i wykorzystywanie fizyczne opiekunki do dzieci ponad ludzką przyzwoitość. Banfieldowie (zapamiętałam nazwisko pierwszych angielskich pracodawców) podkulili ogony i odstąpili od zgłoszenia mnie na policję lub do Home Office.

Powoli zaczęłam się domyślać, skąd się brały opory rodziców przed moim wyjazdem do Londynu, właśnie do Londynu, gdzie mieszkał Franciszek Wilk, jeden z „najniebezpieczniejszych polskich antykomunistów”, czyli wróg narodu polskiego, według ówczesnych władz Polski Ludowej, jak się w końcu okazało. Wtedy jednak był to zaledwie początek mojego przeczucia i wiedzy na ten temat.

Ryzyko swoich kontaktów londyńskich oceniłam obiektywnie dopiero 13 grudnia 1981 roku, kiedy to Telewizja Polska tuż po powtarzających się jak mantra przemówieniach generała Jaruzelskiego pokazywała najniebezpieczniejszych wrogów PRL. Wśród kilkunastu osób był Franciszek Wilk, wuj mojego ojca, starszy pan o ciepłym usposobieniu, wyglądzie cherlawego intelektualisty, prawie zawsze uśmiechnięty, nieco nieporadny, który nie potrafił prowadzić samochodu i nigdy nawet nie pomyślał o posiadaniu prawa jazdy. W stanie wojennym na ekranie powtarzało się jego zdjęcie z Piccadilly Circus, kiedy do licznie zgromadzonych ludzi przemawia z marsem na twarzy. A było to tuż po inwazji bratnich armii, czyli wojsk Układu Warszawskiego, na Czechosłowację w roku 1968, w tym oczywiście wojsk polskich.

Dom Wilków na Vista Way w Londynie był wcześniej domem Stanisława Mikołajczyka, premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie w latach 1943–1944. W czerwcu 1945 Mikołajczyk powrócił do Polski. Został wicepremierem, ministrem rolnictwa, przywódcą PSL w kraju i posłem do KRN. Wkrótce jednak stał się ośrodkiem opozycji wobec komunistów

i lewego skrzydła socjalistów. I wtedy zaczęły się jego kłopoty w ojczyźnie. W sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego (1947) Polskie Stronnictwo Ludowe otrzymało ułamek mandatów. Mikołajczyk zagrożony aresztowaniem i ostrzeżony o oczekującym uchyleniu immunitetu, aresztowaniu i grożącej mu karze śmierci, zwrócił się do ambasady USA o pomoc w ewakuacji za granicę. 20 października 1947 roku, za pośrednictwem urzędników ambasady, został dowieziony do Gdyni i przemycony na pokład statku *Baltavia*, na którego pokładzie opuścił polskie wody terytorialne. Po ucieczce na Zachód Stanisław Mikołajczyk został pozbawiony obywatelstwa polskiego.

Franciszek Wilk miał nadzieję, że odwiedzi Polskę po wojnie. Marzył, aby wreszcie spotkać się z rodziną, a zwłaszcza z matką Katarzyną (moją prababką), która po przesunięciu granic Polski na konferencji w Jałcie w 1945, wróciła z Jakubowiec pod Brzeżanami (terenów wtedy jeszcze należących do Polski, potem do ZSRR, teraz do Ukrainy) do Łańcuta pod Rzeszowem, blisko rodzinnej Wysokiej. Jednak Wilk, zgodnie z poleceniem służbowym Mikołajczyka, został w Londynie, aby czuwać nad politycznymi interesami Polski na emigracji. Może w ten sposób Mikołajczyk uratował mu życie? Istniało małe prawdopodobieństwo, aby Amerykanie przemycili też inne osoby razem z Mikołajczykiem pretendującym do roli premiera rządu. To byłoby zbyt skomplikowane i groziłoby porażką całej akcji.

Po dramatycznym przypadku niedoszłego premiera w zsovietyzowanej do reszty Polsce, jak się okazało, Wilk zrozumiał, że jego los złączył go z Anglią na resztę życia. Odkupił więc londyński dom od udającego się na stałe do USA Mikołajczyka, swojego wieloletniego szefa, ale też przyjaciela partyjnego i emigracyjnego. Ani Wilk, ani Mikołajczyk nigdy do Polski nie wrócili.

Pewnej nocy (wujek Franek był nocnym markiem) usłyszałam opowieść jego życia, zawierającą się, mniej więcej, między rokiem 1939 a 1942 – historię polską, polityczną, partyjną, lwowską, więzienną, sowiecką, bliskowschodnią, w końcu londyńską. Wtedy słuchałam tego scenariusza buntu chyba głównie z kurtuazji. W domu nie zaszczepiono mi dystrydenckości politycznej, zapewne ze strachu. Czyli też z powodu bliskich spotkań trzeciego stopnia mojego ojca z UB i SB, o których przyszło mi się dowiedzieć wiele lat później, kiedy teczki IPN zostały odtajnione. Członkom mojej rodziny wielokrotnie oferowano „służbowe” wyjazdy za granicę w celu pozyskiwania informacji z pierwszej ręki od wuja Franciszka

Wilka. Prawdopodobnie dlatego mój tata, raz sparaliżowany strachem wezwania „na pokoje” SB-eków po powrocie z Francji w 1959 roku (był wtedy studentem romanistyki), przez kilkadziesiąt lat nie wyjeżdżał na Zachód. Zrozumiałam po latach jego lęk o mnie, wyprawiającej się do Anglii. Obawiał się nie tylko obcokrajowców, ale też polskich agentów bezpieki, którzy już w latach 50. na różne sposoby nękali bliską rodzinę Franciszka Wilka i Adeli Wilk zamieszkałą w Polsce.

Historia życia naszego rodzinnego bohatera, jak się okazało, jego walki politycznej i społecznej, jest pieczołowicie rozpoznana i spisana w książce pt. „Franciszek Wilk, ludowiec niezłomny”, której autor, dr Robert Witalec, historyk, poświęcił kilka lat pracy oraz poszukiwań archiwalnych.

Teraz wiem, że postać Franciszka Wilka jest niewdzięczna literacko, bo próżno by w niej szukać klasycznej dramatycznej przemiany. Literacki bohater jak się patrzy powinien stać okrakiem między dobrem i złem, przepoczwarzać się, zmieniać, zaskakiwać niepopularnymi rozwiązaniami, ewentualnie na końcu ukonstytuować się w postaci świetlanej. Niestety, Franciszek Wilk był do bólu pozytywny od początku do końca, bez jednego zarejestrowanego przykładu zhańbienia, interesowności czy konformizmu. Czyli nuda literacka.

W roku 1978 nie potrafiłam wagi polskiej sprawy, jaką dźwigał Wilk, adekwatnie ocenić. Byłam młodą siksą z szarego komunistycznego kraju wszelkich niedostatków, zbyt materialnie patrzącą na świat, choć powiedziałabym dziś, że to było raczej estetyczne zapatrzenie, bo właśnie estetyki dookolnej szczególnie brakowało mi w moim PRL-u. Panowała tu brzydota, chaos architektoniczny, prowizorka na każdym kroku, niechlujstwo, nieróbstwo; mówiło się wtedy ironicznie, że wiele dziedzin życia, a w szczególności technika budowlana, „działają na ślinę i gumkę od majtek”.

Wujek był bohaterem – więźniem politycznym we Lwowie, więźniem łagrów sowieckich, uciekinierem z kamieniołomu w republice Komi, kiedy to w jego buńczucznym przypadku Sowietów już nawet międzynarodowego traktatu Sikorski-Majski nie respektowali. Ten exodus przyplącił gruźlicą i utratą jednego płuca. Przez Kujbyszew-Iran-Palestynę, przywołany m.in. przez prof. Stanisława Kota i Stanisława Mikołajczyka w roku 1942, dotarł do Londynu, zaproszony do ścisłego grona polityków i działaczy tworzących emigracyjny rząd polski. Zapamiętała go również historia jako wieloletniego redaktora naczelnego „Jutra Polski” oraz autora poważnej książki pt. „Historia ruchu ludowego”, za posiadanie której w Polsce można było iść do paki. Bo Wilkowej, czyli odkłamanej wersji historii Polski Ludowej,

zwłaszcza tej wówczas najnowszej, komunii nie akceptowali, w obawie, że będzie iskrą protestów społecznych, szczególnie na wsi. Franciszek Wilk cieszył się polską demokracją zaledwie rok. Stała się ona dla niego równoznaczna z odwołaniem jego kary śmierci za działalność dywersyjną przeciwko Polsce Ludowej. Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki zdążyli jeszcze uhonorować go za walkę z komunizmem. Zmarł w 1990 roku.

Wiele razy potem podróżowałam na Zachód, zwłaszcza po 1989. Po wejściu Polski do Unii Europejskiej, od roku 2004, za każdym razem byłam w euforii, stojąc na lotniskach w strefie „EU citizens”, bo oznaczało to dla mnie bardzo krótką kolejkę do odprawy paszportowej, a przede wszystkim równoprawną pozycję społeczną na świecie.

I co teraz, w czerwcu 2023, mogę powiedzieć? Zakusy zerwania z Unią Europejską ze strony obecnego rządu polskiego pod przemożnym wpływem rządzącej partii są coraz silniejsze. Prawicowi notable przemawiają w mediach, z placów i pałaców, że UE jest złem, że z Zachodem nam nie po drodze. Do tego chóru dołącza jedna z partii opozycyjnych – faszyzująca i niebezpiecznie rosnąca w siłę.

Czy powrócę do stadium bożej krówki, nie daj Boże, i znów będę stać na granicach do cywilizowanych światów w długich kolejkach „non EU citizens” jak ze stygmatem na twarzy?

O nie! Jeśli tak potoczy się polska historia, że zawróci Wisłę kijem, cofnie się do nacjonalizmu, ciasnego izolacjonizmu, nie będę już nigdy bożą krówką. Wtedy będę starą krową z bożej łaski.

Krystyna Lenkowska

Adam Łukaszewicz

Delegacja

Pies był podobno kiedyś wilkiem. Ten pogląd na rodowód psa wynika z popularnej wiary w uproszczoną wersję ewolucjonizmu, wedle której gatunki rozwijają się jeden z drugiego, dążąc do coraz większej doskonałości, a na szczycie tej piramidy jest człowiek, udoskonalona wersja małpy. W wyższość człowieka nad innymi zwierzętami wierzył już Arystoteles, chociaż nie miał pojęcia o ewolucji.

Arystoteles przyjmował geocentryczny model wszechświata obracającego się wokół osi. *Kosmos* według niego dzieli się na sferę podksiężycową i nadksiężycową. W świecie podksiężycowym człowiek jest najwyższym bytem. Człowiek (Hellen płci męskiej) posiada duszę, wyższą od duszy zwierzęcia.

Arystoteles nie wiedział, że jesteśmy produktem ewolucji i to zapewne nie ostatecznym. Darwin podziwiał Arystotelesa, chociaż ten wierzył w *generatio spontanea* małych zwierząt z mułu, brudu i ekskrementów pod wpływem słońca.

Nietzsche powiada: Wzwyż wiedzie nasza droga od gatunku do nadgatunku. Bardzo pięknie, ale czy to prawda? Wydaje się, że na każdym etapie rozwoju życia organicznego powstają istoty doskonałe, każda w swoim rodzaju. Można powiedzieć, że jest to doskonałość cząstkowa, albo doskonałość specyficznie ukierunkowana. Zanik gatunków nie wynika z ich niedoskonałości ale z nieprzystosowania do okoliczności, czasem nieprzewidywalnych i zaskakujących. Najczęściej zanik gatunku jest rezultatem działania innych gatunków, zwłaszcza zaś z działań agresywnego i bezwzględnego gatunku ludzkiego. Już Arystoteles rozumiał, że człowiek, chociaż znajduje się według niego na szczycie hierarchii zwierząt, to jednak „kiedy jest doskonały, jest najlepszym ze zwierząt, ale jest najgorszym, gdy jest pozbawiony prawa i sprawiedliwości” (*Polit.* I 1253a).

Nasz wspomniały gatunek stopniowo, choć nie zawsze świadomie, dąży do wyeliminowania innych gatunków, poza tymi, które stanowią rodzaj czworonożnych niewolników, są żywymi fabrykami mięsa i mleka, dostarczają jaj i kotletów schabowych. *Homo sapiens sapiens* odznaczający

się niezwykłą skłonnością do agresji, zagraża także sam sobie, czego nie potrafi się wyzbyć i czego przejawy widzimy na każdym kroku. Jest to wyraźny dowód jego niedoskonałości.

Dlaczego zwierzę dwunożne ma być dla nas z zasady ważniejsze i bliższe niż takie zwierzę czworonożne, które też jest ssakiem, i które ma zdolność odczuwania miłości i przywiązania, wierności i całkowitego symbiotycznego oddania? Osoba zwierzęca w każdym razie zasługuje na uwagę nie mniej niż osoba ludzka. Wiedzą o tym miłośnicy psów.

Pies i wilk pochodzą zapewne od wspólnego przodka. Naturę mają podobną. Wilka można oswoić (bardzo piękne wspomnienie o oswojonym wilku pozostawił pewien XIX-wieczny pamiętnikarz). Człowiek też miewa w sobie coś z wilka i to nie tylko dlatego, że *homo homini lupus*. Legendy o wilkołakach budzą wprawdzie uzasadnioną grozę. Ale są i sympatyczniejsze opowieści o wilczycy kapitolinińskiej karmiącej małe dzieci albo o błękitnym wilku i jego ludzkich potomkach. Na ten ostatni temat może mógłbym powiedzieć coś jeszcze, ale nie teraz.

Zło popełniane czasem wobec ludzi przez agresywne psy pochodzi przeważnie od właścicieli i wychowawców.

Oczywiście pies w stanie dzikim albo półdzikim polował, zabijał i zjadał inne zwierzęta. Cięży na nim dziedziczny grzech drapieżnej mięsożerności. Nic tego nie usprawiedliwi. Człowiek to rozgrzesza, bo sam jest trochę wilkiem a nawet gorzej, bywa złośliwą agresywną małpą. Legenda o tym, że małpy jedzą głównie banany, została już dawno odrzucona, gdyż wiemy o tym, że nasi człękokszałtni krewni potrafią sprawnie polować na zwierzęta i dzielić się mięsem.

Psy mają zapewne własną wersję historii swoich związków z człowiekiem. Świadczy o tym następująca opowieść. Powtórzył mi ją kiedyś świętej pamięci pan Jerzy K. Pan Jerzy wychował się dawno temu w dużym mieście na wschodzie. To Miasto było wówczas, jak to się dziś mówi, wieloetniczne i wielokulturowe, i z bardzo dawną metryką.

A oto historia, którą niegdyś opowiedział Panu Jerzemu pewien krymski Tatar:

Psy długo znosiły cierpliwie złe traktowanie przez ludzi. Jednak pewnego dnia postanowiły upomnieć się o poprawę swego losu. Zwołano zatem psie zgromadzenie, na którym uchwalono wysłanie delegacji do Boga, z prośbą o poprawę psiej doli. Starannie dobierano kandydatów spośród ładnych i grzecznych psów. Kiedy zakończono wybory i już zamierzano wyprawić delegację do nieba, pewien stary mądry pies powiedział, że

delegaci powinni ładnie pachnieć. Istotnie, zapomniano o wonnościach. Uperfumowano więc delegatów piżmem pod ogonami.

Delegacja udała się do Boga. Od niezliczonych pokoleń psy daremnie czekają na jej powrót. Ponieważ nikt już nie pamięta, jak wyglądali delegaci, dlatego psy, w oczekiwaniu na ich powrót, wachają się pod ogonami, chcąc rozpoznać długo wyczekiwanych wysłanników.

Koszula

Czy koszula to jest temat wart opowiadania? Wszystko zależy od koszuli i od rodzaju narracji. Koszula w ogóle, to temat konfekcyjno-handlowy albo kostiumologiczny, chyba że chodzi o użycie terminu w frazeologii. „Blizsza koszula ciału”. „Gdyby moja koszula wiedziała, to bym ją spalił” (podobno średniowieczne włoskie). In maniche di camicia, czyli prawie bez stosownego ubrania. Eta rubaszka szyła mnie Saszka (cytat). „Nosić koszulę w zębach” (chodzi o biedne dziecko w za długiej koszuli – na wyrost). „Koszulka czy piżama?” itd.

W Aleksandrii znam pewien pasaż, a właściwie szerokie przejście przez kamienicę, gdzie jeszcze niedawno można było sobie dać uszyć na miarę koszulę, na przykład jedwabną. Inna sprawa, że w jedwabnych koszulach użytkownik się poci, bo nie przepuszczają powietrza, czego i ja też doświadczyłem.

W Aleksandrii, niezwykle miłym mieście, nie trzeba było samemu prasować koszul. Zawsze był w pobliżu jakiś kącik, gdzie zawodowy prasowacz świadczył te cenne usługi. Bardzo rzadko z tego korzystałem. W Medinet Habu (na Zachodnim Brzegu Nilu, naprzeciwko Luksoru) uroczę dziewczyny z wiejskiego pralniczo-prasującego punktu usługowego uprasowały mi koszule za niewiarygodnie przystępną cenę. Nie to, co moje dwie dowcipne koleżanki z Polskiej Stacji Archeologicznej, które za nieoczekiwane, chociaż staranne, wyprasowanie moich koszul wystawiły rachunek wyrażony w piwach, co w Egipcie miało szczególną wymowę, gdyż piwo stanowiło napój odświętny i luksusowy. Rzecz poszła przejściowo w zapomnienie i uiściłem zapłatę dopiero w Warszawie, za to w dobrym lokalu, co jednak wypadło o wiele drożej niż nad Nilem.

Miałem jednak opowiedzieć o koszuli, nie o usługach. Był upalny początek września w Wenecji. Pociąg do Wiednia odjeżdżał wieczorem. Postanowiłem zwiedzać miasto. Żar z nieba wyciskał ze mnie pot. Kiedy

wróciłem do towarzyszki podróży, która zamiast turystyki wybrała stacjonarne popołudnie w Wenecji, spotkała mnie niespodzianka w postaci nowej jasnoniebieskiej koszuli. Nie kupiła jej, tylko nieoczekiwanie dostała od kogoś. Ten ktoś kupił wcześniej dwie i dowiedziawszy się z przypadkowej rozmowy, że pewien nieznajomy zostawił bagaż czekający na dalszą drogę i poci się w typowym turystycznym krążeniu po kanałach i zabytkach, pozostawił tę dodatkową koszulę dla mnie na zmianę. Elegancki gest! Nie miałem okazji mu podziękować ani go osobiście poznać. Szkoda. Był to wnuk jednego z europejskich monarchów, nie jakiegoś zdezonizowanego epigona, tylko aktualnie panującego.

Koszula się przydała, ale to było dawno temu i nie ma po niej śladu.

Historia czasem się powtarza, zawsze w nieco innej wersji. Tym razem znowu na początku września. Był kongres międzynarodowy w Kairze. Zaprzyjaźnione niemieckie małżeństwo towarzyszyło mi w spacerach po mieście w dniu wolnym od obrad. Temperatura sięgała +42 stopni Celsjusza. Moi przyjaciele zaprosili mnie w końcu do swojego pokoju hotelowego, gdzie mogłem wziąć prysznic, bo do mojej kwatery miałem bardzo daleko, po czym Gereon, znakomity filolog, oddał mi swoją nową koszulę, żebym mógł się przebrać. Chętnie skorzystałem z przyjacielskiego gestu.

Minęło wiele miesięcy. Znowu w Polsce, w ramach normalnych zajęć, wybierałem się na seminarium odbywające się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Przypomniałem sobie o koszuli z Kairu. Była czarna, miała kołnierz, który wydawał mi się ekstrawagancki – tak zwaną stójkę, niemal jak w mundurze górnika. Założyłem na to jasnoszarą marynarkę i pojechałem do Muzeum. Sala kinowa była prawie pełna. Referentem był gość zagraniczny, wybitny archeolog z pewnego dość dalekiego kraju. Byłem nadzwyczaj zainteresowany. Prelegent nie zawiódł oczekiwań. Opowiadał o swoich interesujących wykopaliskach. W dodatku był bardzo sympatyczny. Zachęcał do odwiedzin na swoim uniwersytecie i na wykopaliskach. Postanowiłem wraz z innymi kolegami podejść do niego, pogratulować ciekawego wykładu i wyrazić zainteresowanie dalszymi kontaktami. Moi koledzy prowadzili z nim ożywione i niemal przyjacielskie rozmowy. Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu ten miły człowiek przyjął moje gratulacje raczej niechętnie a mnie samego wręcz zimno. Zawiedziony pożegnałem się i poszedłem. Nie rozumiałem sytuacji. Widziałem tego uczonego po raz pierwszy w życiu. Nie miał żadnych powodów do niechęci, nie znał chyba wcześniej nawet mojego nazwiska. Po powrocie do domu nadal zastanawiałem się nad przyczynami takiego potraktowania. Spojrzałem w pewnej

chwili do lustra i zobaczyłem mój wystający z marynarki czarny stojący kołnierzyk. Zaświtało mi wytłumaczenie. Przybysz z daleka nie był obeznany z naszymi realiami ani z subtelnościami ubiorów. Miał za to pewne wyobrażenia i pewne – jakby to powiedzieć – idées préçonçues, a nawet uprzedzenia. Dał im wyraz, tyle że pod niewłaściwym adresem. Teraz po latach myślę, że należało ponownie spotkać się z tym cudzoziemcem i na to spotkanie przyjść w innym stroju. Ale czy by to coś zmieniło? Może zresztą moja improwizowana interpretacja była nietrafna, a zagraniczny gość był po prostu zmęczony?

Tak to było z koszulą z Kairu. Już jej nie mam.

Adam Łukaszewicz

Wiesława Oramus

Fazy maniakalne

Może dlatego, że nie było ciepła w jej oczach, spojrzeniu, mimo koloru ciemnego bursztynu, każdy trzymał się z dala od niej. Bo też przesywała tym spojrzeniem, mierzyła, oceniała szacowała, ale – wszyscy to przyznawali – te jej oczy widziały to, co dla innych było niewidoczne, wygrywała zawsze w tych zabawach polegających na znalezieniu iluś tam różnic, podobieństw, dysharmonii, niepasujących do całości elementów A ludzi też chyba traktowała podobnie. I za to ją nienawidzono.

Dostrzegała jednak też coś, co dotyczyło problemów, którymi instytucja mogła się zająć, wypatrzeć problemy społeczne, żyjąc tak, jak żyła, po swoim, poruszając się w przestrzeniach, które inni omijali szerokim łukiem, żeby nie degradować się społecznie. Gadała z dziwnymi ludźmi, o dziwnych sprawach, i potem robiła z tego temat badań. umiała dobrać metody, narzędzia badawcze, pytania do ankiet, poddać analizie statystycznej, opracować, zdiagnozować problem i przekazać wszystko tej drugiej, która wiedziała, co z tym zrobić, bo nie lubiła występować publicznie. Nie znosiła podniosłej atmosfery, przemówień, uścisków dłoni, gratulacji, honorowania, tego wszystkiego, co zaczynało się po przedstawieniu wyników badań. Wtedy najczęściej wychodziła z sali. Może i dobrze, bo udawało się uniknąć skandalu, a mogło do tego dojść... Wszyscy pamiętali jej opowieść o tym, jak to kiedyś, w szkole, gdy miała miejsce wizytacja, zjechały się najważniejsze w regionie osoby i... trzymano ją za drzwiami, żeby na zakończenie, jako prymuska opowiedziała o szkole coś wzruszającego, poruszającego serca. O niezwyklej roli tej szkoły w jej i wszystkich koleżanek i kolegów życiu. Czekając na występ, chodziła po korytarzu, po schodach, aż do drzwi prowadzących do piwnicy i tam dostrzegła mysz. Złapała ją, wsadziła do kieszeni, a potem podeszła do grupki grzecznych dziewczynek siedzących na ławeczce i czytających lektury szkolne, co też było zaplanowane, stanowiło część programu witania ważnych osób, gdyby zechciały przejść się po korytarzach, porozmawiać z uczniami. Wyciągnęła mysz, podstawiła pod nos dziewczynkom. Podobno pisk słycać było nawet na podwórku. Dla niej skończyło się to uwolnieniem od publicznego

wystąpienia, obniżeniem oceny z zachowania, co ją rozśmieszyło, śmiała się z radości. A ta mysz, ta mysz... Wszyscy słuchający tej opowieści dochodzili do wniosku, że zawsze może mieć jakąś ukrytą gdzieś mysz. Często był nią ten jej śmiech w różnych sytuacjach społecznych – śmiech, chichot, czasami perlisty, czasami sardoniczny, diaboliczny, czasami bezgłośny – takie tylko rozciągnięcie ust, co w połączeniu z tym jej przeszywającym spojrzeniem nie wpływało dobrze na relacje międzyludzkie w instytucji, nie integrowało grupy. Jednak po jakimś czasie atmosfera trochę się poprawiła, bo tak się jakoś składało, że najczęściej śmiała się w obecności tej... drugiej, dla niej trzymała tę mysz w kieszeni.

A tamta miała zawsze w oczach żar, płomień, który mógł wzbudzać emocje, nawet wpędzać w ekstazę, tak że ludzie gotowi byli iść ramię w ramię, w uniesieniu, w uniesieniu krzyczeć, klaskać, wiwatować, walczyć o coś, o kogoś, przeciw komuś, czemuś, razem, a z nią na czele. Kiedy przemawiała, wszyscy wierzyli, że to dla ich dobra, że dzielają jej poglądy. I to ona reprezentowała na zewnątrz instytucję, przemawiała, gdy trzeba było przyjmować kogoś z zewnątrz. Instytucje nadrzędne. Była taka waleczna, taka zrozumiała dla wszystkich, taka obeznana z zestawem słów, gestów używanych w takich sytuacjach.

Czasami instytucja coś dzięki niej zyskiwała, najczęściej jednak ona wracała z listami pochwalnymi, orderami, propozycjami współpracy, co koniec końców też służyło wspólnemu dobru, bo można było wykazać się zatrudnianiem bardzo znaczących dla społeczności osób.

Potrafiła też gromadzić wokół siebie oddanych jej ludzi, oddanych jej i sprawie, ze zdolnością rozumienia jej słów, posługiwania się nimi. Czasami tak bardzo, że można było podejrzewać, że cierpią na echolalię czy jakieś inne schorzenie ujawniające się w zautomatyzowanych ruchach, mimice, tonacji głosu – taki jak jej. I połączeni, zwarci, blisko, jak najbliżej niej, jednak z troską, aby jej nie zakryć przed oczami świata, żeby bliskość rzucała się w oczy, ale nie przyćmiewała, bo przecież rozumieli, że o swój rozwój, miejsce w szeregu pracować trzeba długo i wytrwale, krok po kroku, krocze po krocze. I tak krążyli, fruwali wokół niej, jak odurzeni, upojeni, zaślepieni, jak w tańcu zwycięstwa, chwały, czasami dostojnym, czasami lekkim, jak taniec motylka, ważki, ćmy lecącej do światła.

A jej śmiechu nie słyszeli albo udawali, że nie słyszą, albo nauczeni do ignorowania go, jak głosu każdego wroga, którego należy zniszczyć, żeby osiągnąć wyznaczony sobie cel, albo, po prostu byli zbyt odurzeni.

I tak upadali, pojedynczo, całymi grupami, kiedy tamta zdobyła już to, o co walczyła. Niektórzy leżeli długo, poranieni, obolali, wylizujący rany, zawstydzeni, niektórzy troszkę wspierani przy próbach podnoszenia się, z jakimiś drobnymi oznakami uznania dla ich trudu i poświęcenia... I ci przesuwali się z pierwszej linii, przesuwali w cień, ale... nie odchodzili, dalej wychwalali pod niebiosa, przeceniali swoje drobne sukcesy i korzyści i obnosili z nimi, prędzej czy później coś na tym zyskując.

Pojawiały się nowe wyzwania, nowe cele, zadania i nowi ludzie, bliźniaczo podobni do poprzedników

Instytucja rozkwitała, była coraz bardziej rozpoznawalna dzięki zatrudnianiu tak znaczących i wpływowych person, a przez to też jak owinięta jakimś kokonem, poduszkami powietrznymi chroniącymi przed zderzeniem z twardą rzeczywistością.

I tylko ten śmiech, te chichoty, to spojrzenie, nawet gdy tamta, po swemu przedstawiała wyniki jej pracy, przeszkadzały, a przez tych, którzy odpadli z grona uprzywilejowanych, odepchniętych był wręcz znienawidzony. Doprowadzało to do wielu incydentów, do ignorowania jej, do opuszczania pomieszczeń, w których się pojawiała, do niszczenia jej pracy, wywalania do śmieci, przypisywaniu jej potem lenistwa, niewywiązywania się z obowiązków. Groziło to obniżeniem efektywności pracy instytucji, a więc i niższych funduszy na działalność, premie i inne benefity.

Podjęmowano różne próby walki z tym śmiechem, spojrzeniem – od przyznawania premii po straszenie zwolnieniem w związku z brakiem powodów do awansowana, a nawet wręcz kuszeniem awansem. Robiono to i publicznie, i *face to face* w zaciszu gabinetów. Nic nie pomagało – zawsze śmiała się, i wyglądała na taką, co to trzyma w kieszeni tę swoją mysz. I czeka. Przechadza się po świecie po swemu.

A to, co robiła, wychodziło jej coraz lepiej, musiano jej przydzielić współpracowników, zamknąć w kilku pokojach, odizolować od świata, zwłaszcza kiedy przed instytucją zaczęli się coraz częściej pojawiać chętni do zdobywania informacji o działalności tej instytucji. Tamta druga i jej ludzie robili to chętnie. Szybko zaczęła wypływać na szerokie wody, wszędzie było jej pełno, miało to swoje dobre strony, bo nie widziało się reakcji wykorzystanych i odrzucanych, poza nielicznymi wyjątkami przychodzącymi ze skargami. A poza tym... przecież i ludzie, którzy po takim wywiadzie, nawet jeżeli tylko napomknięto o najmniejszym, najmniej ważnym zadaniu, stawali się sławni, i obnosili się tym z dumą, poczuciem wyższości nad innymi, a ci inni... najbardziej obolali woleli nie obnosić się ze swoim

upadkiem, poczuciem krzywdy, bo to narażało na pogardę, na złe punkty w CV, przy ubieganiu się o jakieś nowe stanowiska, awanse i szczeble kariery.

A przed tamtą otwierały się wszystkie drzwi. Kłębił się wokół niej ciągle jakiś tłum, chętnych do nagradzania, podziwiania, przypinania medali, zapraszania do udziału w..., zaszczytaniu swoją obecnością...

A ona patrzyła na to wszystko, śmiała się, czytając, słuchając tego, co tamta mówiła, co robiła z wynikami badań, jak nimi manipulowała w zależności od miejsca, w którym występowała i często sprawiała wrażenie osoby, która chce coś wyciągnąć z kieszeni. Budziło to niepokój, nawet strach. Potęgowało nienawiść do niej. Nikt nie wiedział, co z tym zrobić. Zaproszono nawet na spotkanie z wszystkimi pracownikami psychologa, specjalistę od rozwiązywania konfliktów w zespołach. Okazało się, że tym wybitnym specjalistą była... jej koleżanka, jedna z tych, które najgłośniej piszczały, kiedy wyciągnęła mysz z kieszeni.

Zaczęła chichotać na jej widok, a ta z najwyższą powagą, profesjonalizmem zapytała, czy może stwierdziła: – Znowu wchodzisz w fazę maniakalną. Zaczyna się, ale... to przecież nic złego...

Wszyscy odetchnęli z ulgą, widać było to rozluźnianie się mięśni twarzy, wygładzenie zmarszczek nienawiści, irytacji, pogardy, wściekłości... A jej spojrzenie straciło chłód, złowrogość, śmiech stał się zwykłym objawem czegoś tam..., a kieszenie puste.

Instytucja po tym szkoleniu mogła dalej sprawnie funkcjonować w dotychczasowym składzie.

Wiesława Oramus

Jan Strękowski

Kryminałki uzdrowiskowe

*Panu Wojtkowi Miętusiewiczowi,
najlepszeemu w historii komendantowi MO i PP
w Konstancinie–Jeziornie*

Big-band improwizowany

- No i znowu się spotykamy!
- Choć wcale się nie umawialiśmy. Jak to mówią, góra z górą się nie zejdzie. A Polak z Polakiem zawsze! A co pan komisarz taki zmęczony? Chyba nie mną?
- Człowieku, świat stanął na głowie, a ja mam się cieszyć?
- Faktycznie. Nie ma z czego. Ale nie można się poddawać!
- Pan się nie poddał?
- Jakbym się poddał, to by mnie pan do siebie... nie zaprosił.
- Na dołek... Trochę to było obcesowe ze strony moich podwładnych. Przepraszam. Nikt dziś nie ma nastroju do konwenansów.
- Wiem. Wersal się skończył. Wszyscy lecimy ze schodów. Na pysk.
- Pan jak coś powie...
- Ale nie można się poddawać. Głowa do góry! I robić swoje. Nawet jak człowiek wygląda jak ten... szpieg w masce.
- Może pan swoją zdjąć, założyli nam pleksi.
- Z wielką przyjemnością odetchnę świeżym policyjnym powietrzem.
- Niech pan nie żartuje! Teraz wszędzie czają się... one.
- Ma pan manię prześladowczą panie komisarzu?
- A może i mam! Bo ktoś mnie prześladowa!
- Coś podobnego! Pana? A kto, jeśli można zadać niedyskretne pytanie?
- A pan! Pan mnie prześladowasz od pierwszego dnia mojej służby w tym mieście!
- Ja pana? To co ja mam powiedzieć? Czy ja pana kiedy zaaresztowałem, zapudłowałem, wsadziłem za kratki? Postawiłem przed trybunałem sprawiedliwości? Ciągałem po komisariacie w kajdankach?

– Pewnie pan myśli, że mi to sprawia przyjemność?

– A nie? Ale powiem panu coś. Miło jest z panem komisarzem porozmawiać. Zawsze rozmowa na poziomie. To tak między nami. Gdyby tylko nie te okoliczności...

– No właśnie. Okoliczności. Pozwoli pan, że przypomnę. Zatrzymano pana na targu podczas nielegalnej zbiórki. Czy to się zgadza?

– A czy ja kiedy się nie zgodziłem z panem, panie komisarzu?

– Cieszę się, że to ustaliliśmy. A teraz meritum. Była zbiórka?

– Była.

– Nielegalna?

– A czy ja powiedziałem, że legalna? Ale też trudno ją nazwać nielegalną.

– Ciekawe rozumowanie. Nie dość, że nie zgłosił pan zbiórki w odpowiednim urzędzie, to jeszcze wprowadził pan w błąd ewentualnych darczyńców.

– Panie komisarzu. Nie bądźmy dziećmi. Pan lepiej zna ludzi i świat niż ja. A wygłasza pan takie naiwne, przepraszam, niech się pan nie obrazi, dyrdymały. Jakbym ogłosił, że zbieram dla szpitala, kto by mi uwierzył. Tyle teraz słyhać o oszustach, co się podszywają. Była taka jedna, co ją złapali, pan komisarz pewnie słyszał... I co chwila słyhać o kolejnych. Stoisz człowieku, oczami świecisz, ale i tak prawie każdy podejrzewa, żeś oszust, że zbierasz na piwo czy inne napoje wysokokowe. Albo na lokal w atrakcyjnej okolicy na wynajem gromadzisz środki. Na co wtedy można liczyć? Co najwyżej wrzuci jakaś babina raz na godzinę pięćdziesiąt groszy, ulituje się, czasem bułką poczęstuje. A pragnienie, rzecz ludzka. I tu jest pełne zrozumienie. I tu nikt nie ma wątpliwości, sytuacja jest czysta, ludzie wierzą, wrzucają, uśmiechną się, dorzucą dobre słowo...

– Do piwa...

– Coś jak zakąska. Ciepło się człowiekowi robi na duszy jak pomyśli jaki uczynny i współczujący mamy naród... i jaki wyrozumiały.

– Dla pijaków. Mam tu meldunek, że to nie był jednorazowy wyskok. Środa dwudziesty trzeci marca, sobota dwudziesty szósty marca... przy stoisku z warzywami.

– Zachowywaliśmy odstęp!

– No tak, wzorowy obywatel. Maseczkę też pewnie pan miał. Ale ten wzorowy obywatel popełnił przestępstwo. I to ciągle. Zbiórka publiczna – gdzieś zgłoszona? Podatki odprowadzone? I do tego oszustwo. Wprowadzanie w błąd darczyńców co do celu zbiórki.

– Panie komisarzu, sto maseczek ochronnych zakupionych – jakby nie paskarskie ceny w naszych aptekach to na tysiąc by starczyło, tysiąc rękawiczek a dwa zet eł para. Też, jakby nikt nam nie przeszkadzał, zebrałibyśmy dziesięć razy więcej...

– My nikomu nie przeszkadzamy dla samego przeszkadzania. My pracujemy, szanowny panie. Obraża pan służby mundurowe... i niemundurowe też. Kontrolujemy, narażamy się. I też nam wszystkiego brakuje...

– No a jakby mnie pan komisarz nie przytknął, to jak pan myśli, dla kogo w tę ostatnią sobotę zbieraliśmy?

– ?

– A dla policji! Myśli pan, że jakbym napisał: wrzucie dobrzy ludzie na rękawiczki dla policji, to ktoś by coś wrzucił?

– Coś by wrzucili. Chyba słyszał pan, jak wysoko społeczeństwo ocenia nasze służby.

– Chyba że granat... Żartuję. Tak może by i zrobili, jakby człowiek kierował się rozumem. Ale żeby sięgnął do portfela, trzeba mu przemówić do serca.

– I pan przemawiał.

– Ja, pan Czarek, pan Stasiu...

– Ten pan Czarek to rozumiem. Pewnie śpiewał wcześniej tylko przy goleniu. Ale ten drugi, ten pana kolega, Stasiu? A co on tak rzępolił? Ponoć muzyk zawodowy, w filharmonii w orkiestrze do emerytury grał?

– To wszystko specjalnie, panie komisarzu. Ile myśmy się naszukali takiej rozstrojonej harmonii? Nadzwonili, naserfowali po internecie. Pan Czarek jest w tym niezły. I gdyby nie przypadek... Tu też zasługa pana Czarka. Ile on się napatrolował, za przeproszeniem, pod sklepami i knajpami... A ile nas kosztowała!

– ?

– Cztery Harnasie proszę pana! Tak, panie komisarzu, żeby coś wyjąć, trzeba włożyć, zainwestować. Ale efekt... cały targ był zachwycony. A jak Stasiu zanucił: „W Warszawie na Starym Mieście / Spotkałem ją w środku dnia / Nie było dane mi jeszcze / Widzieć tak pięknej, jak ta...” No, szaleństwo! Bo Czarek to ma już odpowiedni głos sam z siebie... Ale pan Stasiu specjalnie bez szalika dzień wcześniej wieczorem na spacer w tym celu poszedł...

– Nie rozumiem... Na tę pluchę?

– No, nabyć odpowiednią chrypę.

– ?

- Pijacką. Jak ludzie usłyszą i zobaczą autentyk, to od razu się otwierają.
- I otwierają portfele!
- Pan komisarz jak coś powie! I to jak otwierają. Rodacy nasi są bardzo uczuciowi. Wystarczy do nich trafić.
- No tak. I to panowie żeście trafili...
- Nie chwaląc się. A ile było przygotowań. Parę nocy żeśmy przegadali, jak to wszystko urządzić, żeby akcja przyniosła plon. I wtedy wpadliśmy na pomysł. Ja przebieram się za misia (miałem futro po sąsiedzie, który kiedyś pracował na Krupówkach), wiem na szyi tabliczkę: „Zbieramy na piwo”, a Stasiu z Czarkiem występują jako zespół zgrany, który nagania klientów. Nieźle, przyzna pan komisarz, to wymyśliliśmy?
- Czyli popełniliście panowie przestępstwo z pełną premedytacją?
- Nie wiem czy pre, ale namedytowaliśmy się nieźle. Nie sztuka wyjść i wszystko spieć... Przepraszam, zaraz pan komisarz powie, że to do protokołu... I tam nie wpisuje się takich słów?
- A skąd pan wie, co powiem?
- Panie komisarzu, który to raz już pan mnie przymknął? Znamy się jak łyse konie. Albo i lepiej...
- No, proszę uważać na te porównania, ja tu reprezentuję pewną służbę...
- Przepraszam, to wcale nie znaczy, że mówiłem coś o pańskich włosach. Ani mi przez myśl nie przeszło. Zresztą w naszym wieku... Jak to kiedyś mawiano: i hippisi będą łysi... Z akcentem na będą...
- Wracajmy do pańskiego przestępstwa. Może sąd uzna za okoliczność łagodzącą motywy... Ale przestępstwo to przestępstwo... Ile panowie zebraliście?
- Tak jak powiedziałem... Na sto masek i tysiąc par rękawiczek. To, co zostało, te parę groszy, już mi pan skonfiskował. Ktoś z pana podwładnych może to policzyć... Najgorzej, że skonfiskował pan naszą harmonię... Drugiej takiej łatwo się nie znajdzie!
- Narzędzie przestępstwa. Poszła do depozytu. Prokurator się musi wypowiedzieć, czy uznać to za dowód w sprawie.
- W jakiej sprawie, panie komisarzu? Przecież my się do wszystkiego przyznajemy, nie kręcimy, nie kluczymy, od odpowiedzialności nie uciekamy...
- Niech pan mówi za siebie. Ci pana koledzy jeszcze nie zeznawali.
- I co? Myśli pan komisarz, że powiedzą co innego?
- A co? Uzgodniliście zeznania na wypadek wypadki?

– Panie komisarzu, jakiej wpadki? Niektórych okoliczności się nie przewidzi. I tyle.

– Na przykład takich, że spotka się znajomego?

– No na przykład. Choć nasz targ cieszy się wielkim powodzeniem, zjeżdżają tu klienci z całej okolicy, a nawet ze stolicy. Powinniśmy o tym pamiętać... I przewidzieć. Ale sam pan wie, wszystkiego przewidzieć się nie da.

– Na szczęście. Inaczej przestępcy by nie wpadali. Nie ma przestępstwa doskonałego.

– Ma pan świętą rację. A kto na nas doniósł, jeżeli to nie tajemnica?

– Chce pan ujawnienia wiadomości ze śledztwa?

– Zaraz ujawnienia. Ciekawość to nie grzech.

– Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

– Spotkaliśmy paru sąsiadów, a Stasiu nawet dawnego kolegę z orkiestry.

– A na czym grał ten jego kolega w orkiestrze?

– Stasiu mówi, że na tubie. W czasie koncertu raz na jakiś czas ryknął jak lew. I cała orkiestra się z niego naśmiewała...

– No to już pan wie. Ale ja tego nie powiedziałem. W każdym razie zdenerwowało go to wasze rzępolenie...

– Ale innym się podobało. A zresztą, myślałem, że coś wrzuci. A jemu się nawet karteczka o piwie nie spodobała. Patrzył na nas jak na jakich obszczymurków...

– A jak miał patrzeć?

– Faktycznie, na takich wyglądaliśmy. W każdym razie staraliśmy się... No i co teraz?

– Zobaczymy. Spiszemy protokół i podejmiemy dalsze czynności.

– Pan komisarz jak coś powie, to ciarki człowieka przechodzą. Jakie tam znowu czynności? Nie zasnę dziś na pewno! Czarek to co innego, ma pewne doświadczenie, jak ja. Ale ten biedny Stasiu? Pan wie, ile się musiałem napracować, żeby zmusić go do fałszowania? Aż w końcu zrozumiał, że chodzi o sprawę.

– Czyli przyznaje się pan, że to z pańskiej namowy pan Stasiu...?

– Z mojej inspiracji raczej... Na namowy to Stasiu był głuchy. Choć on muzyk, prawdziwy, z filharmonii... Ale jak zrozumiał, po co to wszystko, to cały wieczór ćwiczył to... pan komisarz to nazywa rzępoleniem. Aż się spocił. Rozumie pan... To perfekcjonista.

– Fałszował aż tak perfekcyjnie?

– Ładnie to pan komisarz powiedział. Zwolni mnie pan z tajemnicy śledztwa? Stasiu się ucieszy, kiedy mu powtórzę...

Wiosenne zauroczenie

- Po kolei proszę...
- Możemy i po kolei. A pan komisarz nie uważa, że lepiej byłoby nie po kolei?
- Nie po kolei to mają ci, którzy myślą spacerową alejkę z parkietem...
- Niby chodzi o mnie?
- I pana kolebę...
- Kolega tylko uczestniczył, ale pomysł był mój. Przyznaję się bez bicia.
- My tu nikogo nie bijemy.
- No tak, pan komisarz to nawet muchy nie skrzywdzi.
- W naszym komisariacie nie ma much...
- Żartowałem. Choć nie jest mi do żartów, panie komisarzu. Sam pan rozumie...
- Rozumiem. Od tego jestem. Żeby wysłuchać i zrozumieć.
- A potem zapuszkować.
- Zapuszkować? Skąd u pana takie słownictwo? Nie no, tego się po panu nie spodziewałem!
- Było się tu i ówdzie. Poniekąd dzięki panu komisarzowi...
- Chciał pan powiedzieć: mojej dociekliwości i mojej ciężkiej pracy.
- Pan komisarz to zawsze wie, co ja chcę powiedzieć. To może i nie warto już dalej pytać?
- I co, tak bez protokołu mam pana zapusz... No i widzi pan, jakie to zaraźliwe? Są procedury, właściwa kolejność, paragrafy, przepisy, a pan chce od razu do finału.
- Skoro finał jest znany.
- To znaczy, że pan się przyznaje?
- Już mam się przyznawać? A niby do czego?
- Ma pan rację. Jeszcześmy nie ustalili wszystkich okoliczności przestępstwa. A ja już bym chciał...
- Do puszeki.
- Co pan z tą puszką. Do puszeki na pewno dojdziemy. Trzymajmy się procedury i idźmy po kolei.
- Jeśli tak panu komisarzowi zależy, żeby było po kolei, to będzie po kolei. Zaczęło się od tego, że przysła wiosna. No i zaraz potem kupiłem rower. Z bajerami, przerzutkami, odblaskami, lampkami, sygnałem dźwiękowym. Wszystko co trzeba. Pełen full wypas...

– Też mi nowina. Cała Polska teraz przesiada się na rowery. Świeże powietrze, spacer, mniej przebywania w zamkniętych pomieszczeniach, autobusach, metrze...

– Ale ja kupiłem rower nie po to...

– Czyli od początku zamierzał pan naruszać prawo?

– Jakie tam od początku. Niczego nie zamierzałem naruszać. Ale tak sobie jeżdżąc w kółko po naszych uzdrowiskowych alejkach, w nastroju – jak się pan komisarz pewnie domyśla – mocno wiosennym, wpadłem na pomysł... a właściwie na jedną panią kuracjuszkę.

– Potrącił pan kuracjuszkę? Dopisujemy do kolekcji kolejne przestępstwo.

– Zaraz potrącił. Przysiadłem się tylko. Tam w Parku Zdrojowym te ławki to wymyślał jakiś miłośnik narzędzi tortur. Człowiek posiedzi piętnaście minut i nie może się wyprostować. Ale czego się nie robi, kiedy człowiek czuje powinność. No i wie pan komisarz, próbowałem, wiadomo, jak wygląda życie kuracjusza.

– ?

– Nie rozumie pan?

– Nie bardzo...

– Nie wie pan komisarz, co robią kuracjusze, kiedy już są po różnych tam biczach wodnych i kąpielach zdrowotnych w błocie nazywanym dla niepoznaki borowiną?

– To ja zadaję tutaj pytania, zapomniał pan?

– Rzeczywiście! No więc, skoro pan komisarz pyta, to powiem... Zna pan, takie kuracyjne powiedzenie: już dzionek mija, a ja niczyja? No więc próbowałem... I dostałem kosza...

– Ale co ma do tego rower?

– Rower nic. Ale muzyka. To było, jeśli ważna jest kolejność, kiedy już dostałem tego, wstyd powiedzieć, kosza. Wsiadałem na rower, żeby się dyskretnie oddalić. Opuścić to miejsce wstydu i porażki. I wtedy usłyszałem gdzieś z daleka jakąś melodyjkę. No a dalej... Samo poszło! Ruszyłem i same nogi mnie poniosły... To był chyba walc. Coś łatwego. Od razu wzbudziłem zainteresowanie spacerowiczów.

– Bo musieli uciekać z drogi. Jechał pan wężykiem...

– Zaraz tam wężykiem. Był mały ruch. Mżawka. Tylko kaczki przy kaczkomacie coś tam kombinowały, choć na amory to chyba nie było pogody. Ale na paru spacerowiczach udało mi się zrobić wrażenie!

- A szczególnie na spacerowiczkach.
- Pan komisarz to mógłby sam spisać moje zeznanie. Byłoby szybciej, prościej i mniej mitręgi. Na spacerowiczkach, co tu zaprzeczać, też.
- I co było potem?
- A potem kupiłem na targowisku takie małe radyjko, znalazłem jakieś programy muzyczne, walce, tanga, trochę poćwiczyłem i...
- I był efekt?
- A co pan komisarz taki ciekawy?
- To jest przesłuchanie, szanowny panie notoryczny przestępco.
- Zapomniałem. Tak się sympatycznie z panem komisarzem rozmawia... Efekt był. Tylko wie pan, na walce... choć się łatwo jedzie, no i ja to też lubię, taką spokojną muzykę, no trochę tylko wężykiem, ale bez przesady, to można złowić tylko panie pamiętające drugą wojnę światową. A co można złowić na walca z operetki Jana Straussa albo Lehara? Trudniej z tangiem. Rytm da się utrzymać, ale to już wymaga pewnych ćwiczeń. Choć różnica w peselu niewielka, ale powalczycь warto.
- A pan jeszcze przed emeryturą...
- Przed emeryturą to już byłem. Choć ma pan rację. Człowiek na kuracji gubi dziesięć lat. A niektórzy nawet i więcej. Tango czy jazz tradycyjny to już trochę lepiej. Warszawska Orkiestra Sentymentalna zrobiła wiele dobrego dla rozpropagowania tamtej muzyki, zainteresowała nawet młodzież...
- A rock and roll?
- Chyba, że na rowerze by jechał sam Elvis Presley.
- Czyli podszedł pan do zadania bardzo ambitnie.
- Właściwie to nawet nie ja, ale mój pasażer. Kiedyś grał w orkiestrze muzykę klasyczną, ale chyba bez przekonania. Bo nie chciał „tych staroci” – cytuję kolegę. Tylko jazz improwizowany albo rap. Ale jak tu jechać w rytm jazzu, mówię o improwizowanych kawałkach. Przecież tu nic się nie da przewidzieć! A z kolei rap... to jak walenie cepem. Niby proste. Ale jakby trzymać się tego rytmu, to nie widzę szans. Tu trzeba trochę cyrkowych umiejętności posiadać, kierownicę puścić, przejechać na jednym kole. Na tylnym to prosta sprawa, ale na przednim, człowieku, przejeżdż. A jak rap jest na dwa głosy?
- I pan poszedł na całość! Dla chcącego nie ma nic trudnego.
- Właściwie musiałem. Próbowałem nauczyć pana Stasia jazdy na rowerze. Ale on jest oporny. No więc go na ramę i...

- W rytm rapu?
- Ja już miałem wprawę. Nawet rap był mi niestraszny... Ćwiczenie czyni mistrza. Nawet i rap. Tylko że trochę zasłoniło mi drogę. To fakt.
- Rap panu drogę zasłonił?
- Żarty się pana komisarza trzymają, a ja gorę – był taki serial kiedyś. To pan Stasiu zasłonił. Niechcący. Ale jakoś się jechało, aż...
- Aż się wjechało.
- Się wjechało.
- Raz drugi i trzeci...
- Ale się nie chciało.
- Tylko tyle?
- Nie no, teraz to sobie myślę, że trzeba było zostać przy walcach. Człowiek jechał lekkim wężykiem, muzyczka się sączyła delikatnie jak strumyk na nizinie, ludzie się odsuwali, uśmiechali, pełna kultura. Trzeba było się tego trzymać. Ewentualnie Nowego Orleanu, ostatecznie tango...
- No właśnie, tango...
- Ale co można złowić na tango?
- O! To pan jest wędkarzem?
- W jakimś sensie. Trzeba z żywymi naprzód iść. Niższy pesel to inna muzyka. Człowiek czasu nie oszuka... Proponowałem, krakowskim targiem, sambę, fokstrota... Ale Stasiu nie dał się przekonać!
- A disco polo pan próbował?
- Panie komisarzu, miałem ryzykować życiem? Proponować disco polo muzykowi z filharmonii? Próbowałem go przekonać. Ale pewnie nic by się nie stało, gdyby nie pan Stasiu na ramie. Nie zamierzałem nikogo przejeżdżać. Liczyłem, że się uda...
- Mnie interesują fakty, a pan o intencjach. A nie pomyślał pan, że w tych okolicznościach powinien pan zrezygnować?
- Zrezygnować? W takich okolicznościach przyrody? Pan komisarz żartuje!
- Jakich znowu okolicznościach przyrody? Jak ja mam to zaprotokółować!
- To pan nie wie, że okoliczności są ważne? Panie komisarzu, pan nie mówi poważnie! Wiosna, pora zakochanych, cały świat śpiewa, wącha kwiatki, podrywa. Weź pan te kaczuski przy kaczkomacie. Wiosenne zauroczenie.
- Raczej wiosenne zamroczenie.

– Jak zwał tak zwał, panie komisarzu. Mleko i tak się rozlało... Inaczej bym tu przed panem nie siedział... oby nie gdzie indziej! Brrr!

– No właśnie. Przez pana wiosenne zauroczenie są liczni poszkodowani.

– Drobne zadrapania. Wielce mi poszkodowani. Najbardziej pan Stasiu, bo kilka razy spadł z roweru. Ale on o nic nie ma pretensji. Co miał połamane, to i ma. Zresztą Stocer blisko. Co trzeba było, to mu złożyli. Skargi nie składał. Bo na kogo?

– Na kogo? Na pana! Ale pan chyba uważa, że na wiosnę!

– Z ust mi pan komisarz to wyjął. Jak tu się skarżyć na wiosnę?

Jan Strękowski

Artur Zióntek

W Sądzie Miejskim

W Sądzie Miejskim finał znalazła sprawa dyskusji, którą Jan Maszrumowski, zwany tu dla niepoznaki obywatelem, stoczył z Mariolą Prast, zwaną tu obywatelką, co nawet jej się podobało. Dla uważnego rozpoznania sprawy Jana mieniono oskarżonym, a Mariolę różnie. Mówiono o niej poszkodowana, powódka, a najchętniej wołano by ją adwersarką lub adwersażystką, ale Najwyższe Władze nie mogły się zdecydować, która forma jest poprawna. Ostatecznie na rozprawie wstępnej ustalono, iż Sąd rozpatrzy tę kwestię na osobnym posiedzeniu i w obliczu niejasności formy i braku jednoznacznych rozstrzygnięć państwowych, samodzielnie podejmie decyzję w sprawie poprawności językowej, a ponadto powoła Komisję Dyscypliny Językowej miasta Kossowa, w której zasiądą przedstawiciele umysłów lokalnie najtęższych. Ale to później.

Wysoki Sędzia i Wysoka Sędzia zasiedli na podwyższeniu, na które zaadaptowano podest spod dawnego nauczycielskiego biurka. Wisząca za nimi tablica lekcyjna ozdobiona była w części centralnej pięknym rysunkiem godła państwowego i flagą, która narysowana kredą była w tej wersji białozielona, ale i tak wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Na skrzydłach wypisano piękną kaligrafią słowa WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ, WOLNE MEDIA, PRECZ Z WOJNO oraz nazwy miast partnerskich Kossów i Karakov. Na tym tle wysokie sędziostwo prezentowało się nad wyraz okazale. Ich surowe oblicza budziły zrozumiałe respekt, a nawet strach. Sprawiedliwość odmieniana przez wszystkie na nowo zdefiniowane przypadki przebiegała przez salę posiedzeń w postaci szeptu wymykającego się z ust zgromadzonej publiki. A trochę tej publiki było, bo każdy chciał być świadkiem pierwszej sprawy w miejscowym sądzie.

Okoliczne sklepy przeżywały właśnie swoje złote żniwa. Napoje gazowane z nieodłącznymi słómkami i chrupiące przekąski znikwały w okamgnieniu. Pani Leokadia, pracownica sklepu spółdzielni Samopomoc Miejska Sp. z o.o., zaczepekowana białym nakryciem głowy uwijała się przedreptując co chwilę ten sam niewielki odcinek handlowej powierzchni.

– Kolejny bedo, jak ta lala – podszeptał ubawiony Michał Kwarc do swej korpulentnej żony, muskając ją po uchu solidnymi wąsiskami.

– Się napasała, to i dziur narobi w podłodze spółdzielni, a potem my będziemy musieli za to płacić – odpowiedziała mu żona nieco mniej subtelnym szeptem, spoglądając po twarzach innych klientów w oczekiwaniu wsparcia.

Pani Leokadia wyłapała z ogólnego rwetesu jej słowa i mimowolnie posłała równie korpulentnej Halinie jedno ze swych znanych powszechnie spojrzeń.

– I już możesz Halka iść w pizdu, bo nic u mnie nie kupisz. I takie ogłoszenie mam ogólne, że jakby kto jeszcze chciał mnie tu co komentować, to od razu zapraszam pójść za nią.

W sklepie nastała cisza, a kolejni klienci grzecznie, a może nawet z jakąś nabożną powagą, najuprzejmiej jak tylko umieli, prosili panią Leokadię o czcigodny asortyment. Obładowani torbami, przemieszczali się podobną kolejką do zaimprovizowanego gmachu Sądu.

Przed Wysokimi Sędziami, nieco niżej po ich lewej stronie przy ławce zasiadała ubrana w elegancki róż obywatelka poszkodowana Mariola Prast, skrywająca się za parawanem nieustępliwego uśmiechu. Naprzeciwko niej, czyli po prawej stronie sędziów, siedział Jan Maszrumowski ze skwaszoną miną.

Mariola zerkała triumfująco na gromadzące się audytorium. Gdy zatrzymała wzrok na Janie, z lekkim przejściem wstała i zwróciła się w stronę Sądu:

– Najmocniej przepraszam, ale czy Wysoki Sąd mógłby coś zrobić, żeby ten tu oskarżony – wskazała palcem na Jana – nie robił takiej czerwonej mordy, bo to już zawczasu wprowadza wszystkich w błąd. Że on niby taki cierpiący, a jak cierpiący, to wiadomo, poszkodowany, a jak poszkodowany, to przecie wiadomo, że niewinny. A tu jeszcze orzeczenia nie było.

– Powtórzę łaskawie jeszcze raz, bo my tu z panio sędzio mówilim o czymś ważnym i żeśmy nie słyszeli w tym skupieniu.

– Najmocniej przepraszam, ale czy Wysoki Sąd mógłby coś zrobić, żeby ten tu oskarżony – powtórnie wskazała palcem na Jana – nie robił takiej czerwonej mordy, bo to już zawczasu wprowadza wszystkich w błąd. Że on niby taki cierpiący, a jak cierpiący, to wiadomo, poszkodowany, a jak poszkodowany, to przecie wiadomo, że niewinny. A tu jeszcze orzeczenia nie było.

– A, no to się rozumie. Oczywiście. Jak najbardziej, ależ czemu nie, skoro pani prosi.

Sędzia patrzył na Jana zde gustowanym wzrokiem. Nawet można było odnieść wrażenie, że wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Czemu mu się taka morda zrobiła?

– Bo to boli – wyjęczał Jan.

– Co go boli? – podchwyciła pani sędzia – typowy chłop, jeszcze się nie zaczęło, jeszcze kary na pysk nie dostał, a już go boli. No kończy się ten świat – powiedziała, energicznie poprawiając utapirowanie fryzury.

– Ale mnie ręce bolą – powiedział Jan, unosząc ściśnięte plastikową opaską dłoń.

– Ludzie drogie – wrzasnął sędzia, podrywając się z miejsca – weźta mu poluzujta trytytkie, bo mu całkiem krew odejdzie i nie będziem mogli sprawy przeprowadzić.

Na te słowa kilku mężczyzn z pierwszych rzędów rzuciło się w stronę Jana.

– Dej te ryncy... Trzyma prosto... Nie wierć się tak... Łodejdz dziadu przekłety – mówili jeden przez drugiego do Jana i do siebie nawzajem – Trzym, trzym... się dobrze napnie to puści, ona nie taka twarda...

Prowizoryczne kajdanki w końcu ustąpiły pod naporem skumulowanej siły kossowskich mężczyzn. Jan rozmasowywał przeguby, starając się zakryć rozciętą skórę. Chował ranę, by nie narazić się na czyjąkolwiek pomoc.

– Będziem naczynali – krzyknął dyszkantem woźny szkolny przemianowany na woźnego sądowego, Kapusta Walery – wstawajta, bo Sąd idzie.

– Co za człowiek! – westchnął pan sędzia do pani sędzi.

– Daj mu pokój, toż to stare i głupie, dobrze, że sam jeszcze łązić potrafi.

– My już tu so! Durniu jeden – wrzasnął pan sędzia do Kapusty Walerego.

– No to siadajta, bo sąd już tu so – odezwał się Walery do ludzi, a kiedy już to zrobili, po sali przeszedł się jazgoczący szelest otwieranych chrupków i syk ulatującego gazu z napoczynanych napojów. Dało się też jednak wyłapać i charakterystyczne chrobotnięcia...

– Uprzejmie się uprzedza – mówiła pani sędzia – że za wódkie można dostać karę. Lepiej żebym ja tego tu nie widziała, bo zara się wezwie pana Waldka, co kary w pysk nadzielać będzie od razu. Naczynajmy, panie sędzio.

– No to naczynajem. Zebraliśmy się tu z powodu ważnej sprawy, co to ją pani Mariola Prast do nas nadała, a rozchodzi się o sprowadzanie słowem zapisaniem na zło drogę naszych mieszkańców przez niejakiego przybłądę

Maszrumowskiego Jana. Tenże Jan, inaczej mówiąc Janko, napierdo... nawiązywał głupot w jakiejś ksiuźce i podał ją dalej w świat, przymuszając panią Mariolę, żeby to odczytała i przez to czas zmarnowała i niepotrzebnie unosić się musiała, a i drwiące myśli rodzić, a tego nie lubi, bo to nieładne i nawet nie wypada i nie przystoi jej. Wskutek tego przybędą Jan pogorszył samopoczucie Mariolci... przeprasza się za omyłkę, pani obywatelki Marioli i winien jest ponieść konsekwencje raczej dotkliwie. Czy dobrze żem to streścił? – na koniec sędzia zwrócił się do Marioli.

Sala dyszała z podniecenia. Nie było ważne czy ktokolwiek ze zgromadzonych zna i rozumie powód, ważne, że wszyscy zrozumieli, iż Jan sprowadza ich na złą drogę i najlepszym tego przykładem jest Mariola, która znalazła w sobie tyle cywilnej odwagi, żeby wykrzyknąć mu to wprost i żeby nie dokonywać samosądu, zgłosiła to organom najwyższym.

– W zasadzie tak, wysoki sędzie – mówiła spowita eleganckim różem Mariola – ale czy mogłabym opowiedzieć o tym sama, czy mogę wymienić wszystkie zarzuty?

– Ależ oczywiście – dobrotliwym tonem odpowiadał pan sędzia – pewnie, że pani może, nawet byśmy chcieli żeby pani sama opowiedziała, bo co to za sąd, jakby nie dopuścił, mówże kobieciuniu, a my tu wszystko jak powiesz, tak zrobim, jak powie żeby go uspokoić to mu trytytkie na nowo założym, jak powie, żeby już karę dać, to albo pana Waldka wołamy, albo do kozy i jutro kula w łeb, albo wieszamy. Będzie sprawiedliwość, niech się nie boja. Niech nam pani Mariolcia mówi.

Mariola pokręciła głową z lekką obawą, ale dziarsko ruszyła z argumentami.

– A więc, drodzy państwo, ten tu osobnik ma talent, owszem, ale rozbija go na drobne i pisze nieprawomyślne rzeczy.

– Ależ ona pięknie mówi! A jaka grzeczna buziuchna... – rozplęwał się pan sędzia, szepcząc do pani sędzi.

– No, no, może i... – pani sędzia niechętnie przyznawała rację panu sędziemu.

– Ten człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że literatura ma moc sprawczą, że jest w stanie wpływać na ludzi, na czytelników, którzy utożsamiając się z jego bohaterami, odnajdując w nich siebie, dostają złe wzorce rozwiązywania sytuacji. Niekiedy cały świat jest skonstruowany nie tak, jak być powinien. W tym pana świecie, panie Janku, jest tak dużo zła, którego mamy wszyscy pod dostatkiem dokoła, że te pana, pożał się Boże, utwory nie powinny nigdy zaistnieć.

Sędziowie przytakiwali delikatnymi skinieniami, pani sędzia ugasiła ostatnie zarzewia niechęci wobec obywatelki, a pan sędzia ukradkiem ocierał łzy wzruszenia wywoływane piękną mową Marioli.

– Tak się nie powinno pisać...

– A według kogo? – wtrącił się Jan z pytaniem.

– A co to za pyszczenie?! – krzyknął pan sędzia, podrywając się z krzesła – Jak mordy nie stuli, to zara pan Waldek będzie mu kulturę przetłumaczał. Zara będzie sprawdzał, jak się kanapki działkami gryzie.

– Ja sobie poradzę, panie sędzio, ale dziękuję – kontynuowała Mariola – wie pan, panie Janku, według mnie nie powinno się tak pisać w ogóle, bo to tylko ze szkodą dla pana i czytelników. Im trzeba pokazywać pozytywne wzorce, tu nikt nie wychwyci wyszukanych metafor, tu jest potrzebny prosty przekaz. Tak, żeby każdy mógł to zrozumieć. A pan tu takie...

– Czy już mogę, wysoki sędzie?

– Pani Mariolu, czy oskarżony ma mówić? – zwróciła się pani sędzia do obywatelki skarżącej.

– Nie – odpowiedziała Mariola – on już się nagadał, a tu nikt nie potrzebuje słuchać jego pokrętnych tłumaczeń, które i tak nic nie zmieniają. Co napisał, to napisał. I tego nie cofnie, bo nie ma jak. Może w końcu niech zacznie słuchać zamiast mówić.

– Zrozumiał? – rzuciła pani sędzia do Jana.

Jan potakująco kiwnął głową.

– No to może niech i gębo niech potwierdzi. Trudno?

– Wysoki Sędzie, zrozumiałem wszystko.

– No to siad na dupę i niech słucha dalej – powiedział pan sędzia – niech pani prawi dalej, Mariolko.

– Ja wiem, że pan by najchętniej odpowiedział, że nie tylko w Kossowie są ludzie i nie tylko dla nich pan pisze, ale to jednak też są ludzie. Nie może ich pan ignorować. Nie ma pan prawa! – ostatnie słowa prawie wykrzyknęła.

Publiczność biła brawo.

– Nie znoszę takich książek. Mam dość czegoś takiego. I tego pańskiego pisanie, i tych książek, które każe mi pan czytać.

– A to degenerat... – krzyknął ktoś z sali.

– Ale to jedna sprawa. Jest i druga, która pokazuje jak pokrętne cele panu przyświecają w tej, powiedzmy, twórczości. I mam tu taki jeden przykład, który jest ważny. To punkt drugi oskarżenia.

– Tak, tak – pokiwał głową pan sędzia – to wybitnie ważna rzecz będzie teraz mówiona.

– Jest taki jakiś poeta – kontynuowała Mariola – nazywa się Świergot i w tej książce, co to kazał mi ją pan czytać...

– Przecież ja pani nic nie kazałem – wtrącił się wzburzony Jan.

– No, dosyć tego – wrzasnął pan sędzia – dawajta tu Waldka!

Kapusta Walery wyjął z kieszeni spodni telefon i trochę mocując się ze wzrokiem, wybrał numer. Zanim skonsternowana Mariola wróciła do swego wyводу, woźny krzyknął: „obiad dokończy i wpadnie”.

– W tej książce, co jej niby nie kazał mi pan czytać, są dwa wiersze poety Świergota.

– O – wtrącił z mądrą miną pan sędzia. – To dobry chyba ten poeta. Dwa wiersze napisał, to tak, jakby w sam raz, bynajmniej. Nie za dużo, nie za mało. Zamiast wydzierać się tu – teraz już mówił do Jana – niech się zacznie uczyć od lepszych od siebie. Taki poeta Świergot, to jest coś! – mówiąc, zerkał na Mariolę, sondując, czy aby na pewno mówi to, co powinien, żeby jej zaimponować.

– To ciekawy poeta. Przeczytałam te jego dwa wiersze, a potem pana artykuł o nim. I rozbawił mnie.

Sędzia się zaśmiał i w tej samej chwili cała sala ryknęła gromkim śmiechem.

– Był śmieszny, ten pański tekst, tak jak i pan jest śmieszny w swoim napuszeniu. Tak pan chwali tego Swiergota, tak... tak... sama nie wiem, jak to powiedzieć, ale tak pan go naopisywał, całą jego biografię na dwóch stronach wcisnął, jakby to do jakiejś encyklopedii miało być, tak pan nawymieniał te jego książki, że niby tyle opublikował.

– Właśnie – dorzuciła pani sędzia. – Że niby tyle opublikował.

– I tak nawrzucał pan tych trudnych słów jak jakiś profesorzyzna, za przeproszeniem, że niby pan taki mądry, tak się chwali, taki erudyta niby.

– Rozumiem, że pani woli poziom pana sędziego.

Pan sędzia już się podrywał z miejsca, ale uspokojony tym, że mówi się o nim i mówi się dobrze, usiadł i tylko pogroził pięścią Janowi. Mariola nie zareagowała.

– I jeszcze pan tu dorabia mu jakieś ideologie, jakiegoś Jahwe, którego tam nie ma, a tylko zwykły bóg jest. Naprawdę powinien się pan ogarnąć. Niech pan przeczyta to jeszcze raz. Ja nawet rozumiem, że to było dawno i pan tak sobie wtedy wypisywał te niezrozumiałe rzeczy. Ubawiłam się tą pańską bufonadą, tym zarozumiałstwem, tym poczuciem, że niby jest pan lepszy, bo zna jakieś dziwne słowo, jakieś onto... coś tam. – Mariola zaśmiała się serdecznie. – To takie głupie i naiwne.

Sala zanosiła się śmiechem za każdym razem, gdy tylko Mariola dała im do tego impuls.

– Ze wzruszeniem, prawdziwym wzruszeniem słucham pani tyrad – odezwał się Jan, wciąż zerkając na Wysoki Sąd, by w porę przerwać, gdy tylko pojawi się cień niezadowolenia – i zazdrość pani. Przeczytała pani dwa wiersze i w lot zrozumiała kilka książek poetyckich. Przeczytała pani mój artykuł i wyśmiała go, nic z niego nie rozumiejąc. Najbardziej jednak zazdrość pani tej prostolinijnej pewności, że z racji umiejętności czytania, zna się pani na wszystkim, co napisano.

– Ano pewnie! – klasnął pan sędzia – pewnie, że się zna i dobrze się zna, a jeszcze lepiej, że coś mu do tego łba dochodzi w końcu.

Po tych słowach po sali przeszło westchnienie wzruszenia, a zaraz po nim rozległo się miarowe niczym marsz chrupanie chipsów.

– Gdy zagłębiłem się ostatnio we fragment jakiegoś tekstu o wielkim zderzaczach hadronów, bo leżał w toalecie zamiast papieru, to nie miałem pretensji do autora, że niewiele rozumiem, że nie znam słów, których używa. Raczej zakiełkowało we mnie ulotne wprawdzie, ale jednak pragnienie, by sprawdzić ich znaczenie i może zrozumieć całość. Nie obruszałem się, że język jest hermetyczny, bo przyjąłem, że nie znam się na tej dziedzinie. A styl, jak styl...

– Pani Mariolko, czy mamy tego słuchać? – zapytała pani sędzia podejrzliwie.

– Tak, tak, wszystko w porządku, ten biedny człowiek nie umie sobie po prostu poradzić z własnym poplątaniem. Pisać trzeba prosto, zrozumiale, a pan myśli, że jak nawcisza niezrozumiałych słów, to taki mądry będzie, że wszyscy pomyślą, że niby taki czytany erudyta. Jeden wiersz, a pan tak wciska te różne inne książki do niego, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– A jedność myśli? A jej ciągłość? A nawiązania do tematów podejmowanych przez innych? Myśli pani, że wszyscy poeci są prości jak pani Zenia, którą tak pani chwali, która pisze o własnych uczuciach? A może są twórcy, których interesuje coś więcej niż doraźne emocje i przepracowywanie traum? Za bardzo utknęła pani w prowincjonalnym wierszoklectwie.

– Un nas na pewno nie obraża? – podejrzliwie zagaił pan sędzia.

– Już prawie, ale niech jeszcze dokończy – odpowiedziała mu Mariola.

– Był na przykład taki pan Herbert...

Wysoki Sąd znowu zerknął na Mariolę pytająco.

– No był taki...

– Też jakiś łapiduch od wierszy?

– Tak, tak, pani Sędzio.

– Dobry? Taki na dwa wiersze jak ten wasz Szwargot? – zapytała pani sędzia.

– Lepszy – odpowiedziała Mariola.

– Uuuuu... – westchnął pan sędzia – o poważnych rzeczach w naszym sądzie się debatuje. Sam nie myślałem, że w takich sprawach będę osądzał, ale jak mus, to mus.

– No to on pisał wprost o zaklinaniu słów i odnalezieniu formy odpornej na działanie czasu, bez której nie ma „frazy godnej pamiętania, a mowa jest jak piasek”. To jest mowa, której chce pani, mowa inżynierii dusz, co już znamy, mowa moralizatorska, pouczająca wprost, zakładająca, że czytelnik to idiota niezdolny do wyciągania wniosków – rozsierdzał się Jan.

– No toś się bydlaku doigrał – ryknęła sędzia i w tej samej chwili do sali wszedł pan Waldek.

W mig pojawił w czym rzecz i od razu udał się w stronę Jana Maszrumowskiego.

– Wal go w mordę, bydlaka! – krzyknęła pani sędzia.

Szum chipsów, gniecionych opakowań i walających się butelek zagłuszał krzyk kibicującego panu Waldkowi audytorium, zagrzewającego do wymierzenia jak najślusznieszej i jak najbardziej dotkliwej kary. Waldek, masarz, miał fach w rękach, więc radził sobie doskonale.

Mariola Prast patrzyła na to z lekką wzdargą. Nie pochwałała jakiegokolwiek przemocy. Ona by tak nie zrobiła, tak nie można, przecież dokoła tyle przemocy, po co nią epatować w sądzie, nawet jeśli jest sprawiedliwa? – łajała w myślach wszystkich dokoła. I ci ludzie tak się cieszą, że tęgi chłop bije jakiegoś chuderlaka. Nieładnie. Nie podobało jej się to. Nawet się zastanawiała, czy nie wyjść, żeby nie musieć na to patrzeć. To nie był jej świat.

Gdy Waldek zakończył udzielanie lekcji pokory Janowi Maszrumowskiemu, pan sędzia nakazał wynieść skrwawione ciało na korytarz i wezwać pogotowie. Sam zaś ogłosił, że rozpatrzył sprawę na bieżąco i razem z koleżanką sędzią postanawiają, co następuje:

– Odebrać Janowi Maszrumowskiemu kłuter oraz wszystko, co się nadaje do pisania. Żeby mie tu wszystkie pamiętali, zwłaszcza sklepikarze, że żaden jeden nie może mu sprzedać, ani pożyczyć, ani dać na kreskie długopisów, ani ołówków, ani mazaków żadnych, ani nawet kredek, nawet jakby się zarzekał, że tera malować będzie. Farb też nie. Ani papieru, ani zeszytów, ani nawet ryby mu nie pakować, ani kiełbasy w papier, bo to nie

wiadomo co ta patologia zrobić może. Sprawę się zamyka. I niech no ktoś da znać do gazet krajowych, o jakich tu się sprawach w tym naszym Kossowie poważnie debatuje.

– Aleś to mądrze powiedział – szepnęła pani sędzia do pana sędziego, kładąc mu dłoń na udzie.

Wyjazd

Pensjonat okazał się niewielkim, dwupoziomowym domem prywatnym, w którym dół zajmowała właścicielka z rodziną, a góra została całkiem udanie zaadaptowana na część gościnną dla turystów. Wprawdzie definicja pensjonatu mówi o lokalu z przynajmniej siedmioma pokojami, a w „Andzi” było ich tylko pięć, ale Jan pomyślał, że w kraju, w którym definicje zmieniają się tak szybko, jak hasła na sztandarach, nie ma to zupełnie żadnego znaczenia. Wiedział też jednak, że ktoś z pięciorga jego kompanów, prędzej czy później temat podejmie, bo przecież urzędnik państwowy od regulacji wszystkiego, nawet na urlopie pozostaje wciąż baczny obserwatorem wprowadzanych przez siebie zapisów. Wspólna jazda pociągiem do Zakopanego uświadomiła mu to należycie. Starał się zasnąć, a gdy wiedział, że marne ma na to szanse, to przynajmniej udawał, że śpi. Nie chciał uczestniczyć w rozmowach, nie chciał zagadywać, ani odpowiadać na pytania, ani też samodzielnie włączać się w napuszone dywagacje młodych inteligentów. Był starszy i nie potrafił znaleźć punktu zaczepienia. Jedyńm łącznikiem między nim, a pięciorgiem współtowarzyszy była Ewa, z którą związał się prawie rok wcześniej i która doszła do wniosku, że czas cementować związek, łącząc znajomych. Wspólny wypad do Zakopanego miał być czterodniowym wieczorkiem zapoznawczym. To znaczy Ewa zaplanowała, że poznają się na dobre w pociągu, pierwszego wieczoru polubią, a drugiego już będą za sobą przepadali. Tak też przedstawiła to Janowi, który porównując zebrane przez nią dane wycieczkowiczów, nieopatrznie zerknął na ich pesele. To nie może się udać, pomyślał, ale nie śmiał mówić tego głośno. Nie chciał wprowadzać zbędnego napięcia. Nie było do niczego potrzebne, niczemu by nie służyło, bo decyzja o wspólnym wyjeździe zapadła na szczeblu wyższym niż jego pozycja w tej grupie. Był najstarszy wiekiem i miał najniższą pozycję w stadzie. Trochę jak zdegradowany do stopnia szeregowego żołnierz towarzyszący młodym generałom, a przynajmniej pułkownikom.

Spotkanie na dworcu było miłe. Jan nawet ucieszył się, widząc, jak serdecznie reagują na Ewę kolejno dochodzący znajomi. Była lubiana. Nie mógłby z czystym sumieniem przyznać przed sobą, że najbardziej ze wszystkich, ale taka myśl poparta obserwacjami kielkowała w nim już wcześniej przy zdawkowych spotkaniach w restauracji, otarciach w kolejce do teatralnej kasy i zwłaszcza na jednym z ostatnich wernisaży w Zachęcie, gdzie poznał sporo osób z jej towarzystwa. Ale tak jak żywiolowo reagowali na Ewę, tak beznamiętnie reagowali na niego. Muśnięcia dłoni, uciekający wzrok i odwracanie się plecami chwilę po przedstawieniu, ale wszystko z szerokim uśmiechem kierowanym do Ewy. Wymuszona ciepłota doskonale pasowała do złego kina. Już sam instruktaż, którego udzieliła mu dziewczyna przed wyjazdem był co najmniej zadziwiający. Nie mógł mówić za dużo o swojej pracy, a najlepiej pominąć fakt, że jest lektorem, to znaczy może mówić, że pracuje przy audiobookach, ale niech lepiej nie mówi za dużo o filmach, żeby nie wyszło, że się wywyższa. Wszystkie rachunki w knajpach są składkowe, każdy płaci za siebie i żeby zapamiętał, że ona też przy nich płaci za siebie sama. Żadnego usługiwania, póki ktoś nie poprosi, żadnego przepuszczania dziewczyn, przynajmniej nie tych, które będą z nimi, żadnego doradzania przed wyprawami w góry, ani jakiegokolwiek pokazywania, że ma w tym doświadczenie. Większość z nich to nowicjusze, ale dosyć dobrze odcytani, więc wiedzą, co mają robić. Skonsternowany Jan zapytał, czy może w ogóle się odzywać. Ewa odpowiedziała ze śmiechem, że owszem, jak najwięcej o neutralnych rzeczach. Jan jednak nie bardzo wiedział, co to znaczy i jakie rzeczy lub tematy można uznać za neutralne. Rozbawiona rozmową Ewa ucałowała go, mówiąc, że dla niej jest najważniejszym człowiekiem na świecie, że nie myślała, by kiedykolwiek mogło spotkać ją w życiu tyle dobra od drugiego człowieka i tyle miłości, ale dla nich musi być przezroczysty jak namoczony papier ryżowy, widać, że coś jest, ale nie odgrywa zbyt dużej roli. Gdy Jan dopytywał w zakłopotaniu, skąd te obstrzenia, Ewa powiedziała, że zależy jej na dobrej atmosferze, żeby wszyscy byli zadowoleni z wyjazdu. Ale mi tego bronisz, odpowiedział. Ewa zaprzeczyła, dopowiadając figlarnie, że już ona zadba o jego zadowolenie i komfort, ale zależy jej również na przyjaciółkach. Są wprawdzie nieco osobliwi, ale jednak są. Jan nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią, lecz nie zamierzał wchodzić w zbędne dyskusje, żeby na starcie nie zepsuć Ewie wyjazdu.

Przywitano się z nim życzliwie, ale bez przesady. Widział, że dla niektórych jest zauważalnie starszy od ich przyjaciółki. Widział nawet

zdegustowanie u jednego z kolegów, ale szybko miało się okazać, że jego źródłem jest nie tyle sam fakt dostrzeżenia różnicy wieku, blisko piętnastu lat, co nieudolnie skrywane podkochiwanie się w Ewie. Rozbawiło go to. Jego wybranka była kobietą, do której mężczyźni lgnęli. Wiedział o tym doskonale i równie doskonale to rozumiał, był przecież jednym z tych, którzy doświadczyli jej czaru i ulgnęli do niej na dobre.

W pociągu zajęli cały przedział. Marek, skryty amant, wykupił dwa dodatkowe miejsca, aby nikt się do nich nie dosiadł i przewidziane na podróż pięć godzin i pięćdziesiąt minut spędzili bez towarzystwa przypadkowych osób. Wspominał o tym kilkakrotnie podczas jazdy i Jan nie wiedział, czy to przytyk do niego, do jego obcości, czy chęć wyłudzenia podziękowań za przebiegłą inwestycję w komfort jazdy. Nie miał jednak czasu na gruntowne rozważania, bo tematy rozmów zmieniały się jak w kalejdoskopie. Najpierw nastąpiły podręcznikowe wymiany fachowych uwag o górskich wyprawach połączone z częściową demonstracją sprzętu. Najważniejsze, żeby wszystko było nowe, żeby jakieś stare zużyte dziadostwo nie rozleciało się w trakcie pokonywania szczytów, prawil Norbert cieszący się wyraźnym autorytetem w grupie. Najważniejsze, aby jednak nie były to nowe, tylko sprawdzone rzeczy, pomyślał Jan, ale powiedzieć tego nie mógł. Potem weszły rozmowy zawodowe i peany na cześć nowoczesnej myśli państwowej i ustalania przepisów, od kąta zakrzywienia banana zaczynając (żeby nie narazić się na wadliwe owoce), po konieczność malowania kropki w pisuarze, by niechlujni mężczyźni umiejętnie skupiali się na trafianiu moczem we właściwe miejsce. Dość szybko Jan zaczął markować chęć snu, co zostało przyjęte ze zrozumieniem. Nie martw się, powiedziała Łucja, rozumiemy, że w twoim wieku wygrać z ciałem niełatwo. Jan tylko uśmiechnął się i podziękował za zrozumienie. Włożył słuchawki do uszu, ale zamiast włączyć muzykę, czy odtworzyć przygotowane audiobooki wtopił się w słuchanie swoich kompanów.

Najpierw usłyszał kilka wymuszonych komplementów pod swoim adresem, kierowanych do Ewy, o wyważonej męskości, o dostojności wieku i atrakcyjnym głosie. Potem nieco troskliwych pytań czy aby na pewno da radę wyjść w trasy, czy nie będzie trzeba się nim opiekować. Wiesz Ewo, mówił Norbert, my go nawet polubiliśmy, ale góry to nie spacer po parku w sanatorium, nie będzie miejsca na niańczenie. Ewa ścisnęła go za rękę, poklepywała po kolanie, na co on odpowiadał ciepłym uśmiechem, i zapewniała, że Jan ma tak bogate doświadczenie górskie, że niejednego mogliby się od niego nauczyć, jeśli tylko zechcieliby posłuchać. Podziwiał

ją za odwagę, bo wydało mu się, że to już szczytowa kontra, na jaką można było sobie pozwolić. Nie musiał otwierać oczu, by wiedzieć, że jedyną reakcją było pobłażliwe przewracanie oczami. W jego chęci słuchania tych rozmów było coś z gruntu masochistycznego. Świat tych ludzi był znacząco odległy od jego świata, nawet od świata Ewy. Jak ona z nimi się dogadywała? Jak łapała tę najcieńszą i niezobowiązującą nić porozumienia? Nie rozumiał. Co ciągnęło ją do tego towarzystwa? Też nie znajdował odpowiedzi. Wiedział jednak, że nie będzie mógł o to zapytać. Z radością odnotował tylko, że któraś z dziewczyn zakomunikowała, iż są już w połowie drogi.

Potem w końcu zasnął. A w śnie maszerował ubitą drogą w stronę Morskiego Oka. Mijały ich bryczki wiozące ludzi beznamiętnie i jakby z wyrzutem sumienia zerkających na piechurów. Jan nie należał jednak do grona tych, którzy by przyklejali się do jezdni, by protestować przeciwko końskim zaprzęgom. Pamiętał ze swojego dzieciństwa wszechobecne konie na wiejskich polach, więc kojarzyły mu się bardziej z ciężką pracą u boku spocynych ludzi niż kolorowymi jednoroźcami. Dziewczynka hasała po drodze, a on wciąż się do niej uśmiechał. Nagle podskoczyła i zniknęła, zupełnie jakby rozmyła się w powietrzu, rozpraszając na miliardy niewidzialnych cząsteczek. Jan stał w osłupieniu. Janek! Janek! – usłyszał głos dobywający się z wnętrza swojego żołądka. Otworzył oczy. Z trudem wrócił do przedziału, w którym wszyscy zbierali się już do wyjścia. Pociąg wciąż jechał, ale wytracał prędkość. Może ci pomóc? – zapytał stojący nad nim Marek. Wszystkie walizki stały już na podłodze. Tak, gdybyś mógł go zdjąć, odpowiedział Jan, zerkając na swój plecak, i pomóc mi go nieść, byłbym wzruszony. Ewa trąciła go łokciem. Marek stał, nie wiedząc co ma zrobić, a w jego oczach buzowała złość. Jan samodzielnie ściągnął plecak i pierwszy wyszedł z przedziału. Ewa po chwili dołączyła do niego. Nie musisz tego rozumieć, powiedziała, ja po prostu chcę z nimi być i zależy mi na nich. Jan, wciąż miotając się między snem a rzeczywistością, uśmiechnął się, ale daleko było mu do radości. Rozumiem, odpowiedział, ale niezręcznie czuję się w sytuacji, gdy pięć osób wpycha mnie w kostium inwalidy. Nie kończ, poprosiła Ewa, całując go w chropawy od zarostu policzek.

Po dwudziestu minutach sprawnego marszu stanęli pod „Andzią”. Po kolejnych byli już zameldowani i krzżeli się każdy po swoim pokoju. Ewa i Jan, w przeciwieństwie do swoich kompanów, nie mieli w zwyczaju zostawiania rzeczy w walizce, więc skrzętnie rozpakowywali ubrania, by oswoić przestrzeń, niech na tych kilka dni stanie się ich przestrzenią, a nie miejscem czasowego pobytu. Wtórowała im Eliza, która w każdym miejscu, jak

mówiła, organizowała sobie namiastkę domu. Norbert, lubiący uchodzić za doświadczonego survivalowca, twierdził, że to głupie, bo w razie ewakuacji będą mieli kłopot. Strach pomyśleć, jak wygląda twoje mieszkanie, powiedział ze śmiechem Jan, za co szybko został skarcony trąceniem łokcia. Na jego żart nikt, oprócz Ewy, nie zareagował.

Wieczorem wszyscy spotkali się w ogólnodostępnym salonie nazywanym „studium” i przy dźwiękach odkorkowywanych butelek snuli plany na następny dzień. „Marszrutę” opracowywał Norbert. Marek stał nad nim pochylony, z aprobatą kiwając głową. Dziewczyny wtrącały się do rozmowy, ale autorytarność planisty nie pozostawiała im zbyt wiele pola do popisu. Śmiały się z tego, popijając z wino. Jedynie Eliza bardziej była zajęta koniecznością rozchodzenia butów, które przez cały rok leżały schowane w piwnicy. Trzeba było powiedzieć, rzekł Marek, jak nie masz kasy, to przecież ogarnęlibyśmy ci coś nowego. Te są sprawdzone i wystarczające, muszę się tylko na nowo z nimi zgrać, odpowiedziała Eliza. Marek machnął ręką i zerknął porozumiewawczo na Norberta. Twoja sprawa, powiedział ten, obyś nie żałowała. Nie słuchaj ich, szepnął Jan, jeśli planujecie bardziej wymagające trasy, to buty nie powinny być nowe. Ewa, widząc irytację chłopaków, trąciła go łokciem.

Wspólne biesiadowanie nie trwało długo. Gdy wrócili do pokoju, Ewa zapytała, czy nie zamierza zsunąć łózek, które stały do siebie szczytem. Jan wymówił się, odpowiadając, że nie wie, czy i przez sen nie będzie go dzobiła łokciem w bok, więc może jakoś przeżyją tę chwilową rozłąkę. Jak wolisz, usłyszał i położył się pod kołdrę.

Pensjonat nie był nowy, więc dało się wyczuć w pokoju delikatną woń stęchlizny oraz wilgoci. Jan lubił ten zapach. Kojarzył mu się z dzieciństwem spędzonym u dziadków w starym drewnianym domu, zanim ci przeprowadzili się do pustakowego monstrum wzniesionego im przez syna. Nagle naszła go myśl, że jest w wieku, w którym sam mógłby już zostać dziadkiem, a nawet zostać nim powinien, ale splot głupich wypadków pokrzyżował te plany. Nie chciał jednak o tym myśleć. Wiedział, że jeśli dopuści do siebie zagłuszane i przepracowywane latami wspomnienia, to zepsuje wyjazd nie tylko sobie, ale i Ewie, a tego nie chciał. Była dobrą dziewczyną, cieszył się, że ją spotkał i że mogą w spokoju tkać swój gobelin życia w stonowanych kolorach. Zasypiał więc z uśmiechem terażniejszości, choć zganianym w kąt przez pokrzykujące majaki pamięci.

Jan nie uczestniczył zbyt aktywnie w wieczornym opracowywaniu trasy wypraw, więc nie wiedział jak mają przebiegać. Zgodnie

z deklaracją złożoną Ewie, chciał poddać się grupie. Rankiem, gdy stał już w swym górskim rynsztunku, okazało się, że jego kompani postanowili wybrać się, w ramach rozgrzewki, nad Morskie Oko. Wrócił więc do pokoju, by przebrać się w nieco lżejszą odzież. Pogoda była słoneczna, zapowiadano nawet upały, więc włożył krótkie dżinsowe spodenki, płócienną koszulę z podwiniętymi rękawami i lekki materiałowy kapelusz mający chronić go przed promieniami słonecznymi. Do niewielkiego plecaka wrzucił butelkę wody i orzechowy batonik. Przyjaciele Ewy spojrzeli na niego lekko zdęgowani. Ubrani byli w jaskrawe stroje sportowe i potężne buty, które, jak pomyślał Jan, godne były przynajmniej Giewontu.

Ewa zapytała go na stronie, czy mógłby nie demonstrować pogardy wobec grupy, ona wprawdzie wie, że to trochę śmieszne uzbrojenie z ich strony, ale nie musi im przez to odbierać frajdy tą ostentacyjną wzgardą. Jan odpowiedział, że to raczej ta grupa, no może poza Elizą, okazuje mu nieustannie pogardę, a on po prostu realnie patrzy na zaplanowany spacer. Ostatnie słowo powiedział nieco głośniej, więc usłyszał je każdy i każdy spojrział na niego z nieukrywaną już dezaprobatą. Posłuchaj pan, odezwał się Marek stanowczym tonem, jesteście grupą i musimy o siebie dbać, jak będziesz się ociążał w tym plażowym ubranku, to tak, jakbyś chciał zmusić resztę, by się tobą opiekowała, a tu każdy jest odpowiedzialny sam za siebie, musimy być jednością, a nie grupą nianiek pilnującą, czy jakiś podrośnięty dzieciak nie zacznie nam płakać. Jan odpowiedział, że szanuje zasady grupy tak, jak samego siebie i jeżeli tylko grupa zauważy, że on się ociąża, to upoważnia wszystkich, by się nim nie przejmowali i szli swoim tempem, a on najwyżej zostanie nocną strawą dla niedźwiedzi, co w zaistniałej sytuacji jest całkiem miłą perspektywą.

Po opłaceniu biletów, oczywiście każdy sam za siebie, przekroczyli bramkę i weszli na trakt prowadzący wprost nad Morskie Oko. Jan miał przemierzyć tę drogę pierwszy raz od piętnastu lat. Po kilku krokach poczuł ukłucie w klatce piersiowej. Skrzywił się, łapiąc za koszulę, co nie uszło uwadze towarzyszy. Oho, rzucił Norbert pełniący rolę przewodnika, już się zaczyna. Wszystko dobrze? – zapytała Ewa z niewyraźnym wyrazem twarzy. W jej spojrzeniu mieszały się strach, troska i zniechęcenie, zupełnie jakby walczyły o prym w zawładnięciu jej emocjami. Tak, tak, odpowiedział Jan, wszystko dobrze, trochę tylko słońce mnie męczy. Napij się wody, powiedziała Ewa, poprawiając mu kapelusz na głowie. Dobrze, odpowiedział, dziękuję kochanie, jesteś dobrym człowiekiem. Nie przesadzaj, mówiła już nieco uspokojona, ktoś musi o ciebie dbać, żebyś nie wyzionął

ducha od słońca i tych głupków, obiecuję, że więcej się z nimi nie spotkasz. Jan uśmiechnął się czule i od razu poczuł dumę z dobrze zarysowanego mimiką kłamstwa.

Norbert szedł otoczony czwórką wpatrzonych w niego przyjaciół. Słuchali uważnie jego opowieści, kiwali potakująco głowami i śmiali się do rozpuku, gdy sytuacja tego wymagała. Opowiadał im o górach, o swoich podróżach po kraju i nielicznych wyjazdach zagranicznych. Mówił ciekawie na tyle, że pozwoliło to Janowi odzyskać spokój. Zasugerował Ewie, by i ona dołączyła do swojej kompanii, a on będzie szedł tuż obok nich, albo delikatnie z tyłu. Nie chciał, by wyjazd kojarzył jej się z koniecznością nieustannego dokonywania wyboru. Ucałowała go, mówiąc, że jest czymś najlepszym, co mogło jej się przydarzyć, i weszła w środek, biorąc Norberta pod rękę. Wprowadziła w tę grupkę trochę równowagi, rozpraszając nadmierne skupienie wokół samozwańczego lidera. Po kilkudziesięciu metrach wszyscy już wybuchali co chwilę śmiechem, a ich wędrówka pachniała radością i beztróską. Jan tymczasem odetchnął z ulgą i wrócił do pogłębiającego się ucisku w piersiach. Momentami chciał zerwać z siebie koszulę i krzyczeć ile sił. Szedł jednak spokojnie, dusząc to wszystko w sobie. W głowie przewracały się obrazy, ze zdjęć i skrawków zapamiętanych sytuacji tworzyły się filmy odbierające możliwość oddychania i przebierania nogami. Mięśnie drętwiały, dłonie cierpły jakby pod naporem tysięcy małych igiełek. Ocierał łzy i szedł, odsłaniając w uśmiechu garnitur białych zębów. Musiał być przygotowany na wścibskie spojrzenia odwracających się co chwilę znajomych Ewy. Ona sama szła uradowana, puszczając mu co jakiś czas oczko lub posyłając buziaczki. Uśmiech był więc niezbędny. Natarczywe filmy coraz trudniej jednak dawało się ignorować. Złapał się nawet na tym, że dusi w sobie pisk, który jednak zaczyna być słyszalny dla mijających go ludzi. Musiał zresztą budzić zainteresowanie, bo zauważył przypadkiem, że na wyprzedzających go bryczkach pojawiają się wpatrzone w niego szeptki, przysłonięte maskującą dłońmi albo wyciągnięte w jego stronę palce. Czy to widać? Czy oni widzą to, co ja? – zastanawiał się, przywołując się do porządku. Z każdym krokiem jednak buzujące emocje rosły na sile. Widząc barierkę przy ulicy i słysząc narastający szum wiedział, że zbliża się do Wodogrzmotów Mickiewicza. Nie chciał tam iść.

No co jest, krzyknął Norbert, przynasz, że przeceniłeś swoje możliwości? Tak, odpowiedział Jan oparty o balustradę, idźcie, ja tu popatrzę na wodę i dojdę do was. Akurat, sarknął Marek, na co Ewa szturchnęła

go łokciem. Jan znowu pomyślał o byciu dziadkiem. Może lepiej zostać, odezwała się czułym głosem Eliza. Tak, niech zostanie, żeby mu bajpasy nie puściły, zaśmiał się Norbert. Jan milczał, na twarzy pracował każdy mięsień, ale i tak wszyscy zobaczyli, że z oczu sączą mu się milczące łzy. Ewa zrobiła krok w jego stronę, ale Jan pokręcił głową. Chodź, powiedziała do niej Eliza, chyba musi mieć czas dla siebie.

Ewa odwracała się co kilka kroków, ale znajomi upominali ją stanowczo, przypominając o dobrze znanych zasadach, które obowiązują wszystkich. Starła się więc spowolnić marsz, co rusz wymyślając nowe powody. Musiała zawiązać lewy but, potem sprawdzić prawy, potem chyba wpadł jej kamień, jeszcze za chwilę sięgnąć na dno plecaka po wodę, poprawić jego ułożenie, bo szelka wpijała się ramię, przystanąć, bo coś sobie przypomniła. A nie, to nic, mówiła przepraszająco, wracając do niechętnego przebiegania nogami.

Nie wiedziała, ile zdążyli przejść, gdy nagle usłyszeli pisk. Najpierw jeden potem drugi, ale w ułamku sekundy oba umilkły tak nagle, jak się pojawiły. Zatrzymali się nie tylko oni. Ewa bała się odwrócić. Gdy już to zrobiła i zobaczyła martwego konia, który wyzionął ducha, ciągnąc bryczkę z turystami, odetchnęła z ulgą. Potem miała do siebie pretensje, ale mówiła, że przestraszyła się, że coś z Janem nie tak, a tu koń. Tylko i aż. Do samego końca rozmawiali tylko o tym, a potem i biedny koń musiał ustąpić miejsca zachwytom wzbudzonym przez zielonkawą taflę Morskiego Oka otoczoną górkami szczytami. Marek stwierdził nawet, że to najpiękniejsze, co kiedykolwiek widział i największe jego osiągnięcie turystyczne. Nie mógł uwierzyć, że sam, na własnych nogach, bez żadnej podwózki, dotarł tak daleko. Reszta nie była aż tak entuzjastyczna na zewnątrz, ale łatwo było zauważyć, że i oni są zachwyceni.

Stojąc w długiej kolejce do piwnych nalewaków, wstawiali posty ze zdjęciami. W opisach nie było jednak już tego wybuchu radości. Zostawili to nad wodą. W Internecie pojawiły się stonowane komunikaty, dające wrażenie rutyny. Zmęczenie i poczucie dumy pielęgnowali wewnątrz. Przeglądali swoje zdjęcia i posty, cieszyli się i śmiali, niczym nie odbiegając od ogólnej wrzawy panującej przy jeziorze. Ewa zauważyła, że jakieś forum miłośników Zakopanego donosiło o śmierci konia. Marek od razu wstawił komentarz „byłem na miejscu, gdy to się stało, straszne”. Szybko okazało się, że nie tylko oni zainteresowali się tym *newsem*. Ludzie chodzili, pokazując sobie zdjęcie martwego zwierzęcia i filmiki z miejsca zdarzenia. Norbert cierpliwie tłumaczył, komu się tylko dało, że był na miejscu i stało

się to na jego oczach. Poczul nawet zdegustowanie, gdy widząc nadlatujący z oddali helikopter, ktoś zażartował, że to górale wysłali go z masarni, żeby zdążyć mięso na kabanosy przerobić, zanim się zepsuje.

Po chwili jednak pojawił się kolejny wpis na forum, tym razem informujący o śmierci człowieka. Może to ten twój amant, zażartował Marek. Najmłodszy nie był, powiedział Norbert, ups, jest, poprawił się, więc może mu sił zabrakło i sobie latającą taksówkę zamówił, na biednego przecież nie trafiło. Ewa uśmiechała się, ale do śmiechu jej nie było, zwłaszcza, że telefon Jana nie odpowiadał. Eliza długo stała z boku, w milczeniu przenosząc wzrok z Marka na Norberta, na Ewę i małąmówną Łucję. Chłopcy nie ustawiali w rozbawieniu i komentarzach. Tylko, gdy ktoś zagadnął o tego konia, to robili pełne przejęcia miny i z należytą powagą po raz kolejny opowiadali sytuację, która wydarzyła się na ich oczach, o którą otarli się bezpośrednio, a nawet czuli podmuch powietrza przy upadku zwierzęcia na ziemię. Wiecie co, odezwała się w końcu Łucja, takich mend, takich pajaców i takich idiotów, jak wy, nie widziałam chyba jeszcze nigdy i pragnę wam to powiedzieć prosto w twarz, pierdołę was i wasze zakompleksione łby, a tobie, Ewa, dziwię się naprawdę, milczałam długo, bo byłam pewna, że to ty pierwsza im powiesz, i że to na tym wyjeździe się wydarzy, jestem tu, bo chciałam być tego świadkiem. Ewa spojrzała na nią i wzruszyła ramionami. Marek i Norbert spojrzeli po sobie i ryknęli śmiechem. Łucja się nie śmiała, więc odezwali się niemal jednocześnie: dzięki, czekaliśmy na to, bo właściwie to chcieliśmy ostatniego dnia ci powiedzieć, że to ostatni nasz wspólny wyjazd, ostatnie spotkanie i wypadasz, bo tu nikt nie może znieść twojej nadętej i naburmuszonej gęby. Ja mogę, wtrąciła się Eliza. Weź przestań, krzyknął Marek i skierował się w stronę Łucji, a ty idź już sobie, zabierz swoje rzeczy z naszego pensjonatu i poproszę, wypieprzaj od nas. Łucja splunęła mu na but, po czym odwróciła się, by po chwili zniknąć w przepastnym tłumie, falami szturmującym teren schroniska.

Ewa bezskutecznie próbowała dodzwonić się do Jana. Pewnie wrócił do pokoju, wyglądał na naprawdę zmęczonego, jakby zabrakło mu formy, albo jakoś nagle zaniemógł, powiedziała Eliza. Mimo wszystko się martwię, odpowiedziała Ewa. Marek i Norbert słuchali tego zniecierpliwieni, nie ustawiali w żartach. Może nasz wirażka zasłabł. Może sturlał się do pensjonatu. Może to, a może tamto.

W drodze powrotnej panowie milczeli o Janie, ale z nadzieją wypatrywali go, licząc na to, że przycupnął gdzieś na kamieniu i czeka, aż któryś z nich udzieli mu pomocy, pomoże wstać i dojść na nocleg. Ewa zagłuszała

swoj niepokój, wchodząc w wesołą narrację kolegów na tematy wszelakie. Do samego końca drogi, czyli do momentu, gdy wszyscy zaczęli sobie gratulować po raz kolejny dobrego przygotowania, sprawnego zaplanowania wyprawy, rozglądała się dokoła, wypatrując życiowego partnera. Nie zauważyła jednak nic podejrzanego. Pojedyncze osoby, mniejsze i większe grupki szły w stronę Morskiego Oka lub wracały w dół, do wyjścia. Na drodze panował spokój, a jedyne, co zwracało uwagę, to hałaśliwie rozbrzykanie miejscami dzieci i nerwy karcących rodziców. Nic, co budziłoby niepokój.

W pokoju Jana również nie było. Właścicielka pensjonatu ostatni raz widziała go rano, gdy wszyscy grupowali się na podwórku, szykując do wycieczki. Telefon wciąż milczał. Chodź, powiedziała Eliza, zjemy coś i pomyślimy. Obiad przygotowany z dań odgrzewanych w kuchence mikrofalowej gotowy był po kwadransie. Dziewczyny nakrywały do stołu, a chłopcy przeglądali swoje profile społecznościowe, analizując przybywające pod nimi reakcje i komentarze. O kurwa, wyrwało się któremuś z nich. Ewka, krzyknął Norbert, chodź tu szybko. Gdy dziewczyna weszła do pokoju z parującymi talerzami, przesunął się, zapraszając ją, by siadła obok. Ty, weź to obczaj, pokazał jej telefon, odtwarzając krótki filmik. Widać było na nim Jana, który trzyma się barierki przy Wodogrzmotach Mickiewicza i wykrzykuje trudne do zrozumienia słowa. Ręce miał zaciśnięte na poręczy. Przyciągał się do niej i odpychał, nieustannie krzycząc, ale słowa rozbijały się o skały i szum spadającej z nich wody. Dookoła zebrał się tłum gapiów, nieustających w komentarzach. Niektórzy mieli telefony w rękach, inni zasłaniali dzieciom oczy. W pewnym momencie Jan niezdarne przesadził nogę na drugą stronę i wciąż trzymając się barierki, stanął przodem do grupy obserwatorów. Osoba nagrywająca film podchodziła bliżej. Nie był to tylko zoom. Z chwili na chwilę lepiej było słyszeć głos, twarz Jana stawała się wyraźniejsza. Świetny aparat, powiedział Marek, ale nikt nie podjął tematu. Jan stał po drugiej stronie barierki i wciąż trzymając się jej kurczowo, kołysał się. Płakał. To już nie były pojedyncze łzy spływające po policzkach. Przekrwione oczy były tak samo czerwone, jak cała twarz. Ewa nigdy go takiego nie widziała. Nawet przez chwilę zastanawiała się, czy to na pewno on. Ja muszę, muszę, mówił, tyle lat nie mogę zapomnieć, coś mi każe pamiętać, Marta i Ola, one tu spadły, piętnaście lat, a ja nie mogę, wciąż je widzę i nie chciałem tu przyjeżdżać. Słowa przerywało łkające szlochanie. Zamknął oczy, nieustannie, jak mantrę, powtarzając niemal te same słowa. Moja żona, chciałem być dziadkiem, ale ona i Ola, nie będę,

nie chcę już, nie chcę nic. Zatrzymał się, puścił poręcz i rozłożył ręce, po czym przechylił się w tył. Ktoś z boku pisnął. Autorka filmiku zakłęła, ale nie ustawała w nagrywaniu. Podchodziła do balustrady, ciężko oddychając, powtarzając pod nosem przekleństwa. Obserwatorzy krzyczeli.

Ewa zemdląła. Norbert i Marek przenieśli ją na łóżko, poklepywali w policzki, a gdy się ocknęła, kazali pić wodę. Pocieszali ją. Mówili, że to nie jej wina, że sam sobie winny, że od początku wydał im się jakiś dziwny. Norbert referował fachowym tonem swoje obserwacje psychologiczne, odwołując się do przeczytanych książek o samorozwoju. Nie wiedziałam, że miał żonę, wyszeptą Ewa. Pomogę ci przez to przejść, powiedział Marek, teraz może i jest ci smutno, ale zobaczysz, jak przyjedziemy tu w przyszłym roku, to wszyscy będziemy się z tego śmiać.

Artur Ziontek

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Viktor Fischl (Avigdor Dagan)

Noce bezksiężycowe

Śpi woń zwodnicza
na klombach róż powiędłych
tak ubywa miłości
jak szczupleje księżyc

Jak w górach tają śniegi
spływając w doliny
żlebami rowków niemych
nagie zostają granie

Wszyscy płaczemy sami
zwodzeni zwiędłą wonią
tak smutni że się modlimy
prosząc o światło nowiu

Z języka czeskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

PODGLĄD

Kwartalnik literacki

10 lat



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich

<http://podglad.com.pl/> <http://sppwarszawa.pl/>